

Konferencja 2 + 4



Edward Klimczak	
ZSSR: Koniec «pierestrojki»	2
Zbigniew Żbikowski	
«Kolejarze dla Rzeczypospolitej»	3
Zbigniew Mikołajko	
Kościół katolicki w Polsce	7
Nie jesteśmy narzędziem Wałęsy	9
rozmowa z dr. Zdzisławem Najderem	
Tomasz Dobrzyński	
Wybory samorządowe	12
Jak przebiegała kampania	
wyborcza? — ankietą «Poglądu»	14
Romuald Szeremietiew	
Przyjaciele Moskale	16
Krzysztof Grzegorzka	
Finansowanie partii politycznych ..	19
Katarzyna Dolińska	
Joint ventures	21
Maria Mamczur	
Handel bronią	24
Anna Wrzalińska	
Plajta NZS-u	27
»Nie pozwolę sobie przykładać	
pistoletu do głowy«	30
rozmowa z Pawłem Moczydłowskim	
Maciej Radwan Rybiński	
Konferencja 2 + 4 = 5 kontra 1	32
Krystyna Grzybowska	
Wizyta prezydenta RFN	34
Nowy plan Marshalla	36
Klaus Ziemer	
O tożsamość Śląska	39
Maciej Radwan Rybiński	
Prywatne rozmyślenia	45
Witold Pronobis	
Lotwa przeciw Moskwie	47
Ewa Darmas	
Antysemicka profanacja	50
Elżbieta Stasik	
Gigantyczne zabawki Husajna	52
Jacek Korczak-Mleczek	
Igrzyska «Solidarność»	54
Andrzej Zwaniecki	
Film	56
Połacy w świetle	57
Listy do redakcji	59

Numer zamknięto dn. 02.06.90 r.
Oddano do druku dn. 05.06.90 r.
Projekt okładki: wit

NIE JESTEŚMY NADZĘDZIEM WAŁĘSY STR. 9

Zdzisław Najder fot. Pogląd

30 marca tego roku odbyło się pierwsze — po dłuższej przerwie — posiedzenie Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ «Solidarność». Wcześniej Lech Wałęsa zwolnił z funkcji przewodniczącego Komitetu Bronisława Geremka, ustanawiając na jego miejsce Zdzisława Najderę.

W wywiadzie udzielonym «Poglądowi» Zdzisław Najder ujawnia, że Komitet Obywatelski działa nie mając ani osobowości prawnej, ani regulaminu, «a jedynym prawem, jakim się kieruje, jest słowo szefa «Solidarność». Dr Najder ma nadzieję, że ów Komitet będzie tym miejscem, w którym kiełkować będzie nowa kultura polityczna Polaków.

Czy jednak niedemokratyczne ciało może budować demokrację?

KONFERENCJA 2 + 4 = 5 KONTRA 1 STR. 32

Min. Sikubiszewski fot. Pogląd

W końcu lipca minister spraw zagranicznych RP ma udać się do Paryża, by wziąć udział jako «ten trzeci» w konferencji supermocarstw z szefami rządów obu państw niemieckich na temat zjednoczenia Niemiec i tym samym zakończenia II wojny światowej. Udział Polski w końcowej fazie rokowań, uznawany za sukces polskiej dyplomacji, będzie miał charakter czysto grzecznościowy — pisze Maciej Radwan Rybiński —

gdyż obu państwom niemieckim niesłychanie zależy na uniknięciu sytuacji, w której mocarstwa mogłyby stać się rozjemcami między Polską i Niemcami, i nie dopuszczą do tego, by ktokolwiek dyktował im przebieg granic. Dlatego tak drażliwą dla Polaków sprawę granicy na Odrze i Nysie rozstrzygną ostatecznie jeszcze przed konferencją.

DESZCZ DOLARÓW NIE SPADA

STR. 21

Według najnowszych szacunków Polska ponownie spadła do grupy krajów o wysokim stopniu ryzyka dla chętnych do lokowania w niej kapitałów. Dla inwestorów zachodnich o wiele atrakcyjniejsze są Węgry, coraz częściej też Czechosłowacja. Polska zaś w oczekiwaniu na wielki kapitał z Zachodu przyjmuje postawę "chciałabym i boję się".

Nikt przecież nie zaawantuje dużych pieniędzy i nie będzie myślał o rozwoju na dużą skalę, jeśli nie będzie miał zagwarantowanego prawnie prawa własności — píše Katarzyna Dólińska w artykule o joint ventures. Tymczasem w Polsce każdej poważnej propozycji z Zachodu towarzyszy krzyk z prawa i z lewa o wyprzedzają kraju w obce ręce.



Makler giełdowy: zainteresowanie Polską, jako krajem, w którym się inwestuje drastycznie maleje.

NIEMCY W POLSCE

STR. 39

Czy na Śląsku "tyka bomba zegarowa", jak stwierdził w telewizji RFN popularny komentator Fritz Pleitgen? Czy dziesiątki, a nawet setki tysięcy Ślązaków "siedzi na walizkach" planując wyjazd do Niemiec? Co robić, aby rozładować polsko-niemieckie resentymy w tym regionie? Czy stać nas na budowę "europejskiego domu" na Śląsku, gdzie przecinają się różne kultury? Odpowiedzi na te pytania próbuje udzielić zachodnoniemiecki naukowiec, dr hab. Klaus Ziemer z Heidelbergu. Choć sam nie mieszka na Śląsku, żyje jednak od lat — ożeniony z Polką — na styku dwóch kultur — niemieckiej i polskiej. Jego wizja Śląska, to co najmniej przyjaźielska koegzystencja tych kultur, jak we własnej rodzinie.



Henryk Król czy Heinrich Kroll?

■ LHASA. Rząd ChRL zniósł stan wojenny w stolicy Tybetu Lhasie, ostrzegając jednak przed "separatystami" związanymi z "wrogimi siłami z zagranicy", którzy nadal dążą do destabilizacji kraju. (TAGESSPIEGEL, 1.05.)

■ HONGKONG. Ponad 100 wietnamskich *boat people* uciekło... z obozu internowania w Hongkongu, by uniknąć deportacji do Wietnamu. (TAGESSPIEGEL, 1.05.)

■ PEKIN. W Chinach masowo stosuje się tortury wobec przeciwników politycznych; w br. zanotowano już 490 przypadków śmierci lub obrażeń. (TAGESSPIEGEL, 1.05.)

■ RFN/POLSKA. Hamburski magazyn polityczny DER SPIEGEL (nr 19) przedrukowuje za dziennikiem ALLGÄUER ZEITUNG następujące ogłoszenie: Polska rodzina z trójgłem dzieci (5/4/2 l.) szuka rodziców (Niemców — przyp. "Pogład") w celu adopcji: "Żadne obciążenia finansowe ze strony adoptującej rodziny — umowa notarialna. W przypadku osób starszych gwarantujemy opiekę."

■ WARSZAWA. Z dn. 1 maja br. polscy turyści wyjeżdżający do Republiki Federalnej Niemiec zwolnieni są z obowiązku okazywania odpowiedniej ilości dewiz: 50,- DM na dzień pobytu. (TAGESSPIEGEL, 1.05.)

■ WARSZAWA. W Polsce stacjonuje 58 tys. żołnierzy sowieckich, z czego 10 tys. powróci jeszcze w tym roku do ZSSR. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 10.05.)

■ WARSZAWA/BONN. Polskie zadłużenie w RFN wynosi 20 mld DM. (DER SPIEGEL, nr 19)

■ WARSZAWA. Rakowski w DER SPIEGEL (nr 18) o granicy na Odrze i Nysie: "Granica jest zabezpieczona, na trwałe — na okres czasu, jaki można przewidzieć. Ale co będzie za 20-30 lat, tego właśnie nie wie nikt."

■ WARSZAWA/BONN. "Młoda polska demokracja broni się przed nowym monopolem władzy, przed selekcją ogłaszanych informacji. (...) Program wizyty Weizsäckera w Polsce, rozmowy li tylko z mężami stanu i politykami, przypomina oficjalne wizyty ze starych czasów." — komentuje Helga Hirsch w lewicowym tygodniku DIE ZEIT, z dn. 11.05.

■ PEKIN. 211 zwolenników demokratyzacji zostało wypuszczonych z więzienia. Ta kolejna próba poprawy stosunków z Zachodem jest spowodowana obawą, że Stary Zjednoczone cofną Chinom klauzulę najwyższego uprzywilejowania. Prezydent Bush musi podjąć decyzję przed 3-cim czerwca. (INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE, 11.05.)

■ PARYŻ. Jak donosi francuskie pismo JOURNAL DU DIMANCHE, rumuński dyktator, Nicolae Ceausescu, zmarł w wyniku tortur, które miały go zmusić do ujawnienia zagranicznych kont bankowych. Informacji tej zaprzeczają rumuńskie źródła oficjalne. (INTERNATIONAL HE-

RALD TRIBUNE, 14.05.)

■ MOSKWA. Paryski LE MONDE (28.04.) powołując się na wypowiedź gen. KGB Aleksandra Korbajnowa donosi, że w Związku Sowieckim od 1985 r. czyli od początku reform Gorbaczowa zatrzymano 30, a stracono 29 szpiegów (jeden zdolał uciec).

■ MOSKWA. Prawicowy paryski dziennik LE FIGARO (27.04.) informuje, że od 1979 r. liczba rdzannej ludności rosyjskiej wzrosła o 5,6%, natomiast mniejszości muzułmańskiej o 33%, w samym zaś Tadżykistanie o 44%, podczas gdy populacja Rosjan w tej republice zmniejszyła się o 2%.

■ BRATYSŁAWA. Francuski tygodnik ilustrowany L'EXPRESS komentuje spotkanie ministrów spraw zagranicznych Czechosłowacji, Jugosławii, Polski i Węgier w Bratysławie: "Vaclav Havel, człowiek teatru, podjął się nowej roli — zintegrowania wymarncypowanych krajów Europy Wschodniej w celu utworzenia przeciwwagi dla Niemiec i Związku Sowieckiego: zadanie wydaje się bardzo trudne, gdyż żaden z tych krajów nie osiągnął pełnej demokracji."

■ MOSKWA. Przyspieszenie sowieckiej reformy gospodarczej — komentuje tygodnik L'EVENEMENT DE JEUDI (19-25.04.) będzie bardzo bolesne: oblicza się, że jej skutek, to 10 mln bezrobotnych, zamrożenie zarobków, wzrost od stycznia 1991 r. o 100% 2/3 cen, które zostaną zwolnione spod kontroli państwa.

■ PARYŻ. W tym samym numerze tygodnika cytuje wypowiedź Georgesa Marchaisa, szefa Francuskiej Partii Komunistycznej: komentując w wywiadzie telewizyjnym oficjalne przyznanie się ZSSR do masakry katyńskiej, Marchais oświadczył: "Zostaliśmy oszukani przez Rosjan. Przez całe lata wierzyliśmy, że to nie oni."

■ MOSKWA. Milion egzemplarzy Koranu zostanie dostarczony 28 samolotami Aeroflotu do Moskwy — pisze L'EVENEMENT DE JEUDI (12-18.04.). Jest to dar króla Arabii Saudyjskiej Fahda dla 70 mln muzułmanów mieszkających w Związku Sowieckim.

■ BUDAPEST. Dziennikarze akredytowani przy wyborach na Węgrzech odkryli w lazienkach centrum prasowego mnóstwo mikrofonów. Jak wyjaśnia MAGYAR NAMZET — to dlatego, że centrum zostało zainstalowane w byłym klubie oficerskim. (L'EVENEMENT DE JEUDI 4.04.)

■ PRAGA. W Czechosłowacji zamknięto hotel należący do partii komunistycznej. Udzielano w nim gościnę terrorystom wszelkich specjalności. (L'EVENEMENT DE JEUDI 4.04.)

Uwaga!

Bliższe i archiwalne numery
"Poglądu" do nabycia w redakcji:
ul. Hoża 37 m 31, 00-681 Warszawa
tel. 22/218681

Edward Klimczak

Koniec »pieriestrojki«

Celem rozpoczętej przed pięcioma laty przez nowego szefa KPZS "pieriestrojki" Związku Sowieckiego było w pierwszym rzędzie przezwyciężenie rozkładu sowieckiej gospodarki, która nie zapewniała już dłużej środków koniecznych do kontynuowania wielkomocarstwowej polityki ani utrzymania w ryzach rozpadałego się wielonarodowego imperium. Warunkiem uwydajnienia gospodarki miało być zwiększenie aktywności obywateli, którzy otrzymawszy więcej swobody mieli przejawiać inicjatywę, podejmować samodzielnie decyzje i samodzielnie ponosić za nie odpowiedzialność. Wszystko to miało być wynagradzane wg hasła "Za dobrą pracę — dobra płaca". "Pieriestrojka" nie przywróciła jednak do życia znajdującego się w stanie śmierci klinicznej półtrupu sowieckiej gospodarki komunistycznej. Stosowano zresztą tylko sztuczne oddychanie. Gospodarce nie dano żadnych podstaw do wydajnego funkcjonowania pozostawiając — i wymieniać tu tylko niektóre — filary gospodarki komunistycznej: centralne planowanie, system nakazowo-rozdzielczy, państwowe monopole, dotacje i odgórne ustalanie cen, choć od stycznia 1988 r. niektórym branżom i zakładom przyznano to nieco większą samodzielność. Do dzisiaj nie poważono się na zmianę najważniejszego — stosunków własności, choć wiosną tego roku Najwyższy Sowiet dopuścił niejasną formę "niespołecznej własności". Zapowiedziano, że od 1993 r. obywatele sowieccy będą mogli nabywać w formie akcji prywatne udziały w dotychczas państwowych zakładach, które prezydent Gorbaczow i premier Ryzkow chcą po części przekształcić w spółki akcyjne, spółdzielnie lub oddać warendę. W pierwszym rzędzie zakłady nierentowne. — Kolejna socjalistyczna utopia!

Nadal nie ma w Związku Sowieckim żadnego funkcjonującego, tj. wolnego rynku: materiałowego, kapitałowego i siły roboczej. Sprawnie działają tylko bazy, jak np. w Leningradzie, gdzie pod koniec maja kilogram nowych ziemniaków kosztował 12 rb. a truskawek aż 30 rb. — przy średniej miesięcznych zarobków około 200 rb. W doniesieniach agencji z Moskwy mówi się, że rząd sowiecki "pojął", iż jedynym wyjściem z kryzysu jest wprowadzenie "gospodarki rynkowej". Termin kapitalistyczny, jego realizacja będzie jednak — jak to już widać — socjalistyczna. Socjalistyczna "pieriestrojka" zastępuje więc "urynkowanie". Na początku Ryzkow zapowiedział operacje cenowo-dochodowe, co w Polsce przerabiali komuniści z Rakowskim na czele wywołując hiperinflację.

Już od lipca — nadal nakazowo — trzykrotnie zdrożeje chleb, a od stycznia przyszłego roku podwoją się ceny żywności, o 50% mają zdrożeć artykuły codziennego użytku, o 70% usługi. Zaś działający nadal główny urząd planowania Gosplan zapowiedział bezrobocie dla 20 mln (12%) zatrudnionych i wprowadzenie nowego planu pięcioletniego z jednorocznym opóźnieniem — dopiero w 1992 r. Już teraz jest w Związku Sowieckim 8 mln bezrobotnych, bez żadnego zabezpieczenia socjalnego, które oczywiście jest, jak wszystko inne, "w planie". Jego wysokość ma wynosić połowę ostatniego wynagrodzenia, o ile bezrobotny zgłosi się na roboty publiczne. Zatrudnionym i renciście, których w Sovietach jest rekordowa ilość (37 na 100 zatrudnionych, w sumie 59 mln, tj. 1/5 liczby całej ludności) obiecano mizerne rekompensaty — najniższa renta ma wynosić 70 rb. Na plany rządu ulica zareagowała paniką: ze sklepów zniknęło wszystko — oprócz regałów. Widmo głodu krąży na Krajem Rad, gdzie ilość bezdomnych wg danych szacunkowych wynosi już 3 mln, a ludności żyjącej w absolutnej nędzy — 50 mln. Coraz głośniejsze są o potrzebie bezpłatnych kuchni, wydających kuroniowe zupki. "Ludzie radzieccy" utraciwszy tani chleb i wiarę w przyszłość miotają się jak zwierzęta w potrzasku. Jeśli wyjdą na ulicę, chaos i anarchia staną się wszechobecne. O ile wówczas na scenę wkroczy wojsko, co 180 tys. oficerów i ich rodzin mieszkających w namiotach przyjąć może z ulgą, godziny Gorbaczowa będą policzne. Sowieci wiedzą jednak od Jaruzelskiego, że na bagnatach można rządzić, ale nie gospodarować. Gorbaczow pozostaje więc nadal jedyną alternatywą. Na jak długo? Sowiecki dysydent Andriej Amalrik zapytał w latach siedemdziesiątych w tytule swojej książki: "Czy Związek Sowiecki przeżyje rok 1984?" Dzisiaj można zaryzykować stwierdzenie, że powiłył się co najwyżej o dziesięć lat.

Edward Klimczak

Berlin, Zach., 3.06.1990

Zbigniew Żbikowski

»Kolejarze dla Rzeczypospolitej«

Po serii wielkich akcji mających na celu wsparcie rządu Tadeusza Mazowieckiego, z których największy rozgłos zdobyła seria występów pod hasłem "Artyści dla Rzeczypospolitej", do akcji włączyli się kolejarze. W połowie maja na stacjach pojawiły się plakaty z informacją, o tym jak to ludzie żelaznych szlaków zamierzają wesprzeć demokratyczną władzę. W końcu miesiąca ich treść zakrawała już tylko na czarny humor, zwłaszcza na stacjach objętych kolejarzami strajkiem.

Rada Ministrów, zajęta krzątaniem przed powrotem do Europy, zrazu sygnał o strajku głodowym w Słupsku, który całą akcję rozpoczął, trochę zbagatelizowała. Wydawało się rzeczą nieprawdopodobną, by na serio można było strajkować przeciwko "swojej", z takim trudem wywalczonej władzy. A jednak zjawisko okazało się groźne i już po dwóch tygodniach głodówki nie znanych nawet z nazwiska szerszej opinii osób, przedstawiciele nowej elity mogli się przegłębiać w krzywym zwierciadle historii.

Wszystko już było przerabiane. Najpierw rząd ustami swojej rzecznicy stanowczo oświadcza, że z organizatorami dzikich strajków rozmawiał nie będzie. Następnie mówi się o zagrożeniach dla demokracji i dla gospodarki, jakie niosą ze sobą nieodpowiedzialne akcje. Gdy strajk się rozszerza, rząd gotów jest do rozmów, ale w stolicy i tylko z przedstawicielami legalnie działających związków. Wreszcie minister Jacek Kuroń mówi w telewizji, jaką to zaszczytną służbą jest praca na kolei i że na pewno większość kolejarzów braci nie popiera głodujących, a odwrotnie — darzy poparciem władzę. Wszyscy oczywiście rozumieją, że postulaty kolejarzy są słuszne, solidaryzują się z nimi, ale przecież kasa państwa jest pusta, nie ma z czego dać podwyżek. Na koniec pada argument najcięższy — dobrze jest strajkować przeciw władzy totalitarnej, komunistycznej, a niedobrze przeciw demokratycznej i pluralistycznej. Ale organizatorzy strajku pozostają głusi na argumenty i wówczas opinia publiczna głośno zaczyna się zastanawiać, kto właściwie za tym stoi. Krzywe zwierciadło historii odpowiada, że ktoś musiał zainspirować akcję z zewnątrz (tym razem nie CIA i RWE, ale KGB i Securitate), ale ewentualni inspiratorzy mają dość kłopotów u siebie, by zajmować się jeszcze Polakami.

Inspiratorzy znajdują się w kraju. Strajk objął przede wszystkim Pomorze Zachodnie i Środkowe, ostoję NSZZ "Solidarność 80" Mariana Jurczyka, jednego z głównych oponentów Lecha Wałęsy. To właśnie po wycięciu Jurczyka we Włocławku rozpoczął się strajk na stacji w tym mieście, blokując jedną z głównych arterii kolejowych wiodących z południa na północ. Takie samo znaczenie miało zamknięcie węzła inowrocławskiego. To Jurczyk podtrzymywał kolejarzy w ich uporne dążenie się publicznie, że przedstawiciele rządu jeszcze nie przyjechali do Słupska i nie uzgodnili podwyżki, która się im za ich ofiarną pracę słusznie należy. W swoich demagogicznych zapędach szef "Solidarności 80" znalazł niespodziewanie sojusznika w Alfredzie Miodowiczu, szefie postkomunistycznej centrali OPZZ, który zupełnie podobnie używał argumentacji, atakując rząd i program Balcerowicza. Oba te odłamy ruchu związkowego zapewne jeszcze nie raz narobią obecnej władzy kłopotu.

Niekonwencjonalne posunięcie Lecha Wałęsy, który mimo wcześniejszych zapewnień, że do Słupska nie pojedzie, w końcu się tam wybrał, co zupełnie pasuje do jego politycznego temperamentu, przerwało akcję, która jak nie dotąd potrzęsła nową władzą, dając jej do zrozumienia, że historia lubi się powtarzać. Wic z udziałem premiera, podczas którego klakierzy skandowali jak w najlepszych czasach komuny nazwisko szefa rządu i jego siły politycznej, pokazuje, że społeczeństwo, tak bardzo obciążone dziedzictwem socjalizmu, nieprędko pozbędzie się swego bagażu.

Warszawa, 29.05.1990 r.

Zbigniew Żbikowski

■ BUKARESZT. Jak podaje tygodnik ilustracyjny LE POINT (22.04.) na skutek konfliktu rumuńsko-węgierskiego w Śiedmiogrodzie śmierć poniosły 3 osoby, a 269 zostało rannych (200 Rumunów, 68 Węgrów i 1 Brytyjczyk).

■ MOSKWA. W tym samym numerze tygodnika informuje, że dyrektor sowieckiej telewizji odwiedził korespondenta w Wilnie pod zarzutem, iż ten odnosi się zbyt pobłaźliwie do sprawy niepodległości Litwy. Zastąpiono go dziennikarzem perynym i całkowicie dyspocyjnym.

■ GENEWA. Jak podaje Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) z siedzibą w Genewie do końca kwietnia br. ilość przypadków zachorowań na AIDS osiągnęła liczbę 254.760 osób. (TAGESPIEGEL, 11.05.90)

■ RFN. Jak podaje zachodniobermberski lewicowy dziennik TAGESZEITUNG (15.05.) od 80 do 100 tys. Polaków otrzymało na podstawie sfałszowanych dokumentów status przesiedleńca.

■ BONN. 60 mln mieszkańców RFN wydają rocznie na 3,7 mln psów i 4,1 mln kotów prawie 2 mlrd DM. (TAGESPIEGEL, 12.05.)

■ BONN. Jak się szacuje, koszty przeniesienia stolicy już zjednoczonych Niemiec z Bonn do Berlina wyniosą ponad 20 mlrd DM. (DER SPIEGEL, nr 19)

■ MOSKWA. Gorbaczow w przeddzień parady z okazji 50-tej rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem: "Kraj potrzebuje mocnej i nowoczesnej armii i floty"; hamburski magazyn polityczny DER SPIEGEL (nr 20) przypomina, iż była to pierwsza od 1985 roku parada wojskowa i że zaprezentowano na niej m.in. trzy nowe modele czołgów, dwie wyrzutnie rakietowe, w tym do niszczenia amerykańskich pocisków samosterujących Cruise-Missiles.

■ WARSZAWA. Jak donosi monachijski dziennik SÜDDEUTSCHE ZEITUNG z dn. 10.05., koszty stacjonowania wojsk sowieckich w Polsce w latach 1956-1990 szacuje się na ok. 10 bilionów złotych.

■ BRUKSELA. Europejska Wspólnota ma zamiar w ciągu najbliższych trzech lat wesprzeć kraje Europy Wschodniej sumą 2,3 mlrd ECU, tj 4,6 mlrd DM. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 10.05.90.)

■ BERLIN WSCHODNI. Były szef partii państwowej, 77-letni sądek chory Erich Honecker nie stanie przed sądem — oświadczył minister spraw wewnętrznych NRD Peter-Michael Dierel. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 14.05.90.)

■ KOLONIA. Jak podaje koloński Urząd Ochrony Konstytucji, na terenie RFN działało (działa? — przyp. red.) od 5 do 6 tys. agentów wschodnioniemieckich, czyli dwukrotnie więcej niż do tej pory przypuszczano; ocenia się, iż około 500 agentów zajmuje czołowe pozycje w gospodarce i polityce Niemiec Zachodnich. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 14.05.90.) ■

**POLSKIE ROSZCZENIA ZAGROŻENIEM
DLA EUROPY**

Jak donosi bawarski skrajnie konserwatywny miesięcznik DEUTSCHLAND MAGAZIN (maj 1990), powołując się na francuski LE FIGARO — realizacja polskich roszczeń wypłaty odkodowań obywatelom polskim za przymusową pracę podczas II wojny światowej, spowodowałaby, iż "ratowanie" NRD (zjednoczenie Niemiec), jak również udzielanie pomocy produktynom siłom w Europie Wschodniej nie byłoby możliwe; proces zjednoczeniowy Europy zostałby zahamowany przez osłabienie marki zachodnio-niemieckiej.

POMOC DLA POLSKI

Zachodniemiecki lewicowy tygodnik DIE ZEIT, na pierwszej stronie wydania z dn. 11.05.90 pisze, iż Polska, jak żaden inny kraj, wykazała wielką odwagę w realizacji reform. Główny ciężar przemian spoczywa na społeczeństwie, płace realne spadły o 30%, i na dłuższą metę żaden naród tego nie wytrzyma, dlatego też Polska potrzebuje natychmiastowej pomocy. Ustami premiera Mazowieckiego, który w poprzednim wydaniu tygodnika udzielił obszernego wywiadu, DIE ZEIT twierdzi, iż przede wszystkim należy umozliwić polskie długi, ciężar których, jak kamień w szty, utrudnia stanięcie polskiej gospodarki na nogi.

DIE ZEIT podaje, iż polskie zadłużenie wynosi obecnie 40 mld dol. Wprawdzie w lutym br. Klub Paryski przełożył spłatę polskich długów na dogodnie terminy, ale ciągle nalizczenie procentów od procentów powoduje, iż Polska nie jest w stanie spłacać nawet tych ostatnich. 20 mln dolarów z 1980 roku urosło do 40 mld w br., mimo że — jak podkreśla DIE ZEIT — Polska w tym okresie spłaciła aż 20 mld dol.

W POLSCE NAJTAŃSZA BENZYNA

Jak podaje FAZ z dn. 10.05. najtaniej benzynę można obecnie kupić w Polsce. 1 litr super kosztuje w przeliczeniu 0,43 DM, czyli ok. 50% taniej niż w okresie obowiązywania talonów, którymi zachodni turyści płacili za benzynę. Tanie tankować można także na Węgrzech — 0,86 DM, w Turcji 0,87, Bułgarii 0,96 i Jugosławii 0,98.

**CZY "POLSKI RYNEK" ZNIKNIJE Z PEJZAŻU
BERLINA ZACHODNIEGO?**

Polska zainteresowana jest ścisłą współpracą z obydwojoma państwami niemieckimi jak również Berlinem Zachodnim, szczególnie z policją i urzędem celnym —



foto. Waldemar Kremser

oświadczył na konferencji prasowej dyrektor oddziału konsularnego polskiego MSZ, Szumski w siedzibie Misji Wojskowej w Berlinie Zach. w dn. 9.05. Poinformował on o zastrzeżeniu przez Polskę kontroli granicznych, w celu zataimowania "pewnych patologicznych zjawisk" (TAGESSPIEGEL, 10.05.). W normalnym języku, chodzi tu o likwidację tzw. polskiego rynku, z którym od ponad dwóch lat — jak dotąd bezskutecznie — "walczy" zachodniobierliński Senat, a dla wielu berlińczyków stał się on stałym elementem w życiu tego miasta.

Nowe przepisy mają przede wszystkim ograniczyć handel na czarno [w języku lewicowego TAGESZEITUNG (9.05.) "mały eksport!"] i zlikwidować rodzące się przesady i uprzedzenia.

Z drugiej strony zwiększona aktywność zachodniobierlińskiej policji, zarówno mundurowej jak i cywilnej, wysokie grzywny pieniężne dla kupujących, spowodowały — z niejaką satysfakcją donosi TAGESSPIEGEL z dn. 4.5.90 — iż w dn. 3 maja na polskim rynku zaobserwowano tylko 200 osób, aresztowano 12 nielegalnych handlarzy.

MERCEDES W SOWIETACH?

Renomowana zachodniemiecka firma samochodowa Daimler-Benz AG ma zamiar od 1997 roku rozpocząć produkcję w ZSSR jednego z modeli mercedesa. W oddalonym o 1000 km od Moskwy mieście Jelabuga, w nowo wybudowanej fabryce (przy współdziałaniu włoskiego koncernu samochodowego Fiat), produkować się będzie rocznie 300 tys. mercedesów.

Zachodniemiecki konserwatywny dziennik FRANKFURTER ALLGEMEINE

ZEITUNG (FAZ) z dn. 30.04.90 podaje, iż roczna produkcja samochodów w Związku Sowieckim wynosi 1,1 mln sztuk.

BIEDA NA WĘGRZECH

Ze wszystkich problemów, jakie nowy demokratycznie wybrany rząd na Węgrzech ma do rozwiązania, jest — jak pisze zachodniobierliński TAGESSPIEGEL (8.05.90) — coraz większa bieda społeczeństwa węgierskiego. 30-procentowa inflacja, malejąca siła nabywcza forinta (od 1985 r. spadła o 50%), wzrost bezrobocia, brak mieszkań, a przede wszystkim brak zabezpieczenia socjalnego dla ludzi biednych powoduje, iż coraz więcej osób żyje na ulicy. W dwumilionowym Budapeszcie — podaje TAGESSPIEGEL — funkcjonuje jedno schronisko dla bezdomnych z 30 miejscami, przy szacowanych 10 tys. osób bez dachu nad głową.

FOTOKOPIARKI DLA ZSSR

Rank Xerox, jeden z największych producentów fotokopiarek, ujawnił plany czterokrotnego zwiększenia swojej oferty na rynek sowiecki w ciągu najbliższych pięciu lat. Ze względów politycznych wcześniej rynku tego być nie mogło. Liczba fotokopiarek na 1 mln obywateli ZSSR wynosi 40, kiedy na Zachodzie jest ich odpowiednio 3000. (THE TIMES, 2.05.)

ROCZNICA CZERNOBYLSKIEJ TRAGEDII

Jak donosi NEWSWEEK z 7.05., trzeba było aż czterech lat, aby niektóre fakty o skutkach wybuchu w Czarnobylu ujrzały światło dzienne. 26 milionów dolarów, jakie parlament sowiecki przeznaczył w tym roku na pomoc ofiarom tragedii, jest kroplą w morzu potrzeb, które deputowany ukraiński, Jurij Szczerbak, szacuje na 415 miliardów. Przypuszcza on, że liczba ofiar śmiertelnych wynosi 300, a nie 31, jak utrzymują źródła rządowe. Liczba chorych na białaczkę w okręgu mińskim wzrosła z 41 pięć lat temu do obecnie 93 na milion mieszkańców. Istnieją obawy, że jeszcze długo pełny obraz strat nie będzie znany, bo nadal czeka się na opublikowanie map informujących o poziomie skażenia plutonem na Białorusi.

WIDMO ANTYSYMITYZMU

NEWSWEEK z 7.05. ostrzega przed odradzającym się na gruzach komunizmu antysemityzmem. Zadaje pytanie, czy uda się utrzymać takie siły jak "Pamięć" w ZSSR, wschodniemieckich faszystujących skinheadów, czy też rumuńskich sympatyków "Żelaznej Gwardii" na obrzeżach życia poli-

tycznego. W Polsce, gdzie według NEWSWEEKA żyje 4400 Żydów, mieszanika nacjonalizmu, katolicyzmu, antykomunizmu i trudności ekonomicznych niezwykle sprzyja oddolnemu rozwojowi populistycznego antysemityzmu.

GOSPODARKA RYNKOWA JEDYNYM RĄTKIEM DLA ZSSR

W wywiadzie udzielonym w przerwie meczu piłkarskiego Stanisław Szatalin, doradca ekonomiczny prezydenta Gorbaczowa, zapewniał ostatnio kibiców, że nie mają powodu obawiać się wolnego rynku. Jest to jeden z sygnałów, że zdesperowane kierownictwo sowieckie nie może już dłużej odkładać wprowadzenia w ZSSR praw rynkowych, których nie udało się zastąpić komunizmem. Według danych z 1988 roku, 28 na 100 obywateli sowieckich żyje poniżej oficjalnej granicy ubóstwa. (INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE, 14.05.)

Hamburski magazyn polityczny DER SPIEGEL (nr 21) podaje, iż 3 min obywateli ZSSR nie ma dachu nad głową, 8 min jest bez pracy a 43 min żyje poniżej minimum socjalnego. (DER SPIEGEL, 21.05.)

CO ZROBIĆ Z WAŁĘSĄ?

Tygodnik L'EVENEMENT DU JEUDI (26.04.-2.05.) w artykule "Strapienia Wałęsy" pisze: "Lech Wałęsa stał się przedmiotem sporu. Uważano go za wielkiego mówcę, subtelnego taktika, przywódcę — i taki on jest. Teraz mówi się, że jest samochwałą, błęgiem, demagogiem, działa w sposób autokratyczny, trudny do przewidzenia — i taki także on jest. Niektórzy — w tym nawet jego przyjaciele — zaczynają obawiać się, że Wałęsa skoncentruje w swoich rękach pełnię władzy. Cóż może go zatrzymać, skoro żaden z jego towarzyszy nie może rozsądnie stawić czoła jego kandydaturze? Zwłaszcza, że jeśli nie on zostanie prezydentem, pojawi się poważny problem: co wtedy zrobić z Wałęsą?"

KUROŃ O BEZROBOCIU

Jacek Kuroń udzielił wywiadu paryskiemu tygodnikowi LE NOUVEL OBSERVATEUR (19-25.05.) wypowiadając się m.in. na temat bezrobocia: "Zjawisko właśnie daje o sobie znać. Ale na 260 tys. bezrobotnych, którzy ubiegali się o zasiłek pod koniec marca, ponad połowa nigdy nie pracowała i teraz wykorzystuje nową sytuację. W końcu to nie ja werbuję do pracy, a najważniejszym problemem jest postawa ludzi: oczekują, że rząd znajdzie im zatrudnienie. W Polsce ludzie znajdują się naprawdę w straszliwej ne-



dzy. Ale bieda to jedna sprawa, a bezrobocie to druga. Na razie między tymi dwoma zjawiskami nie ma u nas wielu związków. Największym moim zmartwieniem jest problem ludzi młodych: w tym roku naukę kończy 360 tys. osób i zwłaszcza oni zostaną dotknięci bezrobociem. Trzeba się nimi zająć, a przede wszystkim »wyłowić« najbardziej dynamicznych i utalentowanych."

WAŁĘSA WYPOWIADA WOJNĘ MAZOWIECKIEMU.

Jak donosi zachodniobermberski liberalny TAGESSPIEGEL z dn. 15.05., Wałęsa zdysantował się wobec "solidarnościowego"



rys. Beata Urbańska

rażu Tadeusza Mazowieckiego. W mowie wygłoszonej w Warszawie, w niedzielę dn. 13 maja stwierdził, iż aby zapobiec zamieszkom, do których może dojść z powodu rosnącej biedy i coraz większego niezadowolenia społeczeństwa, oraz zagwarantować pluralizm w Polsce — zmuszony jest wypowiedzieć wojnę obecnemu rządowi. Od czasu objęcia rządów przez T. Mazowieckiego, Wałęsa "był na urlopie". "Dzisiaj zakańczam urlop, bo chcę wojny teraz, by na najniższym poziomie był pokój. Zapraszam was do walki". TAGESSPIEGEL dodaje, iż najnowsze ataki Wałęsy pod adresem rządu są rozpozyczeniem jego kampanii prezydenckiej. Wałęsa jest sfrustrowany, gdyż został zepchnięty na polityczne ubocze, oraz tym, że w czasie ostatnich badań opinii publicznej wyładował na 4 miejscu i to za ...Wojciechem Jaruzelskim. Rzecznik rządu Małgorzata Niezabitowska zarzuciła Wałęsę, że przyczynia się do powstawania niepotrzebnych napięć między "Solidarnością" a rządem, co "nie służy naszemu krajowi", ale — na zakończenie podaje TAGESSPIEGEL — "pan Wałęsa ma prawo to robić".

MOSKWA WSTRZYMUJE WYCOFYWANIE WOJSK Z NRD

Rozpoczęła przed dwoma laty jednostronna inicjatywa ZSSR wycofywania wojsk z NRD została zastopowana. "Przyczyna nie jest natury politycznej" — oświadczył rzecznik ministerstwa obrony RFN — "lecz gospodarczej." Dla powracających żołnierzy brakuje po prostu mieszkań i miejsc pracy. Z 400 tys. stacjonujących sowieckich żołnierzy w NRD, 36 tys. miało powrócić do domu. Do tej pory terytorium NRD opuściło 11 tys. żołnierzy. Z 7 tys. stacjonujących czołgów 4 tys. miały zostać wycofane — do tej pory do ZSSR odtransportowano tylko 2 tys. Podobnie wygląda sytuacja z samolotami. Ze 140 wycofano dopiero 100 — podaje TAGESSPIEGEL z dn. 17.05.90.

Sytuację pogorszyło jeszcze to — podaje FAZ z 17.05. — iż Związek Sowiecki zobowiązał się wycofać do końca lipca 1991 roku wszystkie wojska z terytorium Czechosłowacji i Węgier. Powracające wojska wraz z rodzinami z braku koszar czy też prywatnych mieszkań bawią w namiotach.

"Srowadzamy żołnierzy do domu, ale nikt nie zastanowił się nad kosztami, rodziny pozostają bez mieszkań i pracy, dzieci bez szkół" — skarży się szef sztabu generalnego armii sowieckiej, Michaił Moisiejew. (DER SPIEGEL, nr. 20)

POMOC DLA POLSKI I WĘGIER

Europejska Wspólnota zatwierdziła ko-

lejnny program pomocy dla Polski i Węgier w wysokości 177 mln DM. Sumy te przeznaczone są przede wszystkim na usuwanie szkód w środowisku naturalnym, prywatne rolnictwo, prywatne inicjatywy oraz stworzenie nowoczesnego systemu finansowego. W sumie EW ma zamiar w tym roku udzielić pomocy Polsce i Węgrom w wysokości 615 mln marek.

Polska jest najbardziej zanieczyszczonym krajem w Europie — stwierdził rzecznik komisji EW. Jedna trzecia wód jest tak zanieczyszczona, że nie nadaje się nawet do przemysłowego wykorzystania. Na Śląsku i w rejonach Krakowa powietrze jest najbardziej zapyłone, rocznie na 1 km² spada ponad 100 ton dwutlenku siarki. (TAGESSPIEGEL, 17.05.)

NAJAZD WSCHDNIOEUROPEJCZYKÓW NA NRD

W nadziei polepszenia warunków socjalnych coraz więcej obywateli krajów wschodnioeuropejskich przybywa do NRD. Dziennie do Berlina Wschodniego przyjeżdża od 50 do 70 Rumunów. Tysiące są "w drodze". Coraz częściej meldują się także sowieccy Żydzi, którzy chcą się osiedlić w NRD. Mimo tej zaostrożonej, a przede wszystkim nowej sytuacji, władze NRD nie planują zamknięcia granic dla obywateli z krajów Europy Wschodniej — podaje konserwatywny dziennik FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG z dn. 14.05.90.

Zachodniobrytyjski TAGESSPIEGEL z 14.05. do- daje, że w sumie przyjęto już 3 tysiące osób z Europy Wschodniej, a dalsze "15 tysięcy osób znajduje się w drodze nad Szpewę". Dziennik podaje, iż ponad 20 tys. obywateli polskich złożyło podanie o przyznanie im obywatelstwa NRD. Władze wschodniemieckie liczą się również z napływem tysięcy Włochów, gdyż z dniem 21 maja zniesiony zostanie obowiązek wizowy między Włochami a NRD.

KUWEJT PLANUJE INWESTYCJE W POLSCE

Jak podaje konserwatywny dziennik FAZ z dn. 14 maja, na początku marca przebywała w Kuwejcie delegacja polskiego mini-

sterstwa handlu zagranicznego, która debatowała na temat partycypowania Kuwejtu w rafineriach w Gdańsku i Płocku. Kuwejtwi zaproponowano także udział w przemyśle tekstylnym i stoczniowym.

ROCZNICA ZWIADOWCZEGO LOTU

13 maja, w 30-tą rocznicę zestrzelenia amerykańskiego samolotu szpiegowskiego U-2, które miało miejsce 1 maja 1960 roku, Związek Sowiecki podał szczegóły tego incydentu "obciążającego przez lata stosunki sowiecko-amerykańskie". Sowiecka gazeta KRASNAJA ZWIEZDA podaje, iż 1.05.60 nad Swierdłowskiem zestrzelono amerykański samolot zwiadowczy U-2 z pilotem Francisem Garym Powersem. Gazeta uzupełnia, iż oprócz Powersa zestrzelono także własny samolot z dwoma pilotami na pokładzie, który ścigał amerykańskiego szpiega.

Incydent ten spowodował, że 19 dni później doszło do zerwania rozmów na szczycie między ówczesnym prezydentem amerykańskim Eisenhowerem i sowieckim przywódcą partyjnym Chruszczowem oraz

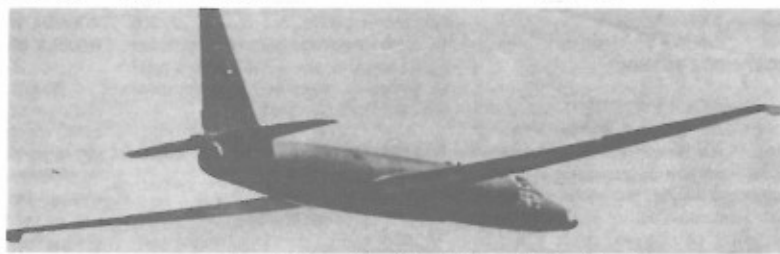
Powersa na wysokości 20 tys. metrów, spadł na ziemię.

Amerykański pilot Powers, który leciał z Pakistanu przez Sowiety do Norwegii, po uszkodzeniu samolotu przez sowiecką rakietę, nie uruchomił zgodnie z instrukcją systemu samoniszczonego i nie popelił samobójstwa — dostał się do niewoli. 3 lata później został on wymieniony na sowieckiego szpiega Rudolfa Abela.

KGB NIE GROZI BEZROBOCIE

MOSKWA. "Oddziałom KGB wyznaczonym do ochrony Kremia nie grozi bezrobocie. Każdego miesiąca zatrzymuje się dziesiątki podejrzanych osób. W przeddzień 1 maja zatrzymano przy wejściu mężczyznę posiadającego ładunek wybuchowy."

Tygodnik L'EVENEMENT DE JEUDI (4-11-04) przytacza fragmenty broszury amerykańskiej skierowanej do turystów udających się do ZSSR: "W wielkich miastach jest tak niebezpiecznie, że turysta może zostać zaatakowany, zdupiony do gołej skóry, zgwałcony lub pobity. Odradza się chorować



Amerykański samolot zwiadowczy U-2, poniżej Francis Gary Powers.



nie doszło do dalszych; zaplanowanych już wcześniej spotkań na szczycie.

Chruszczow "dowiedział się o zestrzeleniu amerykańskiego samolotu U-2 w czasie 1-majowej parady. Wiadomość dostarczył mu osobiście komendant sił powietrznych Związku Sowieckiego, marszałek Birju, informując go, iż amerykański samolot został zestrzelony najnowszą rakieta przeciwlotniczą SA-2. Zachwycony Chruszczow pogratulował na trybunie jeszcze bardziej szczęśliwemu marszałkowi, który "zapomniał" — zapewne w wzruszeniu — dodać, że druga rakietą zestrzeliła własny samolot IL-19 oraz że najnowszy typ samolotu SU-9, przeznaczony do lotów na dużym pułapie, nie posiadający na pokładzie uzbrojenia, po nieudanej próbie staranowania

w czasie podróży ze względu na fatalne wyposażenie szpitali, a już w żadnym wypadku nie należy w ZSSR umierać, gdyż koszty przewoźni zwłok są kolosalne."

**Polsche
Buchhandlung
Księgarnia Polska
w Austrii**

A-1070 Wien,
Burggasse 22,
tel. 0222/ 9387222

katalogi wysyłamy na życzenie

**Polsche Versandbuchhandlung
Polska Księgarnia Wysyłkowa**

Bodenbacher Weg 9
6000 Frankfurt/M 70
tel. 069/6313977

Zbigniew Mikołajko

Kościół katolicki w Polsce

Katolicyzm polski stoi w obliczu głębokich napięć wewnętrznych, może nawet w obliczu kryzysu. Nie dlatego, że jest to katolicyzm w sensie społecznym słaby: wszystkie badania z lat osiemdziesiątych stwierdzają, że za jego wyznawców uważa się ponad 90% Polaków (dane urzędowe Kościoła mówią o 94,5%). Lecz właśnie owa masowość polskiego katolicyzmu leży u źródeł wielu krytycznych sytuacji. Rzecz nie sprowadza się jednak do samej masowości.

Wymuszone "spotkanie" z komunizmem i właściwą mu represyjnością sprawiło, że katolicyzm polski pozostał poza procesem ogromnych zmian społecznych — uprzemysłowieniem, urbanizacją, wędrowną milionowych rzesz ze wsi do miast i ze wschodu na zachód. W obliczu tych zjawisk utrzymał on postać katolicyzmu ludowego czy raczej wiejskiego, na dodatek katolicyzmu budowanego jeszcze w obrębie feudalizmu i kontrreformacji XVII-XVIII w. W ten sposób obarczony on został zestawem cech typowych dla małej, zamkniętej społeczności rolniczej, w której wszystkie role, aurytety, wartości były na stałe określone przez "odwieczne" prawa. Religia, obok języka, stanowiła jedyną więź takiej wspólnoty z narodem, którą potwierdzało się w akcie pielgrzymowania ku religijnemu "sercu" Polski — Jasnogórskiemu Obrazowi.

W ludowym katolicyzmie religia i związana z nią moralność mają charakter publiczny. Nie ma tu prawie miejsca na duchowość intelektualną, mistykę, teologiczną spekulację, na osobiste borykanie się ze złem, z grzechem. Wewnętrzny świat religijny człowieka zastąpiony zostaje przez normy nadane z zewnątrz, przez gromadny obyczaj. Stąd w katolicyzmie polskim liczy się przede wszystkim skrupulatne wypełnianie praktyk, wyzuty z głębszych treści rytualizm, a nie intymne przeżycie własnej wiary i wiedza religijna. Podobnie z moralnością, której przestrzeganie wynika z obawy przed sankcjami otoczenia, nie zaś z wewnętrznej akceptacji zasad Dekalogu. Kiedy więc ustaje groźba takich sankcji — np. po przeniesieniu się ze wsi czy miasteczka w anonimową przestrzeń wielkiego miasta — dokonuje się niemal zupełny rozpad moralny. Jeśli więc szukać tajemnicy rozziwu między powszechnością polskiego katolicyzmu i powszechnością łamania norm moralnych chrześcijaństwa, tkwi ona w więksim czy małomiasteczkowym rodowodzie mieszkańców wielkich miast i regionów przemysłowych, nie mówiąc już o tragicznym "rozdwojeniu" społecznym miliońskiej armii chłopów-robotników.

Na tle konserwatywnego, drobiazgowego podejścia do praktyk religijnych, połączonego z wybiórczym przestrzeganiem nakazów i zakazów etycznych, z wątpliwą duchowością, z niezajomością katechizmowych nawet prawd wiary, tworzy się "katolicyzm selektywny", przekształcający 2/3 wierzących Polaków w "nieświadomych herektyków" (terminy ks. W. Piwowarskiego). Dodać do tego należy klerykalizm polskiego katolicyzmu, a więc dominację duchowieństwa nad Kościołem jako Ludem Bożym. Ostatecznie więc — jak zauważa ks. Piwowarski — mamy w Polsce do czynienia jak-

by z dwoma katolicyzmami: "odświętnym", narodowym, "globalnym", który wyraża się masowością praktyk i tłumnym uczestnictwem w uroczystościach, i niskim, ubogim w doświadczenia duchowe i moralne katolicyzmem "na co dzień". Próby wzbogacenia duchowego naszego katolicyzmu przez "poziome" ruchy wspólnotowe (ruch charyzmatyczny, neokatechumenat, oazy itp.) były tylko fazą przejściową, osiągając swe apogeum w stanie wojennym i bezpośrednio po nim.

Nie przeżył też Kościół polski z taką, jak na Zachodzie, ostrością reform Soboru Watykańskiego II. Wobec gwałtownego konfliktu z państwem Gomułki kardynał Wyszyński zmuszony był do ostrożnego i powolnego na nie otwarcia — większość przyjętych zmian ograniczyła się do liturgii i połowicznych, kompromisowych rozwiązań organizacyjnych, z wyciszeniem i ograniczeniem dyskusji teologicznych.

Katolicyzm był w swoim czasie jedyną poważną alternatywą totalitarnego państwa i komunizmu. Obciążała go z jednej strony konieczność pełnienia rozmaitych funkcji "zastępczych" (symbolu tożsamości narodowej czy schronienia dla rozmaitych wolności politycznych i społecznych, nawet gospodarczych), z drugiej strony był zastępczym światopoglądem: pojawiał się "zamiast" filozofii, ideologii, polityki. A przynajmniej uzupełniał te sfery: ludzie prawiacy szukali w nim tożsamości narodowej, ludzie opozycyjnej lewicy (patrz: głośna książka Michnika "Kościół — lewica — dialog") odwoływali się do katolickiej nauki społecznej. Od solidaryzmu do "Solidarności" droga zdawała się być prosta. Zespolenie wiary ze świeckimi funkcjami "zastępczymi" nabrało mocy szczególnej w stanie wojennym: "uczyni z nami cud" — mówiła pieśń — i cud stawał się — od płaczącego krzyża w Słupsku po puławską "Madonnę na drzewie", od Dolnego Śląska po mazowieckie miasteczko.

W postkomunistycznej rzeczywistości funkcje "zastępcze" muszą siłą rzeczy wygasnąć. Widać to już teraz, mimo że większość partii i ugrupowań odwołuje się do zakorzenienia w katolicyzmie. Z jednej jednak strony Kościół nie może się utożsamiać z żadną ideologią i żadnym ruchem politycznym, nawet określającym się jako chadecki czy katolicki, z drugiej katechizmowa, szczątkowa wiara działaczy, ich "ludowy" katolicyzm nie wystarcza jako argument polityczny. Warto od tej strony przyrzeć się np. sejmowemu wystąpieniu posłów Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, zwłaszcza posła Marka Jurka, których cały oręż polityczny zdaje się sprowadzać do sloganu "Polak-katolik", dziecinnych niemal wierszyków ("Tylko pod krzyżem..."), filipik przeciw "pornografii" i "lewicy laickiej".

Odżywa więc wprawdzie — silny zawsze w Polsce — związek między narodową prawicą i katolicyzmem, ale może uzyskać on wsparcie kościelne co najwyżej na poziomie parafialnym, tak jak znalazła je grupa Giertycha w warszawskim kościele Wszystkich Świętych. Model "katolicyzmu narodowego" nie rozszerzy się zresztą poważnie w Ko-

ściele polskim, zbyt mocno bowiem przeszkadza na kontakto-
wi Kościoła polskiego z Zachodem, nasuwając skojarzenia z
"odruhowym" jakoby antysemityzmem Polaków (pokazują to
meandry wokół sprawy oświęcimskiego Karmelu), z drugiej
utrudnia watykańską politykę wschodnią, w której Polska po-
jawia się głównie jako punkt "odbicia" ku Rosji. Jeśli więc dzi-
saj w "obozie belwederów" liczba prahałów zaczyna z wolna
dorównywać liczbie generałów, a prezydent coraz chętniej po-
kazuje się na patriotycznych mszach, otrzymując dyskretne
wsparcie hierarchii, można w tym widzieć właśnie elementy
owej *Ostpolitik*.

O ile jednak "katolicyzm narodowy", mimo rozmnożenia
się holdujących mu stronictw, rozbija się o polityczne realia, o
tyle model "katolicyzmu ludowego", utrwalony w masowych
praktykach religijnych, napotkać musi opór społeczeństwa
świeckiego.

Na jesieni 1989 r. zaledwie jedna trzecia Polaków opo-
wiedziała się w ankiecie katolickiego tygodnika francuskiego
La Vie za uczestnictwem osób duchownych w życiu politycz-
nym (wobec 84% Rosjan i 49% Węgrów). Zarazem — według
sondażu OBOP-u — tylko 15% badanych dopuszcza wpływ
Kościoła na program telewizyjny, a 14% na repertuar kin i teat-
rów. Głębsze napięcia ujawniają się też w kwestiach życia
małżeńskiego i etyki seksualnej: w okresie czwartej kampanii
wyborczej okazało się np., że opinia publiczna dzieli się w
sprawach aborcji na dwie równe części (44% było za przery-
waniem ciąży, 46% — przeciw). Za aborcją opowiadają się przy-
tym częściej mieszkańcy wielkich miast, młode kobiety, inteli-
gencja, robotnicy wielkoprzemysłowi, zaś wieś, ludzie starzy,
głównie kobiety, jest raczej przeciw. Nasilają się też żądania, by
rozwoły świątek były sankcjonowane przez prawo kościelne.
Sytuacja kryzysowa wystąpi zapewne także w obrębie praktyk
religijnych: we wspomnianej ankiecie tygodnika *La Vie* Polacy
— dziesięciokrotnie częściej niż Rosjanie i pięciokrotnie czę-
ściej niż Węgrzy — sądzą, że w demokratycznych warunkach
nastąpi ich osłabienie. Można też sądzić, że pojawi się również
"kryzys pluralizmu" myśli katolickiej, z właściwą mu mnogo-
ścią ruchów i struktur "poziomych", oddolnych. W każdym ra-
zie likwidacja cenzury państwowej odłoni problem cenzury
kościelnej, a brak lęku przed komunistycznym zagrożeniem
może spowodować otwarcie rynku idei dla "podejrzanych"
teologów. W połączeniu z "katolicyzmem selektywnym" i "nie-
świadomą herezją", może to stworzyć dla polskiego katolicyz-
mu "mieszankę piorunującą", a w każdym razie przeobrazić
Polskę — na podobieństwo Francji lat czterdziestych — w nowy
obszar misyjny. Mimo zewnętrznych oznak powszechnego
przywiązania do świata wartości katolickich.

Zbigniew Mikołajko

Księgarnia wysyłkowa

WAWEL

Stephanstrasse 11
5000 Köln 1
tel. 0221/246160

Antysemityzm w Europie Wschodniej

Wraz z budzeniem się świadomości narodowej w Europie
Wschodniej rośnie fala antysemityzmu — podaje zachodnio-
niemiecki dziennik *Süddeutsche Zeitung* z dn. 22.05.90. Szczególnie
widoczne jest to — jako efekt uboczny rodzącego się pluralizmu
— w takich krajach jak Związek Sowiecki (organizacja "Pamięć")
i w Rumunii (organizacja "Vatra Romaneasca").

Według ankiety przeprowadzonej przez amerykańskich
Żydów w Moskwie, 77% respondentów nie jest wolnych od an-
tysemickich uczuć. Exodus Żydów (w ub. roku ZSSR opuściło
71 tys. sowieckich Żydów, zaś w tym roku opuści ok. 850 tys.)
spowodowany jest w pierwszym rzędzie obawą przed nowymi
pogromami, które w Rosji "mają straszliwą tradycję". Dziennik
podaje, iż w Związku Sowieckim żyje 1,8 mln Żydów.

W styczniu bieżącego roku w Rumunii "nacionalistycznie
ukierunkowani intelektualci", w celu obrony narodowej spu-
ścizny, utworzyli półlegalną organizację "Vatra Romaneasca".
Szowinizm, resentymenty narodowe, przede wszystkim przeciw-
ko węgierskiej mniejszości narodowej zamieszkującej Siedmio-
gród, oraz antysemityzm — to charakterystyka tej organizacji.

Süddeutsche Zeitung podaje, iż w latach 1939-45 faszysty
rumuńscy poprzez deportację i masakry "obniżyli" ilość Żydów
zamieszkujących Rumunię z 800 do 400 tys. W czasie panowa-
nia Ceausescu "stworzona została możliwość emigracji Żydów
rumuńskich do Izraela", tak że obecnie Rumunię zamieszkuje
tylko 20 tys. Żydów. Gazeta donosi również, iż w lutym br. w
mieście Oradea doszło do profanacji grobów żydowskich na
tamtejszym cmentarzu. Pojawiły się także antyżydowskie
napisy. Dzisiejszy antysemityzm, jak twierdzi Wielki Rabin Bu-
karesztu, nie jest tak "silny" jak w przeszłości, jednak odczuwal-
ny. W Bukareszcie, obok jednej z największych synagog w Euro-
pie Środkowej, działa jedyne w Europie Wschodniej seminarium
dla rabinów oraz liceum żydowskie.

"Klasyycznym przykładem antysemityzmu bez Żydów jest
Polska" — donosi dziennik. Do tego wniosku doszli uczestnicy
symposium zorganizowanego w dniu 25 kwietnia br. w Krako-
wie, poświęconego stosunkom polsko-żydowskim. Na prawie
40 mln mieszkańców Polski tylko 5 tys. osób to Żydzi, mimo to
antysemityzm Polacy mają w krwi od wieków. Gazeta pisze, iż
podczas kampanii wyborczej do rad narodowych pojawiły się
liczne antysemickie hasła.

Na zakończenie *Süddeutsche Zeitung* podaje, iż w Czecho-
słowacji i Bułgarii antysemityzm prawie nie istnieje — z powodu
właściwie braku Żydów. W Czechosłowacji żyje ich tylko 2 tys.,
bowiem z 300 tys. Żydów, którzy zamieszkiwali Czechosłowację
przed II wojną światową, połowa została zamordowana przez na-
zistów w czasie II wojny światowej, a reszta wyemigrowała do Iz-
raela. W Bułgarii żyje obecnie około 5 tys. osób żydowskiego po-
chodzenia, którzy w większości integrowali się z narodem buł-
garskim.

Lewicowy zachodniobrzeński dziennik TAZ z 21.05.90
podaje, iż po ostatniej profanacji grobów, do jakich doszło we
Francji i w Izraelu, podobne przypadki zanotowano również w
Kanadzie. W mieście Quebec i Ottawie zostało zniszczonych ok.
30 nagrobków żydowskich. Nieznani sprawcy pozostawili po so-
bie napisy typu SS, IV Rzesza czy też swastyki. Według danych
Żydowskiego Kongresu w Kanadzie był to czwarty przypadek (w
ciągu ostatnich 9-ciu miesięcy) zniszczeń grobów żydowskich.

TAZ podaje, iż obecnie w Kanadzie żyje około 300 tys. Ży-
dów, so stanowi 1% ludności Kanady.

Nie jesteśmy narzędziem Wałęsy

Wywiad z przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ "Solidarność" Lechu Wałęsie, dr. Zdzisławem Najderem

— Czym jest dzisiaj Komitet Obywatelski i na jakiej podstawie prawnej działa? Czy jest czymś w rodzaju prywatnej fundacji czy też prywatnego Towarzystwa Lecha Wałęsy?

— Komitet nie ma osobowości prawnej. Osobowość taką posiada Fundacja Obywatelska i ona dysponuje pieniędzmi. Tak się przy tym składa, że prezes Fundacji, pan Henryk Wujec, jest jednocześnie sekretarzem Komitetu. On rozdziela pieniądze razem z Radą Fundacji. Komitet nie jest ani towarzystwem, ani klubem przy Lechu Wałęsie. Jest to ciało wyłonione trzy lata temu na zasadzie doboru przez Wałęsę i sugestii jego doradców, spośród ludzi wywodzących się z różnych środowisk i reprezentujących najwyższy autorytet moralno-ideowy. To ciało stara się realizować różne zadania, jakie przed nim stają. Pierwszym zadaniem było wyłonienie kandydatów na posłów i senatorów i przeprowadzenie kampanii wyborczej. Po tym zadaniu Komitet nabral oddechu i zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Obecnie jego zadaniem — jak to widzi Wałęsa i jak to widzę ja, — jest z jednej strony udział w wyborach samorządowych, z drugiej strony rozszerzenie platformy wymiany myśli politycznej w Polsce.

— Komitet Obywatelski jednak funkcjonuje jakby poza prawem, poza jakimś statutem czy aktem notarialnym. Trochę tak jak "Pogład", który w Polsce dopiero składa odpowiednio wnioski o rejestrację. Czy, dochodząc do praworządności, czy powinniśmy swojej działalności formalizować?

— Jak najbardziej. Dlatego już na pierwszym zebraniu, które prowadziłem, zgłosiłem postulat powołania komisji regulaminowej, by



Zdzisław Najder

foto. Jarosław M. Gofiszewski

ZDZISŁAW NAJDER — uł. w 1940 r. w Warszawie. W 1943 roku napisał pracę na temat kompleksów piętrowych am. Lefewela w Warszawie. W 1949 roku zdał maturę w liceum im. T. Rejana. W latach 1949-54 studiował literaturę polską na Uniwersytecie Warszawskim. Do 1952 roku studiował także filozofię pod kierunkiem prof. W. Tatarkiewicza. Od 1952 do 1957 pracownik Instytutu Badań Literackich PAN. Od 1958 przez rok asystent przy Katedrze Estetyki UW kierowanej przez prof. W. Baudouina. Doktorat z filozofii na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1970. Habilitacja z literaturoznawstwa w IEL PAN w roku 1977 (biografia Conrad). W latach 1957-61 i 1969-81 członek zespołu redakcyjnego miesięcznika *Twórczość*. Od 1957 członek Związku Literatów Polskich i Polskiego PEN-Clubu.

Wielokrotnie przebywał jako wykładowca na uniwersytetach zagranicznych. Na prośbienie (za 50-tych i 60-tych) stypendysta Fundacji Forda. Zaspokojony był m.in. przez uniwersytety w Columbia, Yale, Northern Illinois University, czy Katholickim Uniwersytecie w Durr. Wykładał także w zarządzie Cesarskiej Mikasa literatury, w Instytucie Uniwersyteckim w Berlinie. W 1963 uzyskał tytuł Bachelor of Letters w zakresie Filologii na Uniwersytecie w Orlford.

W roku 1976 nakrył w Warszawie zespół pod nazwą Polska Porozumienie Niepodległościowe. W październiku 1981 roku wyjechał do Orlford w celu przygotowania angielskiego wydania biografii Conrada. Od kwietnia 1982 roku do marca 1987 dyrektor Biuro Polskiej Kultury Wolna Europa. W maju 1983 roku za przyjęcie tego stanowiska został pod zarzutem szpiegostwa szlachezki zarządzone przez SW Wydział w Warszawie na karę intercy. W marcu 1987 i odwołany z RWE i oświadczył się we Francji. W 1989 r. stał w Warszawie oczekując go z zakresu szpiegostwa i szpiegostwa. Do dziś często mały wyciek do kraj.

Komitet Obywatelski miał przy najmniej regulamin. W tej chwili jedynym prawem — zwyczajowym — jest słowo przewodniczącego "Solidarności". Tylko on powołuje członków Komitetu, tylko on wyznacza w nim osoby pełniące jakiegokolwiek funkcje i nie ma żadnych innych przepisów. Sam przewodniczący uważa, że tak jest niedobrze. Były próby stworzenia regulaminu, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Nawet nigdy projekt taki nie był debatowany. Ja staram się prace nad nim przyspieszyć. Powinny być przy najmniej określone reguły gry. Na przykład na ostatnim zebraniu zwrócono mi uwagę, że na sali nie ma kworum. Nie ma jednak pojęcia kworum bez regulaminu, bo to on określa, czy wynosi ono np. dziesięć, czy siedemdziesiąt procent. Wyłonił się jednak pogląd, moim zdaniem słuszny, że regulamin trzeba ustalać dla konkretnego ciała, które wie, co chce robić. W tej chwili właśnie toczy się debata na temat celów Komitetu.

— Czy pensje też Pan otrzymuje na zasadzie "prawa zwyczajowego"?

— Pensje wypłaca mi tutejsza księgowość, ale — prawdę mówiąc — jest to dla mnie dość tajemnicze, na jakiej zasadzie funkcjonuje Biuro, którym nie ja kieruję, tylko pan Wujec. Cała strona finansowo-administracyjna należy do Biura.

— Które mieści się w budynku bo byłym PRON-ie.

— Nie wiem, jak ten budynek nam się dostał. Komitet przeniósł się tutaj z ulicy Freta na zasadzie jakiejś rozszady. Nie bardzo wiem, jak to się stało, bo kiedy tu przyszedłem, był on już zajęty.

— Czy uważa Pan, że Komitet, którym Pan kieruje, pomaga w zbudowaniu prawdziwego spektrum politycznego w Polsce czy też proces ten hamuje? Pytam o to w nawiązaniu do wystąpienia Wałęsy na II Zjeździe "Solidarności", podczas którego powiedział, że Pan rozszerzy

platformę polityczną Komitetu Obywatelskiego tak, że będą mogli w niej działać wszyscy, niezależnie od poglądów, czy są na prawo, na lewo czy w środku. Czy zatem Komitet ma być nowym PRON-em?

— Nie, w żadnym razie. PRON i FJN były przecież sterowane przez Komitet Centralny PZPR.

— A Komitet Obywatelski przez Wałęsę.

— Nie, nie jest sterowany przez Wałęsę. On nam nicze-

go nie narzuca. Nie chce narzucać i nie może. Na ostatnim posiedzeniu Komitetu Wałęsa był nawet ostro atakowany. Jest nie do pomyślenia, żeby na posiedzeniach FJN ktoś atakował i sekretarza partii. Te skojarzenia są mylące. My chcemy być platformą wymiany myśli, poglądów prezentacji rozmaitych wizji Rzeczypospolitej, którą chcemy budować. Moją ambicją i zarazem celem, który stawia przed nami Wałęsa, jest to, żebyśmy z pospolitego ruszenia zmienili się w sojuszników.

— Zatem Komitet Obywatelski to nie przyszła partia, tylko forum dyskusyjne?

— Na pewno nie partia, raczej forum. I także pole ćwiczebne dla uczenia się cywilizowanego dialogu politycznego. Powtarzam to, co już mówiłem kilka razy — umiemy walczyć z przeciwnikiem, umieliśmy pokonać wroga, nie umiemy natomiast współpracować ze sprzymierzeńcami. Jeśli ktoś się od nas różni — jak to się skrótowo określa — to podejrzewamy, że jest naszym przeciwnikiem. Jeżeli ktoś skrytykuje jakiś aspekt polityki rządu, jak to na przykład zrobił Wałęsa, jest to poczytywane za atak, za wycofanie zaufania do premiera, za podważanie Rady Ministrów. Jest to po prostu nieporozumienie. Jak panowie wiecie, można krytykować kanclerza Kohla nie wycofując mu zaufania. Można atakować jakiegoś federalnego ministra nie zrywając z rządem i nie przechodząc do opozycji. My tego robić nie umiemy. Nie umiemy się różnić jako sojusznicy.

— Czy zna Pan na Zachodzie odpowiednik ogólnonarodowego forum dyskusyjnego, jakim ma być Komitet Obywatelski?

— Nie znam takiej instytucji, ale nie znam też zachodniego NSZZ "Solidar-



■ Zjazd NSZZ "Solidarność". Od prawej: Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek i Zdzisław Najder fot. J.M. Gołszewski

ność". Takiego związku tam nie ma. Nie ma także komitetów obywatelskich i nie ma sytuacji, żeby 90 proc. ankietowanych nie identyfikowało się z żadną partią polityczną.

— Ale przecież my chcemy tworzyć

»...chcemy być platformą wymiany myśli, poglądów, prezentacji rozmaitych wizji Rzeczypospolitej«

normalne państwo demokratyczne. Wyznacznikiem normalności jest dla nas RFN, Francja, Wielka Brytania, czy państwa skandynawskie. Powinniśmy więc dążyć do czegoś odmiennego, niż to, co się dziś w Polsce tworzy.

— Oczywiście, że dążymy do normalności, ale nie możemy iść drogą ani sowiecką, ani niemiecką, szwedzką, czy francuską. Musi to być polska droga, zbudowana na naszych polskich doświadczeniach.

— Czy nie łatwiej po prostu powielić dobre wzory?

— W jaki sposób? Czy mielibyśmy ludzi batem zmuszać, by zapisywali się do partii? Chyba nie.

— Jednak forum obywatelskie, którego nie ma w innych państwach, nie jest modelem do naśladowania.

»Kierunek, w jaki mamy podążać, ma się wyłonić z dyskusji.«

— Po prostu — albo będziemy czekać nie wiadomo jak długo, aż ludzie zainteresują się partiami i zaczną do nich wstępować, a my będziemy stać z założonymi rękami i czekać — takie opcje też istnieją — albo będziemy starali się

aktywizować postawy obywatelskie, przez dopuszczanie ludzi z rozmaitych ugrupowań, czy spoza nich, którzy będą mówili co mają do powiedzenia. Z wyborami samorządowymi też można było czekać nie wiadomo jak długo. Wałęsa mi mówił: pozakładamy partie polityczne i pójdziemy do wyborów. Na to ja powiedziałem: panie Lechu, partie zakładają się same i ludzie jak chcą, to do nich wstępują. My czekać nie możemy. Spróbujmy iść do wyborów na bazie komitetów obywatelskich, ale tym razem nie jako drużyna Wałęsy. Niech te komitety działają samodzielnie, a komitet przy panu niech będzie takim polem, na którym zakwita sto kwiatów. Tak zrobiliśmy ale nie wiem jaki będzie tego rezultat. Obawiam się, że nie będzie najlepszy, gdyż społeczeństwo jest dość bierne. Bierność ta wynika z ogólnej sytuacji gospodarczej, jeszcze bardziej z politycznej, a także ze zwykłego zmęczenia i nieświadomości tego, czym jest samorząd.

— Ale "sto kwiatów" to jeszcze nie jest spektrum polityczne. Spektrum takie występuje w parlamencie, gdzie ścierają się kontrowersje, a siły opozycyjne walczą o władzę.

— W łonie Komitetu Obywatelskiego istnieją bardzo silne kontrowersje. Muszą istnieć, skoro występują obok siebie pan Bartyzel i pan Bujak, pan Kurowski i pan Bugaj, pan Lipski i pan Grzelak. Panowie ci zyskują u nas pewną platformę, na której mogą się realizować politycznie, a ponadto ćwiczą się w tym, że są w jednej sali i dyskutują na ten sam temat.

— Jako oponenti, ale nie jako wrogowie.

— Z ust mi pan to wyjął.

— Dotychczas Komitet był zdominowany przez siły lewicowe. Czy Pan jest tym, który go popchnie lekko na prawo?

— Nie chcę go popychać w żadną stronę i nie sądzę, żeby był on zdominowany przez siły akurat lewicowe. Rzeźwiście, kierownictwo było dotąd praktycznie w rękach paru osób, które się na ogół określa jako lewicę, choć myślę, że jest to nazwa myląca. Jednakże w całym Komitecie był i jest reprezentowany bardzo szeroki wahlarz poglądów. Osoby, które wymieniałem, z wyjątkiem pana Grzelaka, były w nim od dawna. Jest więc i prawica, i PPS. Przy tym wszystkie opcje są równouprawnione, nie ma żadnej dyktatury, prowadzący zebranie nie narzuca żadnego kierunku. Kierunek, w jakim mamy podążać, ma się wyłonić z dyskusji. W tej chwili różnych ugrupowań politycznych jest ponad sto, ale na przykład tak wspaniała partia jak tradycyjna PPS ma zaledwie parę tysięcy członków, może nawet mniej, inna partia, która ma wspaniałą nazwę — Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe — ma trzy tysiące członków w całej Polsce, toteż ja nie wiem, czy te wielkie partie u nas w ogóle powstaną.

»jedyna droga dla ambitnego polityka ... przebiega przez samorząd.«

Może my jesteśmy nie z tyłu, a z przodu? Na Zachodzie przecież następuje kryzys wielkich partii politycznych. Na co ma my czekać?

— Może na prezydenta Lecha Wałęsę?

— Może, ale to nie rozwiązuje kwestii partii politycznych. Jest to zabieg z zupełnie innej dziedziny. Prezydent przecież może być pozapartyjny. Byli tacy we Francji i gdzie indziej. Jeżeli prezydentem zostanie Wałęsa, Mazowiecki, czy jeszcze ktoś inny, to być może będziemy mieli prezydenta pozapartyjnego, w innym sensie, niż w przypadku Jaruzelskiego, choć oczywiście jest on formalnie bezpartyjny. Zatem pola partyjnego nam to w żaden sposób nie zabuduje.

— Jako przewodniczący Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie jest Pan niewątpliwie zaufanym człowiekiem

»Demokracja ...to zgoda na rozliczanie od dołu, a nie od góry«

przewodniczącego. Powiedziałbym nawet, że jest Pan jego doradcą...

— Nie jestem jego doradcą, bo on nigdy nie pyta o moje zdanie. Czasami, gdy z nim rozmawiam, co nie jest zbyt częste, mówię mu, co myślę, ale to jesz-



»Zjazd NSZZ "Solidarność". Od prawej: Jerzy Kropiwnicki, Zdzisław Najder i Andrzej Słowik fot. J. M.G.

cze nie znaczy, że on mnie słucha.

— Znaczy to, że Komitet nie jest jego...

— ...narzędziem planów politycznych? Zupenie nie. Nie ma takiego układu i nigdy nie było. A Lech Wałęsa rzeczywiście okazuje mi olbrzymie zaufanie, muszę to przyznać. Jestem z tego dumny i staram się go nie nadużywać.

— Był Pan przez wiele lat na Zachodzie, był Pan w warunkach demokratycznych, jednakże przez większość czasu obracał się Pan głównie w środowisku polskim. Stąd pytanie: czy można być demokratą — myślę tu nie tylko o Panu, ale i o innych polskich politykach — znając demokrację tylko w teorii, a nie z autopsji, nie doświadczony w niej sukcesów, a przede wszystkim porażek?

— Ja w życiu politycznym na Zachodzie bezpośredniego udziału nie brałem, ponieważ byłem uchodźcą politycznym bez obywatelstwa, nie mogłem więc uczestniczyć w wyborach. Natomiast obserwowałem to życie dosyć bacznie i w Niemczech, i we Francji, i w Anglii, i swoje doświadczenia staram się teraz przekazywać. W kampanii przed wyborami samorządowymi powtarzałem wszystkim, że jedyna droga dla ambitnego polityka francuskiego przebiega przez samorząd. Wszyscy ważniejsi politycy francuscy poszli tą drogą, zostając merami w swoich miejscowościach. To jest ich baza. Inna droga oznacza pozostawanie funkcjonariuszem partyjnym, co jest i niedogodne, i śliskie. Otóż i u nas w Polsce trzeba zdać sobie sprawę, że do szerszego życia politycznego trzeba będzie przechodzić przez samorząd. Na całym świecie w wyborach samorządowych bierze udział

większy procent ludności, niż w wyborach parlamentarnych. U nas jest inaczej, dlatego że nie rozumiemy, o co chodzi. Panowie mnie pytacie, czy można być demokratą nie mając demokratycznych doświadczeń. Jest to pytanie o to, co było wcześniej — jajko czy kura. Po prostu kiedyś trzeba zacząć. Można być demokratą ucząc się demokracji w działaniu. Demokracja, moim zdaniem, to zgoda na rozliczanie od dołu, a nie od góry, bo to wyborcy muszą decydować, czy zostaną u władzy czy nie. Trzeba się tego uczyć, choć jest to bardzo trudne.

Pytania zadawali: Edward Klimczak i Zbigniew Żbikowski

Wiktor Grotowicz i Stanisław Oles

Czy Polaków stać na optymizm?

Rozmowy ze Zdzisławem Najderem

Pogląd

Do nabycia w berlińskiej redakcji "Poglądu"

Tomasz Dobrzyński

Trudny powrót burmistrza

Jeszcze na dziesięć dni przed głosowaniem sondaże wskazywały, że w wyborach samorządowych zamierza wziąć udział ponad 60% uprawnionych obywateli, a zaledwie 21% decydowało się na absencję przy urnach. Znaczyło to, że zainteresowanie wyborami jest równie duże jak w czerwcu, kiedy rodził się nowy parlament, a może nawet większe, bo z grupy nie zdecydowanych wielu jeszcze mogło się zaktywizować i – jak to się powtarza po komunistach – "spełnić swój obywatelski obowiązek". Rzeczywistość jednakże okazała się gorsza niż najczarniejszy sen. Chętnych do spełnienia obowiązku nie tylko nie przybyło, ale drastycznie ubyło, jakby po zdarciu przykrótkiej koldry cała naga prawda o partnerce wyszła na jaw. Do wyborów poszedł nawet nie co drugi dorosły obywatel Rzeczypospolitej.

Takiego obrotu rzeczy można się było spodziewać wcześniej i wielu obserwatorów właśnie na czterdziestoprocenową frekwencję stawiało. Były to bowiem wybory jakby na próbę, nie do końca serio i nawet przez samych kandydatów nie całkiem poważnie traktowane. Robione były chybkami, bez doświadczenia, często przy mizernej kampanii wyborczej i traktowaniu wyborcy jako maszyny do głosowania. Wyborca polski zaś staje się coraz bardziej wybredny. Już nie tylko wyzbyt się odruchu udziału w wyborach, ale nawet nie reaguje na symbole. Chce, żeby o niego zabiegać. Otóż podczas tych wyborów za mało właśnie o niego zabiegano.

Blisko dwa tysiące przeróżnych ugrupowań, najczęściej o zasięgu lokalnym, wysunęło ponad 120 tys. kandydatów na około 50 tys. miejsc w radach gminnych i miejskich. Na jedno miejsce przypadało średnio prawie trzech kandydatów. Średnia nie oddaje skali zjawiska. Były okręgi, zwłaszcza w dużych miastach, gdzie o miejsce w radzie ubiegali się kandydaci z sześciu list, były też takie, w których nie zgłoszono żadnego kandydata i wybory tam się nie odbyły. Publicyści i politycy winią za to społeczną apatię, zniechę-



...w dużych miastach były okręgi, gdzie o miejsce w radzie ubiegali się kandydaci z sześciu list.



Premier Tadeusz Mazowiecki w dniu 27 maja br. "spełnił swój obywatelski obowiązek".

enie, niewiarę w zmiany i komunistów, którzy do tego wszystkiego doprowadzili. Dlaczego jednak w te społeczne czarne dziury nie wchodzi natchmianst nowi działacze polityczni z nowymi, tym razem "słusznymi" ideałami i programami?

Działacze tak są zajęci obserwowaniem siebie nawzajem i roztrząsa-

nieniem różnic między sobą, że na pracę wśród wyborców niewiele pozostaje im czasu. Dobitym tego przykładem jest konflikt wewnątrz ruchu komitetów obywatelskich związanych z "Solidarnością", który doprowadził do tego, że w wielu miejscowościach zgłoszono po dwie listy "komitetowe", z których tylko jedna sygnowana była firmowym znakiem związku, choć różnic programowych trudno było się między nimi dopatrzeć. Najczęściej obydwie linie wywodzą się z ducha realnego socjalizmu, walcząc z socjaldemokratami o lepsze naśladowanie partyjno-biurokratycznego stylu w tekście programu.

Przy konstruowaniu programu wyborczego, gdy się liczy na masowego wyborcę, trudno uciec od populizmu. Ale skutkiem stawiania na populizm może być odstraszenie tegoż wyborcy, który hasła ma już po dziurki w nosie. Dotyczy to zwłaszcza ludzi młodych, krytycznych wobec wszystkich – "Solidarności", partii chrześcijańskich, lewicy, prawicy i centrum. Wystarczyło odwiedzić zaledwie kilka lokali wyborczych, by się przekonać, że do urn szli przede wszystkim starsi. Młodzież "zawiodła".



Plakaty przedwyborcze: do wyborów stanęło blisko dwa tysiące ugrupowań, wysunięto ponad 120 tys. kandydatów na około 50 tys. miejsc w radach gminnych i miejskich.

Parę dziesiątków tysięcy radnych, którzy od czerwca objęli na swoim terenie pełnię władzy samorządowej, to w większości ludzie, którzy dotąd przy władzy się nie kręcili. Działali natomiast jako bojownicy lepszej sprawy — działacze podziemia, tropiciele nomenklatury i jej spółek, organizatorzy kampanii na rzecz czegoś i przeciw czemuś, nierozważnie związani z systemem, który dopiero co obalili. Jak się sprawdzą w nowych strukturach? Czy będą trawili czas na zwalczanie politycznych przeciwników w radach, czy też zaczną z nimi współdziałać dla spełnienia przedwyborczych, choćby mglistych obietnic? Jeżeli nie przyswoją sobie zasad demokratycznego działania dla osiągnięcia maksymalnego efektu społecznego, to może szybko się okazać, że pierwsza kadencja rad samorządowych będzie równie krótka, jak kadencja pierwszego, częściowo wolnego sejmu. Z drugiej zaś strony nie-

powodzenie samorządów sprawiło by, że widmo rządów silnej ręki stało by się bardziej realne.

Z dwojga złego lepiej już postawić na z lekka kulejącą demokrację. Obserwatorzy z ramienia Rady Europy, do której Polska — jako państwo demokratyczne — aspiruje, nie szczędzili pod adresem Polaków organizujących wybory umiarkowanych pochwał. W ich ocenie Rzeczpospolita zbliżyła się dzięki ustrojowi samorządowemu do demokratycznej Europy na tyle, że niebawem, gdy pokona jeszcze kilka totalitarnych przeżytków, będzie mogła się do niej przyłączyć. Ale czy jest to cel, dla którego warto zamknąć oczy i bez względu na wszystko spełnić "obywatelską powinność" przy urnie? Blisko sześćdziesiąt procent tych, którzy się powstrzymali od



głosowania, powinno być dla "architektów polskiej demokracji" poważnym ostrzeżeniem.

Tomasz Dobrzyński

Zdjęcia Jarosław M. Goliszewski

Jak przebiegała kampania wyborcza?

Ocenę kampanii poprzedzającej wybory do samorządów lokalnych przekazują politycy, działacze i związkowcy.



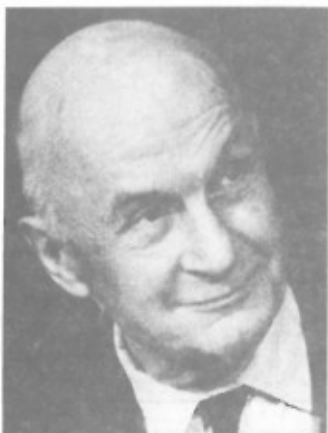
Bolesław Tejkowski

J.M. Golliszewski

BOLESŁAW TEJKOWSKI
(przewodniczący
Polskiego Stronnictwa
Narodowego)

— Działamy w Radzie Porozumiewawczej Polskiego Ruchu Narodowego, skupiającej dwie partie: Polski Związek Wspólnoty Narodowej i Polskie Stronnictwo Narodowe. Uważamy, że kampania przedwyborcza przebiegała prawidłowo. W

zasadzie zarówno w telewizji, jak i w radiu udostępniane było miejsce na wypowiedzi, prezentowanie własnego programu i założeń. Zastrzeżeń zatem nie mamy. Może prócz jednego: czas anteny w ogóle był zbyt krótki. My nie żalimy się, że nas nie ekspozują, przeciwnie — sprawa była ustalona dobrze, demokratycznie, ale postulowaliśmy Generalnemu Komisarzowi Wyborczemu, żeby pewne ogólne sprawy, związane właśnie z kampanią, mogły być przedstawiane w ramach ogólnopolskiego programu telewizyjnego, czego nie uwzględniono.



Władysław Siła-Nowicki

fol. J.M. Golliszewski

WŁADYSŁAW SIŁA-NOWICKI
(przewodniczący
Stronnictwa Pracy)

— Nasz udział był dość skromny, bo bardziej zależało nam na nawiązaniu bliższych kontaktów z wyborcami. Wystąpiliśmy ze swoimi kandydatami, żeby zaznaczyć swoją obecność. Cała kampania była bardzo ograniczona — wybory były przyspieszone i to nie bez tego celu, żeby u-

nieważnić ruchom, poza Komitetami Obywatelskimi, bra-

HENRYK WUJEC
(sekretarz
Komitetu Obywatelskiego
przy Lechu Wałęsie)

— Nie dotarło jeszcze do ludzi, że są to wybory inne niż dotychczasowe wybory do rad narodowych, że one zadecydują o funkcjonowaniu wszystkich instytucji lokalnych przez 4 lata.

Ubiegłoroczna kampania ogniskowała uwagę całej opinii publicznej. Było wiadomo, że są komuniści i opozycja — "my" i "oni", że jest szansa, aby dokonać zasadniczej zmiany. Obecne wybory są po to, żeby doprowadzić do zmiany w skali lokalnej: w gminach, miasteczkach... Sprawa nie jest tak postawiona na ostrzu noża jak wówczas, stąd ludzie podchodzą do wyborów lokalnych mniej emocjonalnie.



Henryk Wujec

fol. A. Bessert

ROMUALD SZEREMIETIEW
(prezes
Partii Niepodległościowej)

— Uznaliśmy, że wybory samorządowe w sytuacji, w jakiej znajduje się Polska, nie są tak ważne, jak o tym zdają się sądzić komisarz wyborczy i środki przekazu. Samorząd będzie ważnym elementem życia społecznego dopiero wówczas, kiedy aparat państwowy ewakuje się na pozycje znane nam z państw demokratycznych, a takiego państwa jeszcze nie mamy.

Uważam, że rozstrzygające będą wybory parlamentarne, natomiast w wyborach do samorządów organizacje tere-



Romuald Szeremietiew

fol. ab

WŁADYSŁAW SIŁA-NOWICKI nie czynnego udziału w kampanii. Przepominało to wybory czerwcowe, w których podstawowym i zgodnym dążeniem ze strony solidarnościowej i PZPR było przespieszenie wyborów. Podyktowane było to przede wszystkim chęcią wyeliminowania tych grup społecznych, które jeszcze nie zdołały należycie okrzepnąć, przygotować się do kampanii wyborczej. Moje podejście jest dość sceptyczne, nie wiem, czy tego rodzaju kampania mogła przynieść rzeczywiste korzystne zmiany.



Piotr Ikonowicz

fol. J.M. Góliszewski

PIOTR IKONOWICZ (lider Polskiej Partii Socjalistycznej - Rewolucja Demokratyczna)

— Wystąpił do min. Halla z bardzo konkretną propozycją. Chodziło o stworzenie możliwości wydawania czasopism przez partie polityczne. Zaproponowaliśmy, żeby każde ugrupowanie, które da się zauważyć, dostało kredyt na

wydanie pierwszego numeru tygodnika w jakimś minimalnym nakładzie. Nie chodziło o dotacje, tylko o to, żeby ludzie mogli zdecydować, jakie gazety, o jakiej opcji, pragną czytać. Trudno prowadzić kampanię wyborczą, kiedy istnieje błędne koło braku demokracji. Mówi się, że partie są małe, a jednocześnie te partie nie mogą się komunikować, między nimi a społeczeństwem jest bariera dostępu do środków przekazu. W tej sytuacji walka jest bardzo nierówna. Z jednej strony takie ugrupowanie polityczne jak Komitet Obywatelski ma wszystko, co chce i robi kampanię od kąd powstał rząd solidarnościowy. Trudno z tym konkurować, gdy ma się pięć, dwie czy jedną minutę w telewizji. Mieliśmy sprawę przeciwko *Gazecie Wyborczej* uważając, że nasze dobra zostały naruszone nierzetelną relacją z 1 maja. Została ona oddalona. W momencie, kiedy *Gazeta Wyborcza*, która ma pół miliona nakładu, napisze źle o różnych ugrupowaniach, to są one praktycznie bezsilne. W tej chwili między nami a społeczeństwem jest gruba, szklana szyba.

ROMUALD SOSNOWSKI (wiceprzewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych)

— OPZZ nie wystawiło własnych list, natomiast wchodziło w koalicję ze wszystkimi środowiskami, których programy były bliskie naszemu programowi, jeśli chodzi o sprawy ludzi zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej, np. z PSL-ami, Zielonymi.

Nie bardzo miałem czas oglądać lokalną telewizję, wiem, że były jakieś przepychanki ze względu na mnogość partii politycznych, co mogło uczynić z telewizyjnych programów wyborczych rzecz nie do "przejedzenia". Wydaje

ROMUALD SZEREMIETIEW nowe PPN mają całkowitą swobodę, jeśli idzie o podjęcie decyzji o udziale w wyborach, zawieranych sojuszach itd. (...)

Rząd wprowadzie deklaruje, że wszyscy mają równe szanse, lecz w praktyce wygląda to tak, iż PPN może głosić swoje poglądy dzięki kilku powielaczom, a postkomuniści dysponują wielkim majątkiem, zgromadzonym w wiadomy sposób. Tak więc obecnie mamy równość szans według przepisu na pasztet z konia i zająca. Bierzemy pół konia, pół zająca i mamy pasztet. Właśnie zasiadliśmy do jego konsumpcji.

KRZYSZTOF KRÓL (Konfederacja Polski Niepodległej)

— KPN traktował te wybory przede wszystkim jako preludeum kampanii wyborczej do parlamentu i na wzór francuski — gdzie nie jest ujmą dla polityków ogólnokrajowych zgłaszanie swojej kandydatury w wyborach samorządowych — praktycznie wszyscy człowiek działacze KPN w tych wyborach uczestniczyli. KPN wystawił prawie 3000 kandydatów.

Zawsze każda opozycyjna partia narzeka na partię rządzącą, ponieważ ta posiada w swoim ręku wiele narzędzi do manipulowania m.in. przy ustalaniu okręgów wyborczych, przy podziale czasu antenowego. Przyjęto, na przykład, że mając od 1 do 120 kandydatów dostaje się 2 minuty w telewizji, zaś powyżej 120 — 30 minut. W Katowicach dostaliśmy tyle samo czasu co stowarzyszenie PAX, które zgłosiło 2 kandydatów, podczas gdy myśmy wystawili 120. Ta władza daje wzór bardzo niedobry.



Krzysztof Król

fol. Erazm Ciołek



Romuald Sosnowski

fol. J.M. Góliszewski

mi się, że trochę "przedobrzono" sprawę — cała propaganda powinna być półjsz bardziej w stronę przekonania ludzi o wadze tego wydarzenia, jakim są wybory samorządowe.

Romuald Szeremietiew

Przyjaciele Moskale

Od pewnego czasu w prasie polskiej, uwolnionej z gorsetu cenzury, zaczął pojawiać się pogląd o potrzebie współpracy z Rosją. Do niedawna temat "sojuszu" z Sowiecami był bezdyskusyjnym kanonem oficjalnej propagandy. Sprawą raz na zawsze rozstrzygniętą. Teraz jednak, kiedy sowieckie imperium trzeszczy pod naporem niepodległościowych dążeń narodów, a garnizony sowieckie pakują się do wyjazdu z Czechosłowacji i Węgier, wracamy do pytań o sens i zasady współpracy z Rosjanami.

Gazeta Wyborcza w jednym z listopadowych numerów zapewniała czytelników, że Polacy mogą żyć w niepodległym państwie, w którym będą stacjonować wojska sowieckie. Wojska te – powiadają różni mędrcy polityczni – są wręcz niezbędne, jeżeli chcemy być pewni, iż Niemcy nie zagrażą naszym granicom na Odrze i Nysie Łużyckiej. Obecny rząd RP (PRL) zabiega o przyjazne stosunki z Kremlem jak za starych

dobrych czasów i deklaruje wiarę w ich partnerski kształt.

Jerzy Łojek, wybitny historyk i znawca dziejów stosunków polsko-rosyjskich, ogłosił przed laty obszerny artykuł, w którym wykazał naiwność i nieskuteczność polskich starań o przyjaźń z Rosją. Polska frakcja "przyjaciół" Moskwy, okresami nawet dosyć wpływowa, nigdy nie miała swego odpowiednika po rosyjskiej stronie. Poza szlachetnymi jednostkami, np. Hercenem. W XIX w. w Rosji nigdy nie było zwolenników równoprawnej współpracy z Polakami. Dla ludzi kierujących nawą państwową Rosji, Polska była zawsze wrogiem, którego należało podporządkować imperialnej polityce Kremla. Polak-agent lub kolaborant Rosji – tak. Polak-partner i sojusznik Rosji – nie. Ten problem w dramatycznym wymiarze pojawił się w latach przewrotu bolszewickiego i wojny domowej między białymi a czerwonymi po 1917 r. Polska dysponowała wówczas liczącą się siłą

zbrojną i niewątpliwie mogła przyczynić się do klęski bolszewików (wielu historyków uważa, iż Polacy mogli sami unicestwić bolszewickie panowanie w Rosji). A jednak Piłsudski świadomie wstrzymał działania wojsk polskich i tym samym umożliwił Leninowi pokonanie armii Denikina. Ta sytuacja była jednak tylko następstwem zachowania samych Rosjan, którzy nie umieli uznać w Polakach równoprawnych sojuszników. Denikin domagał się od Polaków pomocy przeciwko bolszewickim "buntownikom", tak jak tego może żądać władca od poddanego. Oczekiwał, że wojska polskie po przekroczeniu linii Bugu wystąpią pod sztandarami z carskim dwugłowym orłem jako oddziały przywracające rosyjskie samoderżawie. Szef polskiej misji wojskowej przy sztabie Denikina, gen. Karnicki, donosił Piłsudskiemu o licznych afrontach, jakie spotykały polskich oficerów ze strony Rosjan, np. Denikin i jego otoczenie nie chcieli wstać, gdy orkiestra zagrała Mazurka Dąbrowskiego. Piłsudski bał się, że biali, popierani z całej siły przez Francję, po rozbiciu bolszewików z pomocą Polski, będą chcieli odebrać jej niepodległość. Nawet jednak gdyby do tego nie doszło, to Polska nie miałaby szans na odzyskanie ziem zabużańskich i byłaby małym państwem pozbawionym sojuszników. Ze smutkiem trzeba powiedzieć, że Denikin i jego koledzy nie potrafili stanąć na wysokości zadania. Zabięgał o całość rosyjskiego imperium uniemożliwili Polakom, jedynemu realnemu sojusznikowi, przyczynienie się do likwidacji komunizmu, ideologii, która przyniosła światu tyle zła i nieszczęść.

W latach II wojny światowej Polska usiłowała porozumieć się z Moskwą i znaleźć jakiś odpowiadający nam model wzajemnych stosunków. Usiłował to uczynić gen. Władysław Sikorski, a po jego tragicznej



Granica polsko-sowiecka (nieczynna linia kolejowa)

fol. Jarosław M. Goliszewski

śmierci Stanisław Mikołajczyk. Polityka porozumienia z Moskwą zakończyła się klęską. Ziemie polskie zostały podporządkowane Sowietaom, ponad połowa terytorium państwowego RP została włączona bezpośrednio do ZSSR, a na reszcie władzę objęli komuniści.

Jestem przekonany, że wysiłki Polaków na rzecz porozumienia z Rosjanami są skazane na niepowodzenie. Ten stan będzie trwał tak długo, jak długo w świadomości Rosjan pozostaną imperialne wyobrażenia o pozycji i roli państwa rosyjskiego w świecie. Rosyjskie mocarstwo powstało na drodze podbojów, ale droga Rosjan do mocarstwowości biegła, jak to obrazowo wyjaśnił wódz bolszewickiej agresji na Polskę w 1920 roku, Michał Tuchaczewskij, "po trupie Polski". Innymi słowy, o randze międzynarodowej państwa rosyjskiego decyduje, czy panuje ono nad tą częścią Europy, w której niegdyś istniało mocarstwo polsko-litewskie, Rzeczpospolita Obojga Narodów. Rosjanie doskonale zdają sobie sprawę z tego, że Polacy są głównym przeciwnikiem, bowiem tylko oni zdołali stworzyć szerszy organizm państwowy, wspólnotę kilku narodów, zdolną zagrozić ekspansję Rosji na zachód. Znaczenie Polski potwierdziło się raz jeszcze w 1920 roku, gdy zwycięstwo Piłsudskiego pod Warszawą przekreśliło plany Lenina na skomunizowanie Europy. Dlatego Stalin z taką konsekwencją dążył do unicestwienia Polski niepodległej. Najpierw przez pakt z Hitlerem, a następnie na drodze porozumień z Churchillem i Rooseveltem w Teheranie i Jaltce.

Porozumienie polsko-rosyjskie byłoby możliwe, gdyby Rosjanie zrezygnowali z polityki imperialnej. Nie dostrzegamy niczego takiego w polityce liberała Gorbaczowa. Nie ma też oznak takich zmian wśród rosyjskich oponentów komunizmu. (Aleksander Sołżenicyn, wielki rosyjski patriota, jest niewątpliwym zwolennikiem Rosji imperialnej.)

Przed Polską pojawia się wielka historyczna szansa odzyskania niepodległości. Jeżeli wykorzystamy ją i jeżeli podobnie postąpią inne narody w naszej części Europy, to wspólnie możemy położyć kres rosyjskiej ekspansji. Polska, zważywszy na jej przeszłość, mogłaby wówczas stać się ponownie ośrodkiem integrującym wolne narody naszej części kontynentu. Jednak ta szansa może być łatwo zmarnowana, jeżeli dziś, kunktatorsko, zdystansujemy się od naszych sąsiadów (patrz: sprawa Litwy), a będziemy zabiegać o sympatię Rosji. Jeżeli Gorbaczow zdo-



Gen. Władysław Sikorski



Premier Stanisław Mikołajczyk

ła utrzymać potęgę sowieckiego imperium, to nie tylko wolność narodów bałtyckich, ale też nasza wolność, trafią w sferę niespełnionych pragnień.

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że miłość Polaków do Zachodu jest nieodwzajemniona. Powiedziano nam jasno, że nie możemy liczyć na wejście w skład Wspólnoty Europejskiej. Z wielką ostrożnością trzeba też patrzeć na poczynania Amerykanów. Stany Zjednoczone są niewątpliwie zaniepokojone możliwością zintegrowania Europy Zachodniej, która stałaby się wówczas poważnym konkurentem USA na arenie międzynarodowej. Te dwa problemy mogą stanowić doskonałą podstawę dla amerykańskiej polityki współpracy z Sowietaami. Nie wiemy, o czym Gorbaczow rozmawiał z prezy-

dentem Bushem na Malcie. Jest jednak zastanawiające, że wkrótce potem zjednoczenie Niemiec, sprawa niewyobrażalna, stała się aktualnym zagadnieniem politycznym. Czy chodzi tu tylko o samostanowienie Niemców, czy też raczej o sparaliżowanie procesu integracji Europy Zachodniej – zjednoczone i potężne Niemcy to zachwianie równowagi potencjałów dotychczasowej czwórki: RFN, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch i – zburzenie podstaw integracji europejskiej. Także przyzwolenie USA dla pacyfikacji narodów zakaukaskich i wstrzemięźliwe zachowanie się w kwestii Litwy dają wiele do myślenia. W takim kontekście Polska i jej aspiracje mogą wejść w kolizję z polityką USA. Zresztą najlepszym sprawdzianem każdej polityki są pieniądze.



Czy żołnierze sowieccy pozostaną w Polsce?

foto. Ryszard Dąbrowski

Nie chodzi o to, ile na nasz temat mówią i jak bardzo nas chwala, ale ile chcą nam dać pieniędzy. Odpowiedź jest jednoznaczna — bardzo mało.

Przez wiele lat Polska obywatela się bez polityki zagranicznej. Obecnie jest ona niezbędna. Pozycja Polski dziś mocno niepewna, jutro może być rozpaczliwa, jeżeli na czas nie wyciągniemy wniosków i nie zdołamy porozumieć się z naszymi sąsiadami. Nie muszę tłumaczyć, że Rosjanie nie są naszymi sąsiadami. Natomiast tym wszystkim, którzy uważają, iż trzeba zatrzymać wojska sowieckie w Polsce, daję pod rozwagę, aby zastanowili się, czyich interesów wojska te będą broniły. Nie wiemy, o czym rozmawiał Gorbaczow



"Sowieci do domu!"

fol. K. Frydrych

Romuald Szeremietiew

z kanclerzem RFN Kohlem, nie wie też rząd premiera Mazowieckiego. Wiemy, że kanclerz był zadowolony. A jeżeli doszło tam do porozumień na szkodę Polski, czy wówczas wojska sowieckie w Polsce wypowiedzą posłuszeństwo rządowi w Moskwie i wspólnie z Wojskiem Polskim będą bronić integralności terytorialnej RP? Historia lubi płatać figle. Takim figlem był pakt Stalina z Hitlerem, dla wielu realistów sprawa niewyobrażalna. W sytuacjach niepewnych lepiej pozbywać się czynników pogłębiających niepewność. Żądanie: Sowieci do domu, jest słuszne i potrzebne. Leszno, 4.04.1990



Krzysztof Grzegorzka

Ambicje plus złotówki

W Warszawie, przy Nowym Świecie 41, powiewa czarna chorągiew z niebieskim krzyżem w białych obramowaniach – to flaga Unii Polityki Realnej, konserwatystów Janusza Korwina-Mikkego. Na chodniku stolik z książkami, tygodnikiem *Najwyższy Czas*, organem UPR, oraz nalepkami, ulotkami, broszurami. W podwórzu siedziba redakcji i biura partii. Bardzo ładny lokal. Utrzymanie go musi kosztować parę milionów miesięcznie.

Na temat finansowania Unii niewiele tam chcą powiedzieć. Podobno jej lider, Janusz Korwin-Mikke, zastawił swoje działki w Józefowie pod Warszawą i stąd mają czerpać pieniądze na działalność, propagandę oraz wydawnictwa. Ze sprzedaży tych wydawnictw do kasy partyjnej wpływa "trochę grosza". Tak przynajmniej twierdzi skarbnik UPR, który na pytanie o konkrety, serwuje formułkę: "Dżentelmeni o finansach nie dyskutują, proszę pana!"

Socjaliści, których z furją zwalcza UPR, twierdzą, że Korwin-Mikke ma rozległe kontakty z zachodnimi konserwatystami, a poza tym własne konta bankowe, efekt spadków jeszcze sprzed wojny. Jest to, ich zdaniem, najpotężniejsze pod względem materialnym ugrupowanie w Polsce, którego za nic nie wolno lekceważyć.

Niedaleko, po drugiej stronie Nowego Świata, bokiem w wymarłym gmachu byłej PZPR zakotwiczyła się Konfederacja Polski Niepodległej. A raczej szturmem wzięła pałacyk, w którym – jak mówi Henryk Kozakiewicz, dyrektor Biura Rady Politycznej – bezprawnie od lat rezydowały różne "zetemesy", "elzety", "ohapy" i inne. – Początkowo zajmowaliśmy tylko dwa pokoje na 13 piętrze Pałacu Kultury i Nauki. Nie wystarczyło pieniędzy nawet na umeblowanie. Wypożyczyliśmy więc trochę starych mebli z zaprzyjaźnionego zakładu pracy.

Pierwsi zresztą zasygnalizowali problem kłopotów materialnych i lokalowych wszystkich partii, nie tylko swojej. Przystępując do okupacji budynków, żądaliśmy lokali również dla Stronnictwa Pracy, dla ZChN, dla PPS. Szef Unii Polityki Realnej chciał nas nawet za te okupacje do więzienia wsadzać. Ale na Boga, myśmy przecież zaatakowali złodzieja, a nie właścicieli.

KPN bulwersuje to, że tak dużo pieniędzy i środków materialnych pozostawiono właśnie tym, którzy doprowadzili Polskę do ruiny. SdRP, spadkobierczyni PZPR, utrzymuje nadal wiele

członków, posiadający za to około czterdziestu przedsiębiorstw. Jest to prosperujące finansowo ugrupowanie ludzi interesu, którzy po to, by istnieć, nie potrzebują żadnych zwolenników. "Partia ludzi interesu, którzy swoje ideały oddali na służbę pieniądza i interesu. Mają spółki, są najpotężniejsi materialnie, pod tym względem można ich porównać chyba tylko do Komitetów Obywatelskich Solidarności."

Organ KPN *Opinie* w numerze 9 oświadcza: "Nasza redakcja nie jest przez nikogo dotowana, ani utrzymywana. Wydawca *Opinie* – Konfederacja Polski Niepodległej – nie należy bowiem do organizacji otrzymujących znaczne fundusze z Zachodu czy ze Wschodu." Natomiast przebąkuje się często i z nie ukrywaną zazdrością, że Leszkowi Moczulskiemu udało się dokonać rzeczy niemożliwej. Sobie tylko znanym sposobem ponoć przekonał polityków amerykańskich, aby omięli zakaz Kongresu USA, godząc się na dofinansowanie KPN. "Pieniądże z zagranicy? Finansowa pomoc zagraniczna dla partii politycznych zwykła kojarzyć się zaraz z CIA albo KGB. Kto w Polsce bierze od nich pieniądze, jego sprawa, my – broń Boże! Otrzymujemy środki od swoich sympatyków na świecie. Są darowizny od Polonii, która, jak wiadomo, nie jest zbyt hojna. Ostatnio był w Wielkiej Brytanii Leszek Moczulski i zarabiał, od-czyek Moczulski i nie tylko. Część funduszy zebrał właśnie w tamtejszym środowisku emigracyjnym. To chyba nie są jakieś brudne pieniądze, jak wielu usiłuje wmówić..."

O wiele "czystsze" – zdaniem członków KPN – niż te, które otrzymał np. na kampanię wyborczą Bronisław Geremek, a o których nikt do dziś nie wie, jak zostały spożytkowane. "Dostał je od pana Geremka pan Najder, czy nie? Sześćset siedemdziesiąt tysięcy dolarów, to nie tak mało. Czy wie o tym Kongres



fol. Jarosław M. Golszewski

luksusowych obiektów, dziedziczy też po niej sto miliardów złotych – dwadzieścia pięć niskooprocentowanego kredytu, reszta to RSW. W KPN twierdzą, że gdyby oni mieli takie pieniądze, przy najbliższych wyborach przejęliby władzę.

Każda partia – zdaniem dyrektora Rady Politycznej KPN – powinna utrzymywać się sama. Oni zaczęli od spotkań w prywatnych mieszkaniach. Przykładem bardzo silnej materialnie partii jest, według niego, PAX, liczący niewielu



Leszek Moczulski, lider KPN-u fot. K. Miller

Polonii Amerykańskiej, albo władze Narodowego Funduszu Demokracji USA, które przekazały te pieniądze za pośrednictwem Polonii, nie podejrzewając, że zostaną, być może, użyte na podtrzymanie postpepetceowskiego socjalizmu w Polsce?" — pyta dyrektor Kozakiewicz.

Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe ma tylko skromne lokaliki o surowym, klasztornym wyposażeniu — krzyż na ścianie, biurko plus dwa krzesła (tak opisany jest majątek partii), ale gdy trzeba zorganizować jakąś polityczną akcję, ogłaszają ją z ambon proboszczowie wszystkich katolickich parafii "coś niecoś" proboszcz może zaoferować. A już na pewno udostępni salę katechetyczną na zebranie. Poza tym władze ZChN liczą na przedstawicieli rzemiosła, rosnącą grupę prywatnych wytwórców, skupionych wokół tej partii.

Wielu z nich związanych było do niedawna ze Stronnictwem Demokratycznym, które, zgodnie z koalicyjnym

podziałem władzy ustanowionym przez komunistów miało być partią prywatnej przedsiębiorczości. I tak jak PZPR paszytywała na wszystkich warstwach społecznych, począwszy od robotników, chłopów, a skończywszy na inteligencji, SD miało zająć się głównie "interesami" rzemiosła. Dziś cały majątek z tych czasów pozostaje nadal w jego rękach.

Kwaśniewski ma ogromne siły (podobno już 40 tys. członków) i środki materialne, PPS Jana Józefa Lipskiego liczy niewiele ponad dwa tysiące członków, dysponuje kilkoma pokojami przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie i zajęta jest głównie walką o zaspokojenie najpilniejszych potrzeb materialnych.

Nie stać ich np. na bardzo potrzebny instrument walki, czyli własne pismo, pozostają więc od dłuższego czasu jakby niewidoczni na scenie politycznej kraju. A przeciwnicy mają w tych warunkach bardzo ułatwioną sytuację. Prasa podała np. o spotkaniu Oskara Lafontaine'a z Aleksandrem Kwaśniewskim, które trwało "aż" dziesięć minut i odbyło się na korytarzu, natomiast nikt nie napisał o dwugodzinnej rozmowie tego niemieckiego socjaldemokraty, kandydata na kanclerza w tegorocznych wyborach, z Janem Józefem Lipskim.

— Nosimy się z zamiarem wydawania własnego pisma, tygodnika — mówi Adrian Stankowski, szef propagandy Polskiej Partii Socjalistycznej — musimy zdobyć wystarczająco dużo pieniędzy. A skąd w ogóle partia je ma? Od czasu do czasu pomagają nam nasi przyjaciele z Zachodu, ot, chociażby wydawca *Pogledu*, Edward Klimczak. Poza tym wpływają składki członkowskie w wysokości jednego procenta od poborów członków. Mało kto wie, że PPS przez rok pozostawała w ogóle bez pieniędzy. Miała na to wpływ nierzetelność pewnych działaczy "Solidarności", którzy nie przekazali nam naszych pieniędzy, nie tylko zresztą nam. Powołany był specjalny fundusz dla wspomaganie partii politycznych w Polsce, ustalono zasady podziału tych pieniędzy. Mielśmy otrzymać 25%, KPN zdaje się 30%, itd. Nie chcę wymieniać nazwisk osób za to odpowiedzialnych, ale dotychczas pieniądze te do nas nie dotarły, ofiarowane przez Kongres Polonii Amerykańskiej. Przykre, bo zrobili to jakby nasi przyjaciele, z którymi byliśmy razem w opozycji.

PPS chce wzmocnić swoją kasę pieniędzmi z



Janusz Korwin-Milke, szef Unii Polityki Realnej fot. Aleksandra Bessert

działalności gospodarczej. Powołane zostało Stowarzyszenie Inicjatyw Samorządowych. Będą produkować taną, zdrową żywność. Zamierzają przejąć w tym celu część majątku "Społem", nawiasem mówiąc, spółdzielni założonej kiedyś przez pepeesowców. W ten sam sposób zarabia, bogata podobno, Partia Zielonych — odłam krakowski. Całą produkcję sprzedają na Zachodzie. PPS ma już kredytodawcę z Zachodu, dokładnie z Włoch. Nie socjaliści, raczej sympatycy, udzielają zresztą kredytu na czystych zasadach rynkowych — zapewnia rzecznik prasowy PPS, która, jego zdaniem, ma o wiele większe znaczenie za granicą, niż we własnym kraju. Uważana jest bowiem przez władze Międzynarodówki Socjalistycznej za najpoważniejszego polskiego partnera o tej orientacji politycznej. Prawie wszystkie wyjazdy, zagraniczne wizyty, sponsoruje Zachód.

Mnożą się jednak w kraju różne partie z "socjalizmem" w nazwie, jak: Niezależna Partia Socjalistyczna, finansowana przez OPZZ, partia Osóbki-Morawskiego wspomaganą przez SdRP. Nie wierzę — mówi Adrian Stankowski — aby np. jakieś tam stronnictwo narodowe, byłego komunisty-nacjonalisty powstało tak nagle, z niczego. Musi mieć skądś pieniądze na działalność, zwłaszcza, że członków tego typu ugrupowań można nieraz policzyć na palcach jednej ręki.

Dziś każdy, kto ma dostęp do pieniędzy, albo sam jest bogaty, może założyć partię polityczną. Interesem partii jest zdobycie władzy. A im więcej takich interesów, tym więcej partii politycznych. Jest ich już przeszło sto...

Krzysztof Grzegorzówka



Jan Józef Lipski, lider PPS-u fot. Aleksandra Bessert

Katarzyna Dolińska

Deszcz dolarów nie spada



"Polska ma jeszcze duże szanse, by stać się canionym partnerem dla zagranicznego kapitału"

fol. Jarosław M. Gołiszewski

Pierwsza firma z udziałem zagranicznego kapitału "Top-Mart" powstała w 1976 roku na mocy obowiązującej wówczas ustawy o przedsiębiorstwach polonijnych.

Ustawą z 6 lipca 1982 r. Sejm powołał do życia zagraniczne przedsiębiorstwa drobnej wytwórczości. Unikając drażniącego wówczas sformułowania "zagraniczny kapitał" — nazywano je w ustawie dalej "firmami polonijnymi", choć ponad połowa właścicieli nie miała nic wspólnego z krajem nad Wisłą.

Następnym krokiem było powołanie *joint ventures* — spółek z kapitałem mieszanym. Odpowiednią ustawę parlament uchwalił już w 1986 r., ale ówczesne przepisy oraz ich wykładnia praktycznie paraliżowały wszelką inicjatywę. Przez dwa i pół roku wydano zaledwie 52 zezwolenia na działalność. Dopiero ustawa z 23.XII.1988 o działalności gospodarczej z udziałem "podmiotów zagranicznych" spowodowała spore ożywienie. W okresie od 15 stycz-

nia 1989 r. do 31 marca 1990 r. Agencja do Spraw Inwestycji Zagranicznych wydała 1146 zezwoleń. Kapitał krajowy spółek już istniejących wynosi obecnie 288 mld zł, a zagraniczny 186 mln dolarów. Dużo to czy mało? Chyba na razie poniżej oczekiwań.

Minimalna wielkość udziału zagranicznego w kapitale spółki wynosi 50 tys. USD. Ponad połowa firm trzyma się tego minimum, powyżej miliona dolarów zainwestowało zaledwie dziewiętnaście. Powodem takiego stanu są przede wszystkim najwyższe w świecie opłaty skarbowe i notarialne. Za samo zarejestrowanie spółki o kapitale najniższym płaci się 14 MILIONÓW złotych.

Największy kapitał zakładowy posiada w Polsce spółka ABB-Zamech w Elblągu: 47,5 mld zł i 5 mln dolarów. Udziałowcami są Zamech Sp z o.o. i Asea Brown Boveri z Zurychu. Zajmuje się produkcją i zbytem maszyn wirnikowych, urządzeń okrętowych, urządzeń do ochrony środowiska. Druga co

do wielkości majątku to polsko-holenderska spółka Warsaw International Hotels Limited (237,5 mln zł, 2,5 mln USD) utworzona w celu budowy i eksploatacji hotelu.

Ponad połowa firm polonijnych *joint ventures* zrzeszona jest w Izbie Przemysłowo-Handlowej Inwestorów Zagranicznych, organizacji samorządowej, która stawia sobie za zadanie reprezentację i ochronę interesów gospodarczych swoich członków oraz udzielanie wszelkiej pomocy w rozwiązywaniu problemów ekonomicznych, organizacyjnych i prawnych.

Marek Niedźwiecki — z-ca dyrektora Biura Izby: "Izba nie figuruje na liście obowiązkowych konsultantów rządu, ale sami na własną rękę staramy się śledzić zmiany w przepisach, opiniować pewne projekty, walczyć o modyfikację zasad już istniejących."

Dzięki staraniom Izby, *joint ventures* nie zostały objęte podatkiem od ponadnormatywnych wynagrodzeń, udało się też utrzymać ulgi z tytułu produkcji

antyimportowej, wywalczając prawo do stosowania w samochodach służbowych spółek normalnych tablic rejestracyjnych — zielone tablice zbytnio rzucają się w oczy potencjalnym złodziejom.

Po 12 miesiącach dość sprzyjającej koniunktury, nowelizacja ustawy o *joint ventures*, przeprowadzona w grudniu ub. roku zdecydowanie pogorszyła warunki dla inwestorów zagranicznych. Przede wszystkim zlikwidowano prawo dla wielu przedsiębiorców najważniejsze — do posiadania dewiz z tytułu eksportu. Obecnie całość uzyskiwanej kwoty przeliczana jest na złotówki. Bank zamiast 9500 zł, płaci 9300 zł za 1 dolara, co przy większych sumach powoduje kolosalne straty. Zniesiono też ulgi eksportowe, pogorszyły się warunki ulg inwestycyjnych.

Pod koniec ubiegłego roku, kiedy nowe, obowiązujące dzisiaj przepisy wchodziły w życie, Izba Przemysłowo-Handlowa Inwestorów Zagranicznych przeprowadziła wśród 88 przedsiębior-



Minister finansów Leszek Balcerowicz

ft. Aleksandra Bessert, CDF-Poznań

ców ankietę, pytając o przewidywaną reakcję ich firmy na owe zmiany. 60% firm liczyło się ze stagnacją, a 37% ze spadkiem produkcji, ponad 90% zadeklarowało zawieszenie lub przerwanie różnorodnych w sytuacji, gdy firma jeszcze nie powstała, 95% respondentów oświadczyło, że nie będzie propagowało inwestycji w Polsce, a połowa z nich zamierzała wręcz odradzać ich rozpoczęcie. Trudno się dziwić, skoro nawet prof. Sachs, entuzjasta reformy Balcerowicza, przyparty do muru przyznał, że nie zdecydowałby się na zainwestowanie w Polsce swojego kapitału.

Zagraniczni inwestorzy decydujący się na utworzenie firmy w Polsce liczą się z pewnymi trudnościami, ale często napotykać bariery, których oni — wychowani w normalnym systemie gospodarczym — nie są w stanie ani zrozumieć, ani pokonać. Wszędzie na świecie kredyty są stymulatorem produkcji — a u nas płynne ich oprocentowanie sprawia, że umowa z bankiem przestaje być ważna niemal następnego dnia po jej podpisaniu. Dodatkowym utrudnieniem jest system księgowości, niezrozumiały i uniemożliwiający podejmowanie decyzji według zasad obowiązujących w krajach kapitalistycznych. Biznesmeni legitymujący się paszportem zagranicznym, płaci w hotelu za pokój 800 tys. zł, Polak 100 tys., podobnie jest z opłatami za przelot na krajowych liniach lotniczych. Odstrasza też fatalna łączność i komunikacja, brak

banków, słaba i powolna obsługa bankowa, biurokracja wymagająca wypełniania stert dokumentów, zdobywania niezliczonej ilości pozwoleń i licencji. Nie ma też w naszym kraju skutecznej ochrony znaków firmowych, handlowych oraz praw autorskich. Zagranicznym przedsiębiorcom brakuje poczucia stabilizacji, pewności — przepisy zmieniają się zbyt często i jest ich zbyt wiele. Firma zagraniczna dostaje zezwolenia na ściśle określoną działalność. Jeżeli produkuje filiżanki z jednym uchem, to w żadnym wypadku nie wolno jej, bez specjalnego zezwolenia, wyprodukować filiżanki bez ucha. Niezwykle denerwująca jest też i zupełnie niezrozumiała konieczność przedstawienia — co jest warunkiem rejestracji — tzw. *feasibility study*, czyli programu rozwoju na 5 lat, tworzonego według określonego



Po 12 miesiącach dość sprzyjającej koniunktury, nowelizacja ustawy o *joint ventures*, przeprowadzona w grudniu ub. roku, zdecydowanie pogorszyła warunki dla inwestorów zagranicznych. fot. Aleksandra Bessert, CDF-Poznań



Prof. Harvardu Jeff Sachs. Entuzjasta reformy Balcerowicza... nie zainwestowałby w Polsce swojego kapitału.

schematu. Jest to typowa radosna twórczość, relikw z epoki gospodarki planowej, rzecz nie spotykana nigdzie na świecie. Oczywiście nikt później nie sprawdza wykonania tego planu, nie wyciąga konsekwencji, jeśli został on zmieniony, jednakże trudno jest przekonać inwestora nie znającego polskich realiów, że dokument, za który musi on często zapłacić kilkanaście tysięcy dolarów i przedłożyć władzom państwowym, nie ma zupełnie żadnego znaczenia.

Wielki narodowy sen o strumieniu dolarów płynącym wartkim nurtem może zakończyć się przykrym przebudzeniem. Wielu przedsiębiorców twierdzi, że zmiany w ustawie o *joint ventures* wprowadzone przez ekipę Balcerowicza pogorszyły znacznie warunki inwestowania w Polsce w porównaniu z innymi krajami Europy Wschodniej. Polska staje się coraz mniej atrakcyjna i może znaleźć się w izolacji. Oczekiwane kapitały mogą powędrować gdzie indziej.

Jednakże, mimo narzekania i niepokoju, zarówno firmy działające w Polsce od wielu lat, jak i te nowo utworzone jakoś się trzymają i nie plajtują. Przykładem może być przedsiębiorstwo BAU-POL. Firma powstała w 1983 r. jako pierwsza, w której obok kapitału zagranicznego miał też swój udział krajowy przedsiębiorca — czyli stała się prekursorem dzisiejszych *joint ventures*. Jerzy Teichmann, przewodniczący Rady Nadzorczej Spółki i udziałowiec (50%): — "W tamtym okresie polski przedsiębiorca nie posiadał możliwości prowadzenia na szerszą skalę działalności gospodarczej, a ja miałem większe ambicje niż dwuosobowy warsztat rzemieślniczy czy budka z warzywami.



Ci, którzy będą w Polsce pierwsi, mają największe szanse na rozwój produkcji i pomnożenie majątku. fot. Kazimierz Michałczyk

Wykorzystując prywatne kontakty ze środowiskiem kupieckim w RFN, namówiłem jednego z przyjaciół do utworzenia spółki. Nasza firma zajmuje się głównie produkcją materiałów budowlanych i wykonywaniem robót budowlanych. Do niedawna zapotrzebowanie na usługi tego typu było ogromne, teraz panuje zastój, ale utrzymujemy się jeszcze na powierzchni. Brak kredytów uniemożliwia inwestowanie. Banki zachodnie mogłyby takich kredytów udzielić, ale oczywiście musiałyby uzyskać gwarancje, czyli na przykład możliwość wejścia na hipotekę budynku i działki. Niestety zezwolenia na nabywanie nieruchomości przez osoby zagraniczne są udzielane bardzo niechętnie. A przecież to, że cudzoziemiec jest właścicielem gruntu nie oznacza, że pewnego dnia weźmie on tę działkę na plecy i wyniesie za Odrę."

Nikt przytomny nie zainwestuje dużych pieniędzy, nie będzie myślał o rozwoju przedsiębiorstwa na dużą skalę, jeśli nie będzie miał zagwarantowanego prawa własności. Tymczasem Polska wobec inwestorów zagranicznych przyjmuje postawę "chciałabym i boję się". Z prawa i z lewa słyhać krzyki o wyprzedzeniu majątku narodowego. Dlatego też na razie możemy liczyć jedynie na skromnych inwestorów — ryzykantów, duże, poważne firmy nie przejawiają skłonności do hazardu.

Jerzy Teichmann jako wiceprezes Izby Przemysłowo-Handlowej Inwestorów Zagranicznych twierdzi, że Polska

ma jeszcze duże szanse, by stać się cenionym partnerem dla zagranicznego kapitału, ale musi wyzwolić się ze schematów. Nadal jest krajem dość atrakcyjnym, choć pewne atrybuty tej atrakcyjności, m.in. do niedawna chłonny rynek, zostały zamrożone. Inwestorzy liczą na ustabilizowanie się gospodarki i wówczas ci, którzy tu będą pierwsi, mają największe szanse na rozwój produkcji i pomnożenie majątku. Jest to kraj dość bogaty w surowce — to też argument sprzyjający. Mówi się również o taniej i wykwalifikowanej sile roboczej. To jednak

tylko pół prawdy, gdyż wprawdzie płaci się ludziom mniejsze pensje niż na Zachodzie, ale produkują oni mniej, gorzej i nie są tak zdyscyplinowani. Cennym atutem może stać się bliskość rynku sowieckiego, choć na razie kredytowy eksport na wschód został całkowicie wstrzymany.

Jako obiecujące branże przedsiębiorcy wskazują przetwórstwo metali, przemysł chemiczny, agrosektor — to dla dużego kapitału. Mniejszy kapitał można inwestować w przemysł meblarski — w związku z obniżką cen surowca, w konfekcję tekstylną, zwłaszcza, że ceny tej konfekcji w krajach azjatyckich idą w górę. Znakomite zaplecze surowcowe istnieje również dla przetwórstwa owoców i warzyw. Dwie polskie firmy — monopoliści — Igloopol i Hortex proponują wyroby nie najlepszego gatunku. Firmy amerykańskie nastawione na rynek europejski, przerzucając nad Wisłę swoją produkcję, oszczędzają na kosztach transportu. Polska może więc stać się dla nich atrakcyjnym wspólnikiem.

Katarzyna Dolińska

Struktura geograficzna spółek *joint ventures* według liczby spółek. (wybór)

1. RFN + Berlin Zach. — 41%
2. Szwecja 101 = 8,8%
3. Austria 74 = 6,5%
4. USA 74 = 6,5%
5. Francja 49 = 4,3%
6. Wielka Brytania 49 = 4,3%

Struktura geograficzna spółek *joint venture* według wielkości zaangażowanego kapitału (w tys. USD). (wybór)

1. RFN + Berlin Zach. — 55.639,2
2. Szwecja — 19.740,3
3. Norwegia — 18.263,9
4. Holandia — 16.762,7
5. Wielonarodowe — 15.574,9
6. USA — 10.618,0

Maria Mamczur

Pojemnik z gazem i »czarna śmierć«

Już w 1976 roku pewna firma polska chciała sprzedawać za dewiza broń gazową. Wystąpiła wówczas do KG MO z pytaniem o procedurę postępowania. Ówczesny komendant MO oraz generał Kiszczak z ramienia MON wydali zarządzenie o konieczności rejestrowania broni tego typu. Nabywca broni gazowej musiał być pewny politycznie i nie karany. Zezwolenia wydawano mało, powstał więc czarny rynek. Początkowo broń sprowadzano w niewielkich ilościach z RFN, USA i Azji.

Gdy w ubiegłym roku, w rezultacie kryzysu politycznego i gospodarczego, wzrosła przestępczość, pojawiły się pytania: jaką rolę ma pełnić milicja? Znalazła się ona pod ostrzałem z dwóch stron: nowe, solidarnościowe władze atakowały ją za służbę komunistycznemu reżimowi, społeczeństwo — za małą skuteczność w zwalczaniu przestępstw kryminalnych. MO się broniła: przestały sprzedawać broń, za mało ludzi, brak radiowozów i telefonów... Przestępcy czuli się coraz bardziej bezkarni, zwiększyła się ilość rozbojów, a w społeczeństwie pojawiły się głosy, że o własne bezpieczeństwo trzeba zadbać samemu.

Ludzie z głową do interesów wyczuli bardzo chłonny rynek.

We wrześniu ubiegłego roku otwarto w Warszawie pierwszy w strefie rublowej sklep z bronią gazową, prowadzony przez Agencję Ochrony "Garda". W sprzedaży pojawiły się pistolety, rewolwery, pojemniki z gazem. Broń już oficjalnie sprowadzano z Zachodu. Najwyżej ceniono wyroby zachodniemieckie i brytyjskie, najmniej tureckie i tajskie.

Kupujący

rekrutowali się z różnych warstw spo-



tecznych. Mówi menadżer "Gardy" Zbigniew Markiewicz: Najpierw kupował ktoś "z branży", potem kolega, który się od niego dowiedział, gdzie sprzedają. Na jednorazowy zakup potrzebne było zezwolenie z Komendy Dzielnicy MO. Milicja sprawdzała klienta w karto-

tekach. Jakikolwiek notowania (za włóczęgostwo, wykroczenia, kradzieże) uniemożliwiały uzyskanie pozwolenia.

Najpierw do sklepu trafiali ludzie bogaci, mieszkańcy wolno stojących wili, ludzie operujący wielkimi sumami pieniędzy. Właściciele kantorów wymiany

wałut, pracownicy agencji ochrony, konwojenci bankowi itp. Potem zaczęli przychodzić emeryci — strażnicy parkingów. Pilnowanie samochodów z oszklonej budy było nieskuteczne — rabusiów można było widzieć, ale potem nie miał ich kto ścigać. Przychodzili też wędkarze. Z powodzeniem bowiem zaczęły działać wyspecjalizowane gangi, które okradają samotnych wędkarzy według pewnego schematu. Kilku młodych podchodziło do łowiącego ryby i zagadywa-

Cennik

- Jeden nabój gazowy — 8 tys. zł.
- nabój akustyczny — 6 tys. zł.
- pojemniki z gazem 50 ml — w granicach 80-120 tys. zł. (najczęściej sprzedawany CS Defenol — 100 tys. zł).
- pistolety gazowe — 450 tys.-2,5 mln zł. (najczęściej sprzedawane: Luger 88, siedmiostrzałowy — 1,5 mln zł, Reck Miami, osiemnastostrzałowy — 2,25 mln).
- rewolwery gazowe — 1,35-3,0 mln zł. (najczęściej sprzedawane: Luper 90, sześciostrzałowy — 1,58 mln zł, Erma ER 66 — 2,6 mln).
- wiatrówki Mauser SL 300 — 2,5 mln zł.
- noże myśliwskie — 65-200 tys. zł.
- szelki do broni — 80-100 tys. zł.

to go, inni w tym czasie okradali jego samochód. Gdy wędkarz biegł w stronę samochodu, inni rabowali sprzęt wędkarski, często wartości kilku milionów złotych. Następna grupa klientów to kobiety. Kupowały najczęściej pojemniki z gazem. Często też decydowały się na kupno czterokrotnie droższych od miotaczy gazu eleganckich miniaturowych pistoletów.

Taksówkarze i właściciele samochodów — to kolejne ofiary napadów rabunkowych. Na przykład: człowiek widział z balkonu własnego mieszkania rabusiów okradających mu samochód. Wybiegał do nich z krzykiem, wzywał milicję. A rabusie bili go, kradli, co miał w samochodzie i uciekali.

Wkrótce posiadanie broni stało się już "szpanem". Szczególnie w środowiskach młodzieży dyskotekowej.

Milicja

reagowała dwojako. Jedni milicjanci — starego typu, jak mówią sprzedawcy broni — są przeciwni posiadaniu przez ludzi broni gazowej, a nowi — teraz już policjanci — sami zaopatrują się w tę broń.

Milicjant z Łomży — mówi handlarz — kupił u nas "potworne kopyto". Przecież pan jest milicjantem, powiedziałem, i zdaje pan sobie sprawę, że tak dużego pistoletu nie ma jak nosić. Odpowiedział mi, że ma w swoim terenie łobuzów, którzy plują na niego z balkonów, naigrzywają się z jego dzieci. "Ręce mnie świerzbią, bo ostrej broni użyć nie mogę, nie ten zakres, oni tylko uprzykrzają życie. Jak schowają się za szybę w klatce schodowej, to ja takim kopytem stukę szkło i będę ich miał."

Handlarz od razu wyczuwa, że klient nie jest całkiem czysty. Ale — wyznaje — jeśli ktoś jest tak sprytny, że nie dał się złapać za rękę, nie figuruje oficjalnie w milicyjnych rejestrach, to w oczach innych ludzi przestępca nie jest. Ma więc prawo do zakupu broni.

Ludzie z półświatka, którzy nie chcą być zarejestrowani w milicji jako posiadacze broni gazowej, zaopatrują się na czarnym rynku. A ten dobrze funkcjonuje na wszystkich giełdach (nawet rzeczy używanych) i bazarach. W Warszawie — zawsze na Bazarze Różycyńskiego i na rembertowskich ciuchach. Wystarczy tylko spytać kogoś w pierwszej z brzegu budce. Przekupnie doprowadzają klienta "łańcuszkiem" do handlarza, który sprzedaje broń w ten sposób, w jaki handluje się alkoholem na "mecie". Dwu- trzykrotnie drożej niż w legalnym sklepie.



W zeszłym roku wydawało się, iż rynek już się nasycił i że będzie brakowało klientom. Jednak pojawili się nowi kupcy — obywatele ZSSR. Przyjeżdżają do Polski przez tzw. "otwartą granicę" (otwartą przez "życzliwych celników"). Przywożą znaczne ilości towarów, jak np. sprzęt elektroniczny, indyjską bawełnę, pastę do zębów i złoto, spieniężają je i kupują w Polsce broń, która na sowieckim rynku jest bardzo poszukiwana. W ZSSR za samo posiadanie broni grozi tzw. kara główna. Ostatnio jednak sowiecka milicja i KGB sprowadza tę broń dla siebie — z Polski i RFN. Dlatego, być może, w kilku przypadkach ujawnienia posiadania broni gazowej przez obywateli sowieckich nie wymierzono im kary śmierci. A handlarze wiedzą, że taka tolerancja nakręca im koniunkturę.

Na czarnym rynku kupuje się najczęściej broń gorszej jakości, przede wszystkim ładnie wyglądające azjatyckie podróbki. Można też trafić na pistolety zwane "black death". Część z nich to autentyczna amunicja o działaniu paraliżującym (do jej produkcji używano słabo stężonego gazu musztardowego), zdobyta przez handlarzy za wódkę i inne atrakcyjne towary u ludzi z antyterrorystycznych brygad. Używanie "czarnej śmierci" jest w tej chwili na Zachodzie zabronione. (Brygady antyterrorystyczne posługują się tzw. amunicją plastikową, która nie przebija metalu i nie powoduje dekompresji samolotu. W warunkach naziemnych zaś używają amunicji paraliżującej, która powoduje osłupienie i skurcz mięśni.) Jak twierdzi handlarz, do nowo wyprodukowanej po piracku

"czarnej śmierci" trudno dotrzeć nawet bardzo wyspecjalizowanym pośrednikom. Dlatego uważa, że większość "black death" na polskim czarnym rynku, to podróbki wykonane przez Polaków, którzy podobno założyli pod Wiedniem nielegalną fabryczkę amunicji.

Działanie

Handlarze rozróżniają trzy typy amunicji gazowej. Aklimatory — to gazy łzawiące, środki łzawiąco-obezwładniające i ternity — środki paraliżujące.

W polskich sklepach z bronią sprzedaje się aklimatory. Handlarze twierdzą, że nie pozostawiają one trwałych skutków ubocznych. Powodują podrażnienie błon śluzowych, odruchowy skurcz pęche-



rzyków płucnych, uczucie bólu górnych dróg oddechowych, słodki smak w ustach, ślinotok, czasami wymioty i ból głowy.

Tak działa broń użyta z odległości 2-3 metrów. Najszybciej działa gaz wystrzelony bezpośrednio z pojemnika. Najpóźniej, gaz w kryształkach wystrzelony z rewolweru. Kryształki wbijają się w ubranie, gaz zaczyna się ulatniać po 3-5 sekundach. Otacza szczerzym kłosem głowę postrzelonego.

Milicjant R. twierdzi, że nawet broń tego typu może być niebezpieczna dla życia, zwłaszcza wtedy, gdy postrzelony człowiek leży gdzieś w kącie pomieszczenia, w którym jest słaba wentylacja. W takich przypadkach może dojść do uduszenia.

Broń innego typu

pojawiła się w polskich sklepach jako ciekawostka. Na przykład, kusza z noktowizorem. Użyta po raz pierwszy przez amerykańskich komandosów w wojnie wietnamskiej, zaślęnia jako aparat do bezszelstnego zabijania. Z kuszy strzela się trzydziestocentymetrową strzałą wykonaną z aluminium. W Polsce nie wymaga się zezwolenia milicji na posiadanie kuszy. Handlarze bronią twierdzą, że jej sprzedaż może nieść ze sobą wiele niebezpieczeństw, dlatego traktują ją w tej chwili jako eksponat. Milicja twierdzi jednak, że wiele osób

sprowadziło ją do Polski prywatnie.

Ciekawostką jest również pałka elektryczna – pod wysokim napięciem. Uderzenie nią paraliżuje człowieka na kilka minut. Może też wywołać atak serca.

Producenci

Sprzedawcy broni są zdania, że w Polsce jest w tej chwili dwóch łączących się producentów amunicji gazowej. Gazowe naboje wytwarzane są podobno w warsztatach Politechniki Warszawskiej, nie udało mi się jednak potwierdzić tej informacji.

Pan K.B. produkuje pojemniki z gazem w formie długopisów. Zainwestował w produkcję 10 tys. dolarów, jednak, jak twierdzi, nie widzi szans na rozwój produkcji w Polsce. Ciągłe bowiem opłaca się handlarzom sprowadzać tandetę z Hongkongu. B. produkuje broń systemem azjatyckim, z udziałem wielu kooperantów. Nie dysponuje większym warsztatem. Produkcja odbywa się w małych, współpracujących ze sobą warsztatach rzemieślniczych.

Skutki

Czy ludzie uzbrojeni w broń gazową czują się bezpieczniej? Bywa, że do sklepu i do policji przychodzi z skargą, że strzelili do rabusia, rabuś zdążył ich pobić, a gaz zaczął działać później.

Niektórymi wypadkami zajęła się prokuratura. Mieszkaniec Podkory Leśnej użył pistoletu gazowego w sytuacji, którą prokurator określił jako – "niebezpośrednie zagrożenie".

Starszy człowiek strzelił przez ogrodzenie do grupki młodocianych, którzy znieważali go słowami. Jednego z nich trafił w oko. Będzie za to odpowiadać przed sądem.

Mieszkaniec Wawra strzelił rabusiu, który właśnie uciekał skradzionym samochodem, prosto w ucho. Spowodował trwałe uszkodzenie słuchu. Jemu też wytoczono sprawę w sądzie.

W warszawskim autobusie MZK młodociani, nie notowani do tej pory w milicyjnych kartotekach, użyli gazu łącznie w czasie jazdy. Wykorzystując zamieszanie pasażerów – okradli kilka osób.

Nie udało mi się sprawdzić, ile jest w Polsce sklepów handlujących bronią. I ile wydano do tej pory zezwoleń. Policynie wydziały zezwoleń twierdzą, że dużo. Ile? Długo trzeba by liczyć. Każdy komisariat prowadzi kartotekę na własną rękę. Nie ma zestawień centralnych. Nikt nie wie więc, ile pistoletów trafiło w prywatne ręce.

Na wyraźne życzenie moich rozmówców nie ujawniam ich nazwisk ani nazw firm, które reprezentują.

Maria Mamczur

Zdjęcia Jarosław M. Goliszewski

USA: Prawo do noszenia broni

Statystyki podają, iż 70 milionów Amerykanów (ogólna liczba mieszkańców USA – 250 mln) posiada oficjalnie broń palną. Rzeczywistą ilość broni palnej znajdującej się w prywatnych rękach można tylko szacować. Przykładowo, nikt nie jest w stanie stwierdzić, ile sztuk z milionów karabinów czy pistoletów maszynowych, użytych tylko w czasie wojny wietnamskiej czy koreańskiej, "wróciło" z powrotem wraz z właścicielami do Stanów Zjednoczonych. Szacuje się, iż na dwóch Amerykanów przypada więcej niż 1 sztuka broni palnej.

Na pytanie, dlaczego Amerykanie kupują broń palną, padają oczywiście stereotypowe odpowiedzi: "w celu samoobrony", "mając naładowaną broń w szafeczce czuje się bezpieczniej" czy też "nie chce być bohaterem, ale i ofiarą".

Zachodniobrzeżski liberalno-lewicowy dziennik TAGESSPIEGEL (24.05.) podaje, iż w ub. roku ok. 30 tysięcy Amerykanów zginęło na skutek użycia broni palnej. Chlebem powszednim są informacje publi-

cowane w lokalnych gazetach o napadach z bronią w rękę, kolejnych ofiarach czy też prawdziwych bitwach ulicznych między policją i gangsterami. Nawet drastyczny przypadek Patricka Purdego, który w jednej z kalifornijskich szkół zastrzelił pięcioro i ranił 29 dzieci, nie wpłynął na to, by Amerykanie byłiby gotowi, na mocy odpowiedniej ustawy, choćby częściowo zrezygnować z konstytucyjnego prawa do posiadania broni palnej.

Organizacje, skupiające "miłośników" posiadania broni, skutecznie blokują wszelkie tego typu inicjatywy. Największa z nich – "National Rifle Association" (NRA) – posiada aż 2,8 mln członków. W ub. roku wydała ona ponad 15 mln dolarów na datki dla polityków, którzy są przeciwko jakiegokolwiek zmianie przepisów dotyczących prawa posiadania broni palnej. Najbardziej prominentną "ofiarą" tego lobby był kandydat z ramienia partii demokratów w ostatnich wyborach prezydenckich Michael Dukakis, który w kampanii przedwyborczej

zapowiadał radykalne zmiany. Na antydukaliskowską propagandę NRA wydała w sumie 6,2 mln dol.

Amerykanie chętnie polują. W ubiegłym roku zakupili 16 mln sztuk broni myśliwskiej. TAGESSPIEGEL podaje, iż w ub. roku zastrzelono 4,5 mln jeleni, 25 mln zajęcy, 22 mln wiewiórek, 350 tys. dzikich indyków, 250 tys. wilków stepowych, 115 tys. antylop, 20 mln bażantów, 1100 niedźwiedzi, itd., itd. oraz ze ofiarą "kuł myśliwych" padają również...koledzy-myśliwi, jak i dzieci, sąsiedzi, żony. Jednak 85% posiadaczy broni jest przekonanych, iż "maie coś podobnego się zdarzyć nie może", ale aż 41% myśliwych zna osoby, którym takie przypadki się zdarzyły. 53% właścicieli broni nie trzyma jej pod kluczem, aż 28% ma broń stała naładowaną.

Obecnie rząd USA przygotowuje ok. 50 nowych przepisów i ustaw dotyczących prawa posiadania przez osoby cywilne broni palnej. "Jest to kropla w morzu potrzeb kraju, w którym posiadanie broni jest rzeczą tak oczywistą, jak choćby posiadanie własnego bungalowu".

Anna Wrzalińska

Plajta NZS-u



Najpierw był to Niezależny Związek Studentów Polskich. Inicjatywa zrodziła się w Stoczni Gdańskiej, a założyli go studenci zaangażowani w strajki sierpniowe 1980 roku. Idea chwyciła. 30 września owego roku spotkali się w Poznaniu przedstawiciele już około pięćdziesięciu różnych nieformalnych organizacji akademickich. Nowa struktura nie znalazła jednak akceptacji u ówczesnego ministra szkolnictwa wyższego. Uważał on, że interesy środowiska są dobrze reprezentowane przez funkcjonujące dotąd organizacje. Wówczas Niezależne Zrzeszenie Studentów – bo taka nazwa w końcu się przyjęła – rozpoczęło walkę o rejestrację.

NZS był studentckim odpowiednikiem "Solidarności", potrzebą chwili. Do sympatii i biernego dnia poparcia przyznawało się 80% studiujących na polskich uczelniach. Dowodem tego był tzw. strajk łódzki. Trwał miesiąc. Zakończył się 17 lutego 1981 roku, o godz. 22,15 podpisaniem postulatów łódzkich. Nie obejmowały one tylko jednego punktu – rejestracji NZS-u. Minister Górski straszył wojskiem, milicją, robotnikami. NZS upierał się przy przedstawionym statucie. Wydawało się, że sytuacja jest patowa. Kończyły się ferie, a 18 lutego miały rozpocząć się zajęcia. I właśnie tego dnia wszystkie uczelnie rozpoczęły strajk o ten jedyny postulat. Rezultat: Zrzeszenie zarejestrowano. Dokładnej



Luty 1981. Strajk studentów na Uniwersytecie Łódzkim – radość po podpisaniu porozumienia (17.02.81).
fot. Jarosław M. Golszowski

liczby członków nie sposób podać, gdyż zamówionych legitymacji nie udało się rozprowadzić.

Listopad 1981 r. – znowu strajki. Krążyły plotki o możliwości wprowadzenia stanu wojennego, w które nikt nie chciał wierzyć. Działacze NZS-u ostrzegali warszawskie zakłady pracy. W sobotę, 12 grudnia, studenci uczelni warszawskich zakończyli strajk. W nocy, z 12 na 13 grudnia 1981 roku, wprowadzono stan wojenny. Władze NZS-u

internowano razem z działaczami "Solidarności" już 13-go. Resztę aktywistów zabrano w następnych dniach.

5 stycznia 1982 roku NZS został rozwiązany.

W latach 1983-84 kształtuje się program samorządów uczelnianych. Rodzi się tzw. przynależność niezrzeszonych, bazę stanowią dawni sympatycy NZS-u. Zwiększa się więc presja władz na ograniczenie roli samorządu. Wakacje '85 – Sejm w pośpiechu uchwała ustawy dobijające samorząd szkół wyższych. Nie zostawiły one żadnego pola manewru, żadnej alternatywy.

Samorządowcy schodzą w zasadzie do podziemia. Tajne komplety, obozy, pisemka, ulotki... Narasta konieczność zjednoczenia sił i działań. Powstaje Unia NZS-ów. Kraków, Gdańsk i Warszawa.

Jesień '87 – pojawia się normalna struktura organizacyjna. Tajne Komitety Uczelniane, w Zjeździe w Gdańsku uczestniczy około 30 uczelni.

Przyjmuje się nowa forma protestu: happeningi uliczne. Kończą się zwykle przepychanką z ZOMO.

W 1988 roku na Uniwersytecie Warszawskim Tajny Komitet Uczelniany organizuje obchody Marca. Ostra reakcja milicji i służb bezpieczeństwa.

Kwiecień-maj '88 – strajki i starcia w Krakowie. Próby protestów w

Gdańsku. Coraz sprawniej funkcjonuje sieć informacyjna i kolportaż pism, ulotek.

Czerwiec '88 – nasilenie manifestacji ulicznych, starcia z ZOMO. Wrzesień '88, III Zjazd NZS rozbity przez Służbę Bezpieczeństwa.

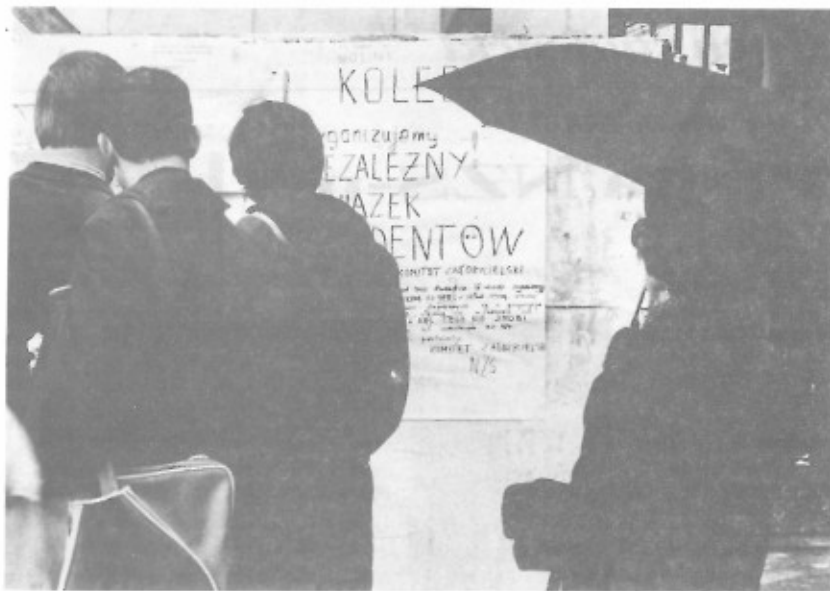
11 października 1988 roku – ogólnopolska akcja wieców. Ujawniło się lub na nowo zorganizowało ponad 80 komitetów uczelnianych. Praktycznie oznaczało to wyjście z podziemia. Zasadniczym celem nielegalnego Zrzeszenia jest walka o rejestrację.

Pierwsza próba rejestracji z przełomu listopada i grudnia 1988 r. kończy się odmową generała Kiszczaaka: NZS rozpoczął działalność przed zarejestrowaniem, złamał więc obowiązujące prawo o stowarzyszeniach, tym samym sam skazał się na nielegalność.

Wspólne, huczne ogólnopolskie obchody 11 listopada, nacisk na zorganizowanie "okrągłego stołu". Ale skutek żaden. Niestępliwosć w sprawie NZS-u i frustracja prowadzą studentów na ulicę. Znowu kamienie, petardy, ulotki, pałki. Organizują się anarchiści. Przeciwko – milicja, ZOMO, SB. Średnio dwie demonstracje studenckie w tygodniu. Komisariaty, siniaki, rozbite głowy, zatrzymani do wyjaśnienia na 48 godzin.

Luty, kwiecień '89 to obrady "okrągłego stołu". Podstolik młodzieżowy nie spełnia oczekiwań. Niepokoje z uczelni wylewają się na ulicę. Wałęsa na Uniwersytecie Warszawskim prosi studentów o cierpliwość i opamiętanie.

Ale jednocześnie NZS jest



Warszawa, 21.09.80, przed Uniwersytetem Warszawskim.

fol. Jarosław M. Goliński

dla "Solidarności" tylko kartą przetargową. Obowiązuje hasło: Zmieńcie projekt statutu. Chodziło o brak akceptacji dla prestiżowego prawa do strajku. W rezultacie NZS wycofuje się z obrad "okrągłego stołu" i nie podpisuje jego postanowień końcowych, lecz ze względu na obawę destabilizacji nie potwierdza tego żaden dokument.

Kwiecień-maj '89 – IV Zjazd NZS-u w Gdańsku. Podczas pierwszej rozprawy przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie oddalono wniosek o rejestrację. Studenci znów na ulicach. 17-tu zatrzymanych przez MO. Fala majowych strajków opada jednak szybko, ze względu na zaangażowanie studentów w kampanię przedwyborczą "Solidarności".

Wreszcie 22 września 1989 roku, po uzyskaniu rejestracji w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, NZS znowu stał się legalny. Pojawiają się podziały wewnętrzne. Dotyczą podwójnej osobowości prawnej poszczególnych ośrodków akademickich. Lublin i Kraków opowiadają się za strukturą federacyjną zrzeszenia i za statutem z 1981 roku.

W listopadzie odbył się Zjazd NZS-u w Warszawie. Uczestniczyli przedstawiciele Gdańska, Wrocławia, Poznania i Warszawy. Podział stał się faktem.

Wreszcie w marcu 1990 roku Sejm uchwałą ustawił o stowarzyszeniach, która pozwala na podwójną osobowość prawną, więc w ostatnim tygodniu



NZS był studenckim odpowiednikiem "Solidarności".

fol. K. Frydrych



Zomowcy przed Uniwersytem Warszawskim.

fol. Jaroslaw M. Gofiszewski



NZZ wycofuje się u obrad "okrągłego stołu".

fol. Jaroslaw M. Gofiszewski



Pikieta poznaiskiego NZZ-u w dniu LWP (12.10.89).

fol. Aleksandra Bessert, CDF-Poznań

kwietnia 1990 r. w Krakowie odbył się Zjazd Zjednoczeniowy NZZ. Wybrano nową, wspólną Krajową Komisję Koordynacyjną.

Tyle na górze, oficjalnie. A praktyka? Na Uniwersytecie Warszawskim siedzibą NZZ-u jest odebrany "Almaturowi" pokój nr 14. Na jego drzwiach ślady po starych, zdartych już ulotkach, plakatami, ogłoszeniach. Samo pomieszczenie służy za magazyn dla chłopców handlujących książkami i gazetami przed bramą Uniwersytetu. Przez tydzień nikogo nie udało mi się w czternastce spotkać. Może zwykły przypadek.

Ale na Uniwersytecie od momentu uzyskania legalności NZZ wyraźnie ostabił swą aktywność. Zaczyna być tem dla całej masy rodzących się partii politycznych. Maleje jego autorytet. Niewiele ma do zaoferowania w sferze programowej. Z założenia jest jakby związkiem zawodowym studentów. Jednak chwilowo ten aspekt swojej działalności chyba zarzucił. Ginie wśród papierów, wszechogarniającej rutyny i kłótni z ZSP i innymi organizacjami. Każda następna demonstracja NZZ-u gromadzi coraz mniej uczestników, nawet w tak ważnej sprawie jak biblioteka uniwersytecka, której grozi ruina.

NZZ żył buntem przeciw władzy, żył nadzieją wolności. Dziś ma wolność, o którą walczył, ale prawie nikogo nie interesują studenci. Profesor Samsonowicz mówi o nich, że są na uczelniach elementem przejściowym.

Choć może nie jest tak źle. W maju strajkowało kilka wydziałów na kilku uczelniach i znowu mówi się trochę o studentach, ich statusie, ich Niezależnym Zrzeszeniu...

Anna Wrzalińska

APEL DO POLONII

Instytut Gospodarstwa Społecznego SOPS-u w Warszawie zwraca się z prośbą do wszystkich, którzy wyemigrowali z Polski po 1945 roku o nadsylenie do dnia 30 marca 1991 roku swoich wspomnień. Przewidywane są nagrody i honoraria autorskie. Szczegóły:

Instytut Gospodarstwa Społecznego
Szkoła Główna Planowania
i Statystyki w Warszawie
Al. Niepodległości 162
02-554 Warszawa, Polska

»Nie pozwolę sobie przykładać pistoletu do głowy«

rozmowa z Pawłem Moczydłowskim, dyrektorem Centralnego Zarządu Zakładów Karnych

— Pamięta Pan swoją pierwszą wizytę w więzieniu?

— Tak, to było na II roku studiów. Zorganizowano nam wycieczkę do Fordonu, do więzienia dla kobiet, byśmy na własne oczy zobaczyli, na czym polega resocjalizacja.

— Jakie były wrażenia?

— To było zetknięcie dwóch nieprzystawalnych światów. Oczywiście, zaprowadzono nas do celi, więźniarki nieco przestraszone wizytą "naukowców" stały przy pryczkach, a my im zadawaliśmy uczone pytania: "Jak pani znosi deprywację seksualną?" Nie wiedziały, o co nam chodzi, ale jedna, bardziej bystra, na wszelki wypadek odpowiedziała: "Ja się tym, proszę pana, nie zajmuję!" Nie umieliśmy pytać, rozmawiać, wszystko było nie tak, nie-trafiony język, źle ułożona sytuacja intymna. Nawet nasze życzenia wesółych świat na pożegnanie też były nie na

miejscu i wywołały reakcję odwrotną od zamierzonej.

— Które z więzień jest Panu znane najlepiej?

— Chyba Goleńców, Bawa, Uherce, ale wątpię, by moja wiedza o tych zakładach była aktualna, bo życie więzienne ma swoją dynamikę. Jak obliczyłem, w sumie spędziłem za kratkami ponad pół roku. Efektem tego były dwie książki. Pierwsza, to mój doktorat, książka pt. "Długie życie w instytucji totalnej. O sposobach wglądu w sekrety stosunków międzyludzkich" wychodzi w USA. Wydał ją także IPSIR, ale w ilości 99 egzemplarzy, tj. na prawach rękopisu, co pozwoliło uniknąć ingerencji cenzorskich. Drugą książkę, pt. "Protesty zbiorowe w zakładach karnych", napisałem wspólnie z Andrzejem Rzeplińskim, moim kolegą z Instytutu. Przez tę książkę znaleźliśmy się na listach proskrypcyjnych i przez blisko 7 lat mieliśmy zakaz wstępu do zakładów karnych. Książka wyszła w drugim obiegu. Próbowaliśmy ją oczywiście wydać oficjalnie, nie wiadomo dlaczego dano ją do zrecenzowania CZKK, recenzja była negatywna, a co ciekawe, szcztolki tej książki zostały te-



fol. Aleksandra Bessert, CDF-Poznań

raz znalezione w tajnych szafach resortu sprawiedliwości.

— Dlaczego właśnie więziennictwo stało się przedmiotem Pańskich badań?

— Instytucje totalne, gdzie wszystkie dziedziny życia ludzkiego podlegają kontroli, są zawsze bardzo interesujące dla socjologów. Zakład karny jest tajemniczym światem, który jednocześnie fascynuje i przeraża. Z jednej strony występuje zaciekawienie odmiennością, z drugiej zaś wyczuwa się okrucieństwo i bezwzględność tego świata. A ja od dziecka żyłem w instytucjach totalnych. Moja matka pracowała w domu dziecka niedaleko Gostynina, do pracy zabierała mnie z sobą, przez jakiś czas nawet tam mieszkalem. Pamiętam stamtąd dwóch braci, ich ojciec zamordował matkę, dostała za to wyrok śmierci. Ci chłopcy, z dziecięcą logiką, tak streszczali swój los; najpierw tatuś zabił mamusię, a potem sąd zabił tatusia. I tak nie mamy ani mamusi, ani tatusia. Chyba od tamtych czasów jestem przeciwnikiem kary śmierci. Potem 5 lat spędziłem w internacie Technikum Nukleonowego



Paweł Moczydłowski fot. Jarosław M. Góliszewski

Paweł Moczydłowski (l. 36), żonaty, dwoje dzieci, adiunkt Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW, w kwietniu br. mianowany dyrektorem Centralnego Zarządu Zakładów Karnych i dyrektorem generalnym w Ministerstwie Sprawiedliwości.

w Otwocku. Szkołę wychwalano, bo w epoce Gierka modne były wizje XXI wieku, ale warunki życia w internacie były fatalne. To były jakieś drewniane baraki, nieogrzewane, z piętrowymi łózkami, do tego mizerne stawki żywnościowe. Może pani wyobrazić sobie jak skromne, skoro podczas dyżuru w kuchni, kiedy można było najęść się do woli, byłem w stanie zjeść na obiad 9 drugich dań! Organizowaliśmy więc bunt, strajki głodowe, a ja, prawdę mówiąc, rządziłem internatem. Potem poszedłem na studia, zamieszkałem w akademiku. Wprawdzie akademika nie można nazwać instytucją totalną, ale był to trening życia zbiorowego, podobnie jak potem mieszkanie w hotelu asystenckim. Ponadto rok spędziłem w wojsku, klasycznej instytucji totalnej, czyli 13 lat życia spędziłem w zbiorowościach. Czy można się dziwić, że mnie ciągnie w tamtą stronę?

— *Czy łatwo było z uczelni trafić do tego gabinetu?*

— W 1989 r. otworzono przede mną bramy więzień. To proste: kiedy zaczęło się wszystko walić, wtedy na ratunek wezwano fachowców. Zakłady karne objęła fala buntów. Zostałem wiceprzewodniczącym komisji do zbadania przyczyn, przebiegu i skutków buntu więźniów w zakładach karnych w Czarnem, Nowogardzie, Goleniowie. Jakis czas potem zaczęto mówić o mojej nominacji, trudno mi było w to uwierzyć, ale w końcu stała się ona faktem.

— *He miał Pan czasu do namysłu?*

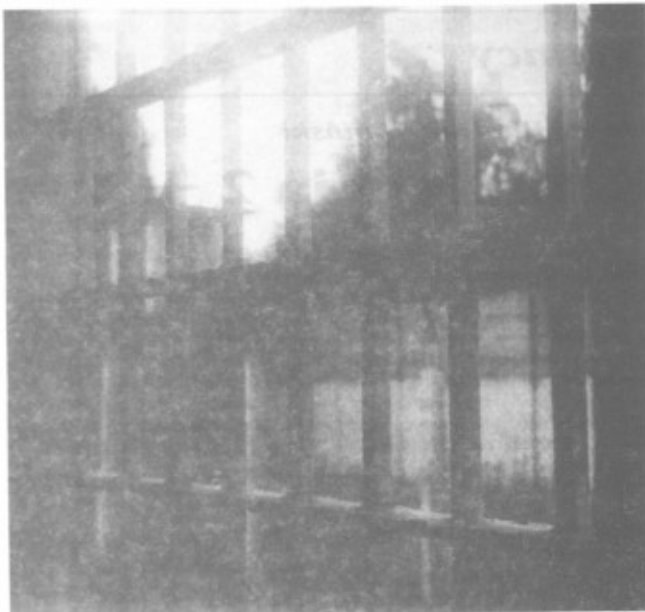
— Mój poprzednik opuścił ten gabinet z dnia na dzień. Dano mi 2-3 dni na podjęcie decyzji.

— *Co zdecydowało, że powiedział Pan "tak"?*

— Potraktowałem to jako rodzaj wyzwania. Dotąd stawałem diagnozy, robiłem raporty, doradzałem, więc powiedziałem sobie: a teraz masz okazję zrobić to sam, spróbuj. Przysięgną jednak, że zostałem zaskoczony rozmiarem katastrofy. Wiedziałem, że z więziennictwem jest źle, ale nie zdawałem sobie sprawy, że od 1989 r. nastąpiła tak straszliwa destrukcja.

— *Dał Pan się już poznać jako człowiek silnej ręki. Kiedy w Koszalinie 7 więźniów przedostało się na dach i żądając złagodzenia wyroku, groziło samospaleniem, Pan za pośrednictwem TV powiedział krótko i stanowczo: Nie ustąpię! I więźniowie zeszli z dachu.*

— Ja nie pozwoliłem sobie przykłaść pistoletu do głowy. I na pewno nie będę z lekarzami latać za każdym więźniem, który będzie groził, że się



fol. Jarosław M. Golażewski

pochłasta. Znam to środowisko i wiem, że muszę działać stanowczo i konsekwentnie. Moje pierwsze działania zmierzają do odzyskania sterowności zakładami karnymi, muszę przywrócić sprawne funkcjonowanie aparatu zarządzającego. Najpierw porządek i dyscyplina, potem reformy. Rozpoczęłem też walkę z korupcją, pijaństwem, a już ogniem i mieczem wypalę plenią-

ce się w zakładach karnych donosicielstwo.

— *Nie żał Panu pracy naukowej?*

— Jeszcze jak żał. Na uczelni wróć z pewnością. Książki do napisania czekają. Już dziś marzę o dniu, kiedy stąd odejdę, ale najpierw zrobię to, do czego się zobowiązałem.

Rozmawiała Ewa Kacprzycka

Liberalizacja polskiego więziennictwa

"Jeżeli chodzi o mnie, wszystko może zostać, jak jest. Jestem zadawolony. Byłoby oczywiście lepiej, gdybyśmy mieli w ośmiem, mieli możliwość przebywania we czterech" — twierdzi Kazimierz T., siołkatorski więzielnik przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Od pewnego czasu w celi jest telewizor, w wielu są nawet akwaria. W tym roku niektórzy więźniowie byli kilka dni "na przepustce" w domu. Warunki sanitarne są jeszcze nie najlepsze, ale po odpowiednim remoncie, na każdym piętrze będą prysznice.

Nowa sytuacja zmieniła świadomość więźniów. I tak np. pracujące dobrowolnie w wolne soboty, więźniowie z ul. Rakowieckiej przeznaczyli uzyskane pieniądze na pobliski dom dziecka. Co raz więcej z nich kształci się, robiąc ma-

ture czy rozpoczynając studia.

Ale więziennictwo, które ma wychowywać, a nie tylko karać, w Polsce jeszcze nie istnieje. Korupcja i zniechanie się nad więźniami są na porządku dziennym — relacjonuje zachodniobertliński lewicowy TAGESZEITUNG (31.05.), dodając iż proces liberalizacji polskiego więziennictwa rozpoczął się właściwie już w 1980 roku, w następstwie strajków w wielu więzieniach.

W ostatnich 40 latach więziennictwo w Polsce było narzędziem walki ideologicznej — twierdzi Paweł Moczyłowski. Dążyło do tego, by służyć ono resocjalizacji, a nie było miejscem przemocy, szantażu, znęcania się nad więźniami czy menegranicznej władzy strażników i dyrektorów więzień.

Maciej Radwan Rybiński

Konferencja 2 + 4 = 5 kontra 1

Pierwsza runda konferencji ministrów spraw zagranicznych obu państw niemieckich i czterech mocarstw w sprawie zjednoczenia Niemiec odbyła się początkach maja w Bonn. Jest to zgodne z logiką sytuacji – rozstrzygające decyzje zapadają w stolicy RFN i nie wydaje się, aby w Niemczech czy też na arenie międzynarodowej mogło zaistnieć cokolwiek, co zahamowałoby tempo zadekretowanego przez rząd Kohla procesu zjednoczenia lub w ogóle go powstrzymało.

Zjednoczenie stało się faktem, zanim jeszcze ministrowie spraw zagranicznych zjechali się do Bonn – z tego powodu dyskusje na temat ewentualnych zagrożeń, jakie niesie ono za sobą dla sąsiadów Niemiec, są całkowicie anachronistyczne. O wiele bardziej pożyteczna byłaby dyskusja nad szansami, jakie może ono tworzyć dla integracji europejskiej i nad sposobami ich wykorzystania. Zarażanie polityki, która jest sztuką możliwości, abominacjami i lękami mającymi swe źródło w myśleniu magicznym, prowadzi do separowania się od rzeczywistości, a w konsekwencji spycha z realistycznych pozycji w irytujący – bo tani – idealizm.

Ministrowie spraw zagranicznych okazali się przy okrągłym stole w Sali Światowej bońskiego MSZ realistami. W niemal pełnej harmonii potwierdzono zasadniczą zgodę na uszanowanie woli Niemców zjednoczenia obu państw niemieckich.

Zasadniczy konflikt tej konferencji, przynależność przyszłych, zjednoczonych Niemiec do NATO, który z obrad 2 plus 4 czyni raczej obrady 5

przeciw 1, nie ma charakteru sporu zasadniczego, od którego zależeć miałby cały proces zjednoczenia. O wiele bardziej przyszłość polityczno-wojskowych sojuszków zjednoczonych Niemiec jest elementem przetargu, jeśli nawet nie handlu.

Twarde "nie" sowieckiego ministra Eduarda Szewardnadze przynależności zjednoczonych Niemiec do

wę zniesienia w ciągu najbliższych 6 miesięcy specjalnego statusu Berlina wraz z kontrolą czterech mocarstw.

Z pustymi rękami nie przyjechał do Bonn także amerykański sekretarz stanu, James Baker, który w zamian za sowiecką zgodę na przynależność zjednoczonych Niemiec do NATO zaoferował rezygnację z modernizacji rakiet krótkiego zasięgu typu "Lance", z atomowej amunicji artyleryjskiej, ograniczenie listy COCOM i rozszerzenie współpracy gospodarczej.

Sprawa przynależności zjednoczonych Niemiec do Sojuszu Atlantyckiego jest typową rozgrywką polityczną. W istocie bowiem zgoda 4 mocarstw zwyciężskich na zjednoczenie pociąga za sobą konsekwencje prawne, formalnie nie pozostawiające miejsca na sprzeciw wobec swobodnego wyboru przez ogólnoniemiecki rząd sojuszników, także wojskowych. Zjednoczenie jest bowiem równoznaczne ze zniesieniem praw i odpowiedzialności mocarstw zwyciężskich za Niemcy jako całość, a tym samym przywraca Niemcom pełną suwerenność we wszystkich dziedzinach – także polityki obronnej. W tej sytuacji jedyną częścią Niemiec, w której Związek Sowiecki mógłby zachować swe prawa mocarstwa zwycięskiego jest Berlin z jego specjalnym statusem. Berlin Wschodni byłby jedynym miejscem, w którym stacjonować mogłyby po zjednoczeniu oddziały Armii Czerwonej.

Moskwa ma pełną świadomość tych konsekwencji generalnej zgody na zjednoczenie – stąd propozycja Szewardnadze oddzielenia zewnętrznych



NATO załagodzone zostało jego zapewnieniami, że różnic między uczestnikami konferencji nie należy dramatyzować, i że Moskwa gotowa jest do kompromisów. Szewardnadze nie przyjechał zresztą do Bonn z pustymi rękami – przywiózł zgodę Moskwy na zjednoczenie na zasadzie artykułu 23 Ustawy Zasadniczej RFN i perspekty-

aspektów zjednoczenia, tzn. kwestii sojuszków, od ich aspektów wewnętrznych. Innymi słowy — zjednoczcie się gospodarczo i administracyjnie, a potem się zobaczy. Propozycja ta została odrzucona zarówno przez rząd RFN jak i rząd NRD jako pretekst dla stacjonowania wojsk sowieckich w NRD i to przez nieokreśloną liczbę lat, a także dla dalszego istnienia dwóch armii niemieckich zintegrowanych z dwoma różnymi pakami wojskowymi. Ograniczałoby to w znacznym stopniu swobodę działania ogólnoniemieckiego rządu, i to nie tylko w polityce zagranicznej.

Motywów postawy sowieckiego rządu, osamotnionego w swoich żądaniach także wewnątrz Układu Warszawskiego należy chyba szukać w sytuacji wewnętrznej ZSSR — rośnie w siłę antygorbaczewowska opozycja na

jak i Berlina Wschodniego była bardzo stanowcza — traktat pokojowy niesie bowiem za sobą niejako z mocy prawa kwestie reparacji wojennych. I to nie tylko wobec ZSSR, ale wszystkich 120 państw, które były w stanie wojny z Niemcami w dniu kapitulacji III Rzeszy. Ale być może właśnie celem Moskwy jest uzyskanie — w takiej lub innej formie — pomocy finansowej. Sytuacja płatnicza ZSSR jest bowiem tragiczna — rok ubiegły zamknął się w handlu zagranicznym, po raz pierwszy od 15 lat — deficytem sięgającym ponad 3 miliardów dolarów. Sowieckie przedsiębiorstwa od roku praktycznie przestały spłacać swe zobowiązania wobec zachodnich partnerów.

Dodatkowy problem finansowy stworzy Związkowi Sowieckiemu wycofanie z NRD stacjonujących tam 380 tysięcy żołnierzy i 120 tysięcy

zostanie tylko enklawa obrony terytorialnej — opłacony zostanie niemieckimi inwestycjami w ZSSR.

Bońska konferencja zdecydowała, bez żadnych dyskusji i na wniosek samych Niemców, że polski minister spraw zagranicznych, Krzysztof Skubiszewski zaproszony będzie do udziału w trzeciej rundzie rozmów zaplanowanych na koniec lipca w Paryżu. Jest to zaproszenie czysto grzecznościowe, gdyż wszystko wskazuje na to, iż problem polskiej granicy zachodniej będzie do tego czasu ostatecznie rozwiązany. Oba rządów niemieckim zależy niesłychanie na uniknięciu sytuacji, w której mocarstwa mogłyby stać się rozjemcami między Polską i Niemcami, a jeszcze bardziej — aby uczestnicy konferencji dyktowali przebieg granic.

Należy się więc spodziewać, że nie



Ministrowie spraw zagranicznych (od lewej): ZSSR — Szewardnadze, Francji — Dumas, NRD — Meckel, RFN — Geneser, Wlk. Brytanii — Hurd i USA — Baker

lewicy i na prawicy, Związek Sowiecki i jego strefa wpływów ulegają erozji. Rezygnacja z wpływów w Niemczech mogłaby przynieść Gorbaczowowi dalsze kłopoty, zwłaszcza z armią i wpływowym lobby weteranów II wojny światowej. Zrozumieniem sytuacji Gorbaczowa, którego klęska zdaniem zachodnich polityków mogłaby mieć katastrofalne następstwa dla pokoju światowego można tłumaczyć powściągliwość Bonn w polemice z sowieckimi propozycjami i okazywaną gotowość do rokowań.

Na inny aspekt tej sprawy wskazuje wysunięta w dwa dni po bońskiej rundzie konferencji dwa plus cztery propozycja Gorbaczowa zawarcia ze zjednoczonymi Niemcami traktatu pokojowego. Tu postawa zarówno Bonn

członków ich rodzin. Już obecnie 50 tysięcy oficerów i ich bliskich, wycofanych z krajów Europy Wschodniej koczuje pod namiotami bez szans na mieszkanie i pracę. Z drugiej strony NRD do tej pory finansowała stacjonowanie wojsk sowieckich sumą 700 milionów marek rocznie. Z chwilą wejścia w życie unii monetarnej wraz ze zniesieniem subwencji, koszty przekroczą i to znacznie, miliard marek. Dla kanclerza Kohla i jego rządu jest nie do przyjęcia, aby zachodnioniemieckich podatników obciążyć kosztami stacjonowania armii okupacyjnej.

Otwiera się tu więc pole do rokowań czysto handlowych, w których udział zjednoczonych Niemiec w NATO — jeśli nawet terytorium NRD po-

tylko oba parlamenty niemieckie 17 czerwca, w rocznicę powstania berlińskiego uchwałą na wspólnym posiedzeniu w gmachu Reichstagu wspólną deklarację w sprawie granic, ale że jeszcze przed zjednoczeniem, a nawet przed lipcową konferencją paryską dojdzie do parafowania projektu traktatu granicznego.

Wygląda też na to, iż kwestia przynależności zjednoczonych Niemiec do NATO — z większymi lub mniejszymi ograniczeniami w stosunku do terytorium NRD, za większe lub mniejsze ustępstwa finansowe — rozstrzygnie się jeszcze przed zaplanowanym na listopad szczytem KBWE.

Maciej Radwan Rybiński

Krystyna Grzybowska

Chodzi o więcej niż o Odrę i Nysę

Były wieloletni rzecznik prasowy prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera Friedbert Pflüger w wydanych ostatnio wspomnieniach "Portret z bliska" pisze:

"Zaplanowany na 1 września 1989 roku termin poróży został przez podenerwowaną sukcesami wyborczymi republikanów bawarską CSU zdyskwalifikowany jako "pielgrzymka pokutna". Helmut Kohl, zezując na wahające się prawe skrzydło, wynajdował wciąż nowe preteksty, by odwlec pakowanie walizek do poróży. Podróż kanclerza Kohla powinna odbyć się przed wizytą prezydenta federalnego, aby rozwiązać rzeczowe kwestie między Bonn i Warszawą."

Kiedy wreszcie wizyta doszła do skutku, w dniu 2 maja 1990 roku, wszyscy byli pełni oczekiwań. I prezydent, który nazwał ją najważniejszą w jego karierze politycznej – i zachodnioniemiecka opinia publiczna, i społeczeństwo. Prezydent zaangażował się w sprawę pojednania niemiecko-polskiego już wiele lat przedtem. Nie jest znaną szerszemu ogółowi jego zasługa dla ratyfikacji układu podpisanego przez ówczesnego kanclerza Brandta w grudniu 1970 roku w Warszawie. Sprawa ratyfikacji znalazła się na forum Bundestagu wiosną 1972 roku. Sytuacja była beznadziejna. Rząd i opozycja dysponowały równą liczbą głosów. Wówczas Richard von Weizsäcker zapowiedział na posiedzeniu frakcji parlamentarnej CDU/CSU, że będzie głosował za ratyfikacją. Przekonał dla swojej sprawy jeszcze dwóch posłów chadeckich. Głosowanie odłożono. Pod dwóch płomiennych przemówieniach Weizsäckerowi udało się przekonać frakcję CDU/CSU, aby umożliwiła ratyfikację wstrzymując się od głosu.

Starania von Weizsäckera, byłego żołnierza Wehrmachtu, który w dniu 1 września 1939 roku wkroczył na terytorium Polski i w tym samym dniu stracił na polu bitwy swego brata – o pojednanie z Polską, a przede wszystkim o uznanie polskich granic sięgają lat znacznie wcześniejszych.



Powitanie prezydenta von Weizsäckera na warszawskim Okęciu.

W 1962 roku Richard von Weizsäcker, wówczas przewodniczący Rady Kościoła Ewangelickiego, napisał:

"Problem Odry i Nysy nie jest u nas ze zrozumiałych, ale rzeczowo nieusprawiedliwionych powodów traktowany jako kwestia wyizolowana. A chodzi tu przecież o terytorium stanowiące trzecią część obszaru Polski i mieszczące najważniejsze ośrodki polskiego przemysłu. Dalsze trwanie Polski bez tych terenów jest nie do pomysłenia. Ani komunistyczny, ani liberalny rząd Polski nie może zgodzić się na trwałe ułożenie z nami stosunków bez upewnienia się choćby w ogólnym zarysie, jakie jest nasze stanowisko w tej zasadniczej kwestii."

Nie wydaje mi się, aby polskie społeczeństwo przed wizytą prezydenta von Weizsäckera zostało poinformowane o tych wieloletnich staraniach o uznanie

polskich granic i o pojednanie między naszymi narodami. Wyjeżdżając do Warszawy prezydent RFN był przygotowany na coś więcej niż czysto protokolarne rozmowy i wymianę przemówień. Towarzyszyło mu aż 100 zachodnioniemieckich dziennikarzy, wizytę obserwowali uważnie najwybitniejsi komentatorzy RFN. Prezydent oczekiwał przełomu i rozczarował się. Choć oficjalnym stosunkom niemiecko-polskim nadany został nowy impuls, choć moralny autorytet von Weizsäckera zyskał u jego partnerów uznanie, społeczeństwo polskie przeszło obok tego wydarzenia raczej obojętnie.

Prasa i telewizja zachodnioniemiecka relacjonując przebieg wizyty zwracała uwagę na jej nikły oddźwięk, a zwłaszcza znikome echo przemówienia prezydenta RFN podczas przyjęcia w hotelu Victoria w Warszawie. Można

tłumaczyć to świętem 3 Maja (w dniu tym nie ukazały się gazety), ale nie jest to wystarczające usprawiedliwienie. Gazety z 4 maja też nie poświęciły tej bądź co bądź historycznej wizycie zbyt wiele uwagi. Podobnie polska telewizja.

Zachodniemieckie mass media tłumaczyły tę obojętność wzrostem w ostatnim czasie nastrojów lęku przed zjednoczonymi Niemcami, rezydentami i uprzedzeniami, ale także strachem, sztucznie wywołowanym głównie przez polską lewicę. (Jak poinformował zachodniemiecki konserwatywny dziennik *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, powołując się na wyniki badań przeprowadzonych w kwietniu przez CBOS, 88% Polaków czuje się zagrożonych przez Niemców; w skali sympatii, na której czołowe miejsca zajmują USA, Włochy i Francja — NRD i RFN znajdują się na ostatnich pozycjach za Izraelem, Chinami i Kubą — przyp. red.).

Inne rozczarowanie obserwatorów zachodniemieckich, to niezaprośzenie prezydenta von Weizsäckera do Sejmu, w którym przemawiali prezydent Czechosłowacji Havel i prezydent USA Bush.

W Warszawie prezydent von Weizsäcker nie miał okazji spotkać się z przedstawicielami polskiego społeczeństwa, tzn. ludźmi z ulicy. Dopiero część nieoficjalna podróży przyniosła trochę satysfakcji. Wizyta w Gdańsku i spotkanie z Lechem Wałęsą, ze studentami, a następnie podróz na Mazury i rozmowy ze zgromadzoną ludnością. Dodajmy do tego spełnienie marzenia von Weizsäckera i złożenie kwiatów u stóp pomnika na Westerplatte, tam gdzie tak bardzo pragnął być w 50 rocznicę wybuchu II wojny światowej — 1 września 1989 roku.

Po zakończeniu wizyty w Polsce prezydent von Weizsäcker nie udzielił żadnego większego wywiadu. Jeszcze w Polsce podkreślał potrzebę budowania mostów między narodami niemieckim i polskim miast wygłaszania wzniosłych mów i patrzenia w przeszłość. Mówił, że nie należy bać się zjednoczonych Niemiec i że kwestia granic jest raz na zawsze rozstrzygnięta.

Tylko tygodnik *Welt am Sonntag* (6.05.) opublikował trzy króciutkie wywiady na temat tej podróży: z ministrem spraw zagranicznych RP Krzysztofem Skubiszewskim, posłem OKP-u Bronisławem Geremekiem i prezydentem von Weizsäckerem.

Minister Skubiszewski powiedział m.in., że prezydent RFN usunął niektó-

re niejasności we wzajemnych stosunkach i zakończył niefortunną dyskusję o granicy na Odrze i Nysie. Dzięki tej wizycie stosunki polsko-niemieckie zyskały nową podstawę. Dla mnie i dla nas Polaków — powiedział minister — jest zadośćuczynieniem to, że mąż stanu o takim formacie jak prezydent von Weizsäcker przybył do nas z tak poruszającymi słowami.

Bronisław Geremek stwierdził, że prezydent von Weizsäcker jest jednym z największych autorytetów naszych czasów, który w ostatnich miesiącach usunął niejasności i nasze lęki, zdobywając serca Polaków.

Prezydent von Weizsäcker: "Stosunki niemiecko-polskie weszły na właściwą drogę, ale wysiłki muszą być konsekwentnie kontynuowane."

Ogólnie wizyta prezydenta RFN w Polsce została oceniona w tutejszych mass mediach raczej pozytywnie, mimo pewnego uczucia niedosytu, wynikającego być może z przyzwyczajenia do niezwyklej wprost skuteczności, niezwykłego oddziaływania osobowości von Weizsäckera podczas wszystkich jego zagranicznych podróży — także do Izraela.

W Polsce powściągliwość okazała się większa niż gdziekolwiek indziej, jakby zabrakło zrozumienia podstawowego przesłania współczesności — do zjednoczenia Europy możemy wejść tylko z Niemcami, a nie przeciwko Niemcom.

Bonn, 8.05.1990

Krystyna Grzybowska

Kolejna »volta« Lecha Wałęsy

Jak donosi Stefan Dietrich w relacji z wizyty prezydenta von Weizsäckera (FAZ, 30.04.90), "wieki syn tego miasta" (Gdańsk — przyp. "Poglądu") w swoisty sposób próbował wprowadzić nowe zasady protokołu dyplomatycznego. Lech Wałęsa nie wyszedł powitać nadjeżdżającego prezydenta von Weizsäckera lecz czekał nań na pierwszym piętrze budynku związkowego. Zszedł tylko dlatego, iż jego gabinet nie pomieściłby wszystkich fotoreporterów.

■ DREZNO. W latach 50-tych w Dreźnie skazano na śmierć ponad 60 "wrogów państwa"; do wykonania wyroków użyto pozostałą po narodowych socjalistach gilotynę. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 14.05.)

■ LONDYN. Organizacja Narodów Zjednoczonych w swoim raporcie o stanie ludności na świecie podaje, iż w latach 90-tych liczba ludności Ziemi szacowana o 1 mld. (TAGESSPIEGEL, 15.05.)

■ WASZYNGTON. 2,3 mln obywateli amerykańskich jest narkomanami. (FAZ, 14.05.)

■ RZYM. Jak podaje agencja prasowa Reuters, włoska policja zarekwirowała w Neapolu 90 ton części do tzw. superdziała Bulla przeznaczonego dla irackiego władcy Sadama Husejny; przypominając, iż podobne ładunki zarekwirowano w Wlk. Brytanii, Grecji i Turcji. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 14.05.)

■ BONN. W niedzielnych wyborach (13.05.) w dwóch landach RFN: Dolnej Saksonii i Nadrenii-Północnej Westfalii, skrajnie prawicowi Republikanie osiągnęli odpowiednio 1,5% i 1,8%, nie dostając się do parlamentów krajowych. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 15.05.)

■ BERLIN WSCHODNI. Szacuje się, iż w Niemczech Wschodnich około 100 tys. osób nie umie czytać ani pisać. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 15.05.)

■ KINGSVILLE/USA. Najpóźniej w ciągu 30-tu lat wyładujemy na Marsie, czyli w 50-tą rocznicę wyładowania na Księżycu — powiedział amerykański prezydent George Bush. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 15.05.)

■ BONN. Wschodniemieckie szkoły otrzymają w tym roku z RFN podręczniki szkolne na łączną sumę 30 mln marek. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 17.05.)

■ MOSKWA. Ponad 10 tysięcy donbaskich górników rozpoczęło strajk, protestując przeciwko katastrofalnym warunkom pracy. (FAZ, 12.05.)

■ WARSZAWA. 45% Polaków jest przekonanych, że stara, komunistyczną nomenklaturę zastąpiła nowa, solidarnościowa. (DER TAGESSPIEGEL, 11.05.)

■ MOSKWA. Statystyczny obywatel ZSSR wyprodukował w ub. roku towarów czy usług na sumę 9.310 dol.; dla porównania: w USA i RFN odp. 20.780 i 19.320 dol. (TAGESSPIEGEL, 15.05.) ■

Wschód potrzebuje naszej solidarności

«Zachód wygrał zimną wojnę, teraz musi pomóc tym, którzy 40 lat czekali na wolność. Bez zachodniej pomocy kraje Europy Wschodniej nie przeżyją. Przede wszystkim ze strony Niemiec należy oczekiwać ofiarności w tej sprawie» —

stwierdza hrabina Marion Dönhoff i były kanclerz RFN Helmut Schmidt w artykule opublikowanym na łamach lewicowego tygodnika »Die Zeit« (22-25.05.90). Poniżej zamieszczamy fragmenty tego artykułu.

Należy postawić sobie pytanie, jaki sens miały zbrojenia ostatnich lat. Tylko w okresie 8-letnich rządów prezydenta Reagana tj. od 1981 do 1989 roku Stany Zjednoczone wydały na zbrojenia 2200 miliardów dolarów (2.200.000.000.000). Od tego czasu rocznie na zbrojenia wydaje się ok. 300 mld dolarów. Sens ówczesnych zbrojeń był niepodważalny: ochrona Europy Zachodniej przed komunizmem. Głównym celem było stworzenie systemu odstraszania przed potencjalną agresją ze Wschodu. Dla najbardziej śmiałych — nadzieją na zastąpienie komunizmu demokracją.

Co teraz? W wyniku niezłomnego dążenia narodów Europy Wschodniej oraz procesu załamywania się komunistycznego systemu, zagrożenie Zachodu ze strony moskiewskiego imperium zostało oddalone. Zapalczywi obrońcy demokracji zachodniej, miast wykonać powstającą sytuację i udzielać pomocy narodom, którym udało się obalić komunizm i odzyskać wolność, spoczywają na laurach. Wolność i demokracja w Europie Wschodniej będą możliwe tylko wtedy, gdy kraje te odbudują zrujnowaną w systemie komunistycznym gospodarkę. Zarówno Polska, jak i Węgry czy Czechosłowacja, własnymi siłami tego nie osiągną. Brakuje im po prostu odpowiednich środków. Przemysł jest przestarzały, produkcja spada, wszystkie rezerwy zostały zużyte. Bez zastrzyku finansowego z Zachodu nie będzie to możliwe.

Jeżeli Zachód nie może, wszystkie te miliardy wydatkowane ubiegłych w latach na zbrojenia zostały wydane na próżno, bowiem już od dłuższego czasu nie istnieje bezpośrednio niebezpieczeństwo wojny w Europie — okres próby sił, wyścigu zbrojeń, okres zimnej wojny skończył się.

Niewłaściwe wykorzystanie tego zwycięstwa, tj. zatrzymanie się z rękami w kieszeniach 100 metrów przed metą, jakby cel już osiągnięto — jest nie tylko niekonsekwencją, ale właściwie zbrodnią w stosunku do mieszkańców krajów Europy Wschodniej, którzy 40 lat czekali na wolność. Oznaczałoby to powrót do beznadziei i biedy, powrót do nowych, autorytarnych reżimów.

17 listopada ub. roku z inicjatywy RFN, podczas kolejnego spotkania Rady Europejskiej w Paryżu, przedstawiono prezydentowi Francji szczegółową propozycję pomocy gospodarczej dla tych krajów Europy Wschodniej, które weszły na drogę ekonomicznych reform i politycznego pluralizmu. Pod kierownictwem prezydenta François Mitterranda i przewodniczącego EW Jacquesa Delorsa, w ramach prac EW przystąpiono do konkretnych kroków. W Brukseli przygotowano szeroki pakiet pomocy dla krajów Europy Wschodniej, związany przede wszystkim z kredytami Banku Inwestycyjnego oraz zwiększeniem budżetu EW, z przeznaczeniem dodatkowych sum na pomoc dla krajów Europy Wschodniej. Powstała idea powołania Banku na rzecz Odbudowy i Rozwoju Europy

Wschodniej (EBWU), w którym miały brać udział oprócz członków EW również Stany Zjednoczone, Japonia, ZSSR oraz kraje Europy Wschodniej. Idea ta wyszła od byłego prezydenta Francji Giscarda d'Estaing. Jednak stworzenie Banku napotyka na różne opory — głównie biurokratyczne i prestiżowe — ze strony zachodnich rządów. Zanim jednak udzieli on pierwszych kredytów, zmarnowany zostanie tak drogocenny przecież czas.

W międzyczasie wysoko rozwinięte kraje Europy Zachodniej "na własną rękę" udzielają pomocy przede wszystkim Polsce i Węgrom. Bonn udzieliło Polsce dodatkowych gwarancji (Hermes-Garantie) przede wszystkim na eksport towarów do Polski. Waszyngton stworzył 3-letni program pomocy kredytowej dla Polski i Węgier, jednak w niewielkim wymiarze. Również Paryż, Londyn czy Bern, jak i inne kraje zachodnie, dokonały pierwszych kroków udzielania pomocy. Podobnie Bank Światowy. Ale o skoordynowanej pomocy na szeroką skalę nie może być do tej pory mowy. Przeciwnie, np. sekretariat Komisji Gospodarczej ONZ (ECE) ostrzegł, że powtórzenie planu Marschalla nie jest odpowiednim rozwiązaniem (sic! — przyp. tłum.) dzisiejszych problemów Środkowej i Wschodniej Europy.

W sumie dotychczasowa pomoc Zachodu dla Europy Wschodniej daje mizerny i godny pożałowania obraz. Szef Fundacji Walutowej Michel Samdeussus miał rację, kiedy z końcem kwietnia br. zwrócił uwagę na konieczność ludzkiej solidarności z krajami Europy Wschodniej w postaci szerokiej pomocy finansowej ze strony krajów Europy Zachodniej oraz łagodzenia negatywnych zjawisk powstałych



na skutek strukturalnych reform. Pytanie zadane przez premiera Tadeusza Mazowieckiego hamburskiemu tygodnikowi *Die Zeit* na początku maja br.: "Czy Niemcy rozumieją, że dla polskich problemów musimy szukać szczególnego rozwiązania?" — zostało skierowane pod właściwym adresem.

Skoncentrowanie się rządzącej koalicji CDU/CSU/FDP na problemach zjednoczenia może spowodować, że polityka niemiecka ograniczy się li tylko do spraw wewnątrzniemieckich. Przykładem takiej polityki jest 10-punktowy program kanclerza Kohla z listopada ub. roku, w którym sprawa Polski w ogóle nie została wzięta pod uwagę. Program, który został ustalony bez sąsiadów Niemiec. W międzyczasie prezydent RFN Richard von Weizsäcker podczas wizyty w Polsce próbował rozładować powstałe napięcia dotyczące między innymi granicy na Odrze i Nysie, wywołane wystąpieniami kanclerza Kohla. W dalszym ciągu nie ma jednak mowy o kompleksowym planie pomocy finansowej dla Polski, Czechosłowacji czy Węgier.

Gdy porówna się bilans płatniczy czy roczny budżet RFN z innymi krajami EW, zrozumie się, dlaczego wszyscy oczekują przede wszystkim od Niemców szczególnych wysiłków w udzielaniu pomocy krajom Europy Wschodniej. Tak było zarówno w latach 70-tych jak i 80-tych. Dlatego że byliśmy i jesteśmy w EW największym płatnikiem — pomogliśmy w 1974 roku Włochom ogromnym kredytem; przejeżdżaliśmy na własne barki w ramach pomocy międzynarodowej kredyty dla Turcji. Dziś Niemcy muszą przejąć inicjatywę. Było rzeczą zrozumiałą, że inicjatywę Backera i Brady'ego mające na celu umorzenie długów krajów wysoko zadłużonych, nie objęły wówczas Europy Wschodniej, gdyż była ona jeszcze pod komunistycznym panowaniem. W międzyczasie sytuacja polityczna się zmieniła. Zadłużenie np. Polski jest już tak wysokie, a deficyt w handlu zagranicznym Polski coraz większy, że spłaty procentów od procentów możliwe są tylko w 1/3 wysokości, nie mówiąc o spłacie właściwego długu — wszystko to zmusza do zastanowienia się nad tym problemem.

We wszystkich krajach RWPG gospodarka upadła i spadły realne dochody. Polska i Węgry w nadziei na

Zadłużenie w miliardach dolarów USA

	1985	1986	1987	1988	1989
Polska	27,7	31,8	36,2	35,6	38,0
Węgry	11,7	14,8	18,1	18,2	18,9
NRD	6,7	8,2	9,7	10,3	11,0
CSFR	3,6	4,1	4,4	5,0	6,0

Zródło: Międzynarodowy Instytut Porównań Gospodarczych w Wiedniu
(Wiener Institut für Internationale Wirtschaftsvergleiche)

stworzenie wolnego rynku wprowadziły wolne ceny rynkowe. Biorąc pod uwagę wysoki stopień inflacji, było to logiczne i jeżeli polityka cenowa i płacowa poddane zostaną odpowiedniej dyscyplinie, można liczyć na sukces i otwarcie gospodarki tych krajów na zachodni rynek. Konieczny jest przy tym nieograniczony rozwój prywatnej inicjatywy w celu budowania własnych przedsiębiorstw, technologiczna pomoc Zachodu oraz udostępnienie nowoczesnych metod kierowania przemysłem, np. tworzenie spółek joint ventures z kapitałem zagranicznym. Najważniejszą sprawą jest prywatny kapitał z Zachodu. Zachodni inwestorzy muszą jednak zarobionymi pieniędzmi dowolnie obracać i móc je transferować, dokądkolwiek tylko zechcą. Oczywiście w dewizach. Konieczna jest więc reforma rygorystycznych systemów bankowych, praktycznie uniemożliwiających nielicznym dotąd zachodnim inwestorom wywożenie zysków w trwałej walucie z krajów, w których zainwestowali.

Polska i Węgry są najbardziej za-

rażonymi krajami, istnieją jednak szanse na wyjście z tej gospodarczej mizeroty. Wysokie spłaty, jakich kraje te muszą dokonywać rokrocznie powodują, iż tylko niewielka część uzyskanych z eksportu dewiz może zostać wykorzystana na import niezbędnych środków przeznaczonych na unowocześnianie gospodarki. Konieczna jest więc rezygnacja Zachodu ze spłaty rządowych kredytów, jak również częściowa rezygnacja prywatnych banków zachodnich, i co najistotniejsze — stworzenie konkretnego planu udzielania nowych kredytów umożliwiających rozwój upadłej gospodarki.

Inicjatywa powinna wyjść z Bonn. Przede wszystkim Niemcy powinny być zainteresowane w umocnieniu demokracji u swoich wschodnich sąsiadów i być odpowiedzialne za to, żeby ich sąsiadom dobrze się działo. Mimo procesu zjednoczeniowego Niemiec i związanych z tym kosztów, nie wolno zapominać o naszych wschodnich sąsiadach. Obecna pozycja rządu zachodniemieckiego jest moralnie nie do przyjęcia. Może ona pociągnąć za sobą negatywne — ekonomiczne jak i polityczne — skutki. Upadek komunistycznych rządów w Warszawie, Budapeszcie, Berlinie Wschodnim czy Pradze jest nierozdzielnie związany z trwałym umocnieniem demokratycznych form rządów poprzez socjalne i gospodarcze reformy w tych krajach.



POPILNUJ KRAMU.
JA LECEĘ PO ZASILEK
DLA BEZROBOTNYCH!



Tylko podwyższenie poziomu standardu życia może ten proces umocnić. Gorbaczow traci na popularności w społeczeństwie tylko dlatego, że jego niekonsekwentne, gospodarcze reformy nie przynoszą widocznej poprawy i ludziom żyje się coraz gorzej.

Plan Marshalla dla Europy Wschodniej

Oczywiście nasi wschodni sąsiedzi w pierwszej kolejności muszą pomóc sobie sami. Muszą stworzyć instytucyjne i prawne podstawy rozwoju gospodarki. Wtedy pomoc nasza będzie miała sens. Pomoc taka kosztuje, pieniędzy tych nie możemy po prostu wydrukować. Konieczna jest kilkuletnia ofiara z naszej strony. Plan Marshalla z okresu powojenego jest tu wspaniałym przykładem. W latach 1948-51 USA pomogły 16 krajom Europy (kraje komunistyczne nie skorzystały z tego planu). Kosztował on Stany Zjednoczony w sumie 16 mld dol. Koszty nowego planu Marshalla dla krajów Europy Wschodniej szacuje się na 64 mld dolarów. Dziś obciążenie to rozłożone zostałoby na większą ilość państw i ludzi. 4 lata pomocy po 16 mld rocznie — to 0,3%

rocznego produktu globalnego Wspólnoty Europejskiej. Gdyby dołączyły się Stany Zjednoczone i Japonia — tylko 0,1%!

Należy przypomnieć, że bez zagranicznej pomocy odbudowa w latach 50-tych zniszczonych wojną Niemiec byłaby możliwa. Należy jeszcze raz podkreślić, iż moratorium w sprawie uregulowania kwestii długów, nie przyniesie za sobą dodatkowych obciążeń finansowych, nie przyczyni się do zwiększenia ilości pieniędzy w obiegu czy też zwiększenia stopy inflacji, ale bez takiego moratorium wysiłki krajów Europy Wschodniej mogą spalić na panewce i przede wszystkim ze strony Niemiec należy oczekiwać ofiarności w tej sprawie.

Gospodarczy i polityczny sukces Europy doprowadzi do przyłączenia do Europejskiej Wspólnoty krajów wschodnioeuropejskich, co pozytywnie zapewne przyczyni się do rozwoju sytuacji i w Związku Sowieckim. Ponadto realniejsza stanie się idea wspólnego europejskiego domu. Musimy więc być solidarni.

Thum. Leszek Kaleta

Rys. Witold Parzydło

Bank na rzecz Odbudowy i Rozwoju Europy Wschodniej

W dniu 29.05.90 przedstawiciele 42 krajów podpisali umowę o powstaniu Banku na rzecz Odbudowy i Rozwoju Europy Wschodniej z siedzibą w Londynie. Kapitał założycielski wynosi 12 milionów dolarów. Pierwszy prezydent banku Francuz Jaques Aitall, określił go jako "most przyszłości".

Największym udziałowcem banku są Stany Zjednoczone (10%), RFN, Francja, Włochy i Japonia (po 8,5%). 12 krajów Wspólnoty Europejskiej mają w sumie 51% udziału.

Zanim jednak bank zacznie funkcjonować, tj. udzielać kredytów, 2/3 z 42 członków musi ratyfikować umowę. Przewiduje się, iż bank rozpocznie działalność dopiero w przyszłym roku.

Kredyty będą udzielane przede wszystkim sektorowi prywatnemu (do 60%) w Europie Wschodniej. Pozostałe 40% przeznaczane zostanie na polepszenie infrastruktury oraz na ochronę środowiska naturalnego. (TAGESSPIEGEL, 30.05.)

Klaus Ziemer

O tożsamość Śląska

Niemiecka mniejszość narodowa nie istniała w PRL przez trzydzieści lat. Teraz raptem mają jej zostać przy-

znane prawa uzgodnione z Republiką Federalną Niemiec. Skąd się wzięła, jaka jest duża i czego chce?

Na Konferencji Poczdamskiej przyznano Polsce — z zastrzeżeniem zgody przyszłej konferencji pokojowej — po pierwsze: tytuł prawny do wschodnich obszarów Rzeszy Niemieckiej po Odrę i Nysę Łużycką, z wyjątkiem północnych terenów Prus Wschodnich. Po drugie: ludność niemiecka żyjąca na tych obszarach miała zostać przesiedlona do terytorialnie zredukowanych, okupowanych przez aliantów Niemiec. W rzeczywistości już przed Konferencją Poczdamską (lipiec/sierpień 1945) dziesiątki tysięcy Niemców wygnano z rodzinnych stron, w szczególności z terenów sąsiadujących z przyszłą granicą na Odrze i Nysie. Innych — po części były to osoby obciążone przeszłością nazistowską, ale również niewinni mężczyźni, kobiety i dzieci — zamknięto w obozach pracy i internowania, gdzie tysiące z nich straciło życie. Choć w wyniku kilku kolejnych akcji wysiedleńczych przeprowadzonych przed 1948 r. większość wschodniemieckiej ludności musiała opuścić swoją ojczyznę, to jednak na terytorium dzisiejszej Polski pozostała znaczna ilość Niemców.

Nader trudno określić dokładnie ich liczbę: zachodniemieckie publikacje szacują ją na 1,7 miliona w roku 1950. Kogo jednak i według jakich kryteriów można zakwalifikować jako "Niemca"? Jest to do dnia dzisiejszego pytanie kluczowe, a odpowiedzi na nie są kontrowersyjne.

Polskie władze podzieliły ludność żyjącą na terenach nad Odrę i Nysę na dwie kategorie.

1. Ludność jednoznacznie niemiecka — wedle kryteriów etnicznych i z uwagi na przynależność państwową. Ludność ta została do roku 1948 w znacznej mierze wysiedlona. W Polsce pozostali — po części wbrew własnej woli — jedynie Niemcy nie dający się tymczasem zastąpić jako wykwalifikowana siła robocza,

szczególnie w śląskim zagłębiu węglowym.

2. Ludność pozostała, tj. dotychczasowych obywateli niemieckich osiadłych na terenach nad Odrę i Nysę, których poddano "weryfikacji". Byli to głównie ludzie z terenów etnicznie "mieszanych", na których po 1918 r. miały miejsce plebiscyty rozstrzygające o przynależności do Polski lub Niemiec.

Zasady, według których przeprowadzano "weryfikacje", można określić jednym wspólnym mianownikiem: "Nie chcemy ani jednego Niemca", przy czym jednak "polska racja stanu wymaga, by nie zmarowała się ani kropla naszej (polskiej) — przyp. "Pogląd" krwi". Założono bowiem, że owe prawie 1,5 miliona osób to Polacy, żyjący od stuleci pod naciskiem germanizacji, powracający teraz do macierzy, aby żyć wreszcie jako Polacy wśród Polaków.

Polskie głosy nie pozbawione samokrytyki przyznają dzisiaj, że polityka PRL doprowadziła do tego, czego trwająca od pokoleń germanizacja osiągnąć nie zdołała. Ogromna część "autochtonów" — dyskryminowanych przez polskie władze jako "Niemcy" — zadeklarowała się więc ostatecznie jako własnie Niemcy. Doszło do tego, aczkolwiek i język, i kultura niemiecka były przez dzie-

siątki lat na terenie Śląska konsekwentnie poddawane prześladowaniom. Przykładowo nauka języka niemieckiego — nawet jako języka obcego — była zabroniona na Górnym Śląsku do końca lat 80-tych.

Na Pomorzu, na Dolnym Śląsku i na Ziemi Lubuskiej, oficjalnie "uznani Niemcy" doczekali się wprawdzie — zgodnie z zasadami stalinowskiej polityki narodowościowej — na początku lat 50-tych własnego szkolnictwa, a od października 1956 mogli nawet podjąć skromną działalność kulturalną. Podstaw do samodzielnej działalności kulturalnej zabrakło jednak, przynajmniej według oficjalnej wersji polskiej, gdy w latach 1955-1959, w ramach łączenia rodzin, około 250.000 Niemców opuściło PRL udając się do RFN lub Berlina Zachodniego, a następnie 40.000 w kierunku NRD. Większość stanowili oficjalnie "uznani Niemcy", ale także wielu autochtonów. Od 1959 roku liczbę rodowitych Niemców określano przez długie lata na "około 3.000". Dla rządu polskiego "mniejszość niemiecka" nie istniała od końca lat 50-tych. Oficjalnie "uznani Niemcy" — pomijając nieliczną i zanikającą grupę — wyjechali, a "zwyryfikowani" autochtoni i ich dzieci byli polskimi obywatelami i uchodzili za ludność etnicznie polską.

Zupełnie inaczej traktuje ten problem prawo zachodniemieckie. Artykuł 116, ustęp 1 Konstytucji określa jako "Niemca w myśl tejże Konstytucji tego... kto posiada obywatelstwo niemieckie, lub jako uchodźca czy wygnaniec należący do narodowości niemieckiej, lub jego małżonek, lub potomek tegoż znalazł stałe miejsce pobytu na obszarze Rzeszy Niemieckiej zgodnie ze stanem na dzień 31 grudnia 1937 roku". Punktem wyjścia jest więc tutaj nieprzerwane istnienie Rzeszy Niemieckiej w granicach z 1937 roku, potwierdzone orzeczeniem Federalnego Trybunału Konstytucyjnego z dnia 7 lipca 1975 r. Zdaniem strony niemieckiej byli obywatele niemieccy oraz ich potomkowie żyjący na terenach nad Odrę i Nysę są "Niemcami w myśl Konstytucji" i nadal posiadają obywatelstwo niemieckie. Jako



Dr hab. Klaus Ziemer, ur. w 1946 r. w Heidelbergu, kierownik katedry nauk politycznych na Uniwersytecie w Trewizrze oraz wykładowca nauk politycznych na Uniwersytecie w Heidelbergu. Politolog, zajmujący się badaniami "państwa realnego socjalizmu". Publikacje m.in.: *Folens Weg in die Krise. Eine politische Soziologie der "Ara Gierke"*, Athenäum, Frankfurt/M 1987, *Sozialistische Systeme. Politik - Wirtschaft - Gesellschaft*, (jako wydawca) Pipers Wörterbuch zur Politik, Band 4, München-Zürich 1989, wyd. II.

że jedynie przynależność państwową, nie zaś kryteria etniczne leżą u podstaw tej klasyfikacji, również ponad milion Polaków, którzy w Rzeszy Niemieckiej żyli w granicach z 1937 roku jako oficjalnie uznana polska mniejszość narodowa oraz ich potomkowie, są "Niemcami w myśl Konstytucji". Inną grupę stanowią żyjący poza wschodnimi terytoriami niemieckimi, zgodnie ze stanem z dn. 31.12.1937 r. tzw. "Niemcy w Polsce". Nie są wprawdzie automatycznie obywatelami niemieckimi, mogą jednakże na własny wniosek nimi zostać, jeśli uodowodnią niemiecką przynależność narodową – jej warunki określa ustawa o wygnaniach i uchodźcach (Gesetz über Vertriebene und Flüchtlinge) z dn. 19 maja 1953 roku – np. pochodzeniem, językiem, wychowaniem i tradycją kulturową. Jeśli osoby te lub ich przodkowie żyli na terenach polskich, przyłączonych podczas II Wojny Światowej do Rzeszy i wpisani zostali na "Volkliste" pierwszej, drugiej lub trzeciej grupy, to mieli oni automatycznie prawo do obywatelstwa niemieckiego. Od marca 1990 roku prawo to przysługuje jedynie osobom z "Volkliste" pierwszej i drugiej grupy.

Przez około trzydzieści lat oficjalne stanowiska Polski i RFN w sprawie "mniejszości niemieckiej" w Polsce były krańcowo różne. Strona polska wychodziła z założenia, że liczba Niemców w Polsce nie jest warta wzmianki. 14 grudnia 1983 roku sekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych RFN dr Alois Mertes oszacował natomiast – w odpowiedzi na interpelację chadeckiego posła do Bundestagu, dr Carla-Otto Lenza (CDU) – ilość "Niemców w Polsce" na 1,1 miliona. Stwierdzenie to wywołało tak w Polsce jak i w RFN burzliwe dyskusje. Skąd ta liczba? W chwili wybuchu wojny żyło między Odrą i Nysą a wschodnią granicą Rzeszy szacunkowo ok. 10,4 miliona Niemców, zaś 1,4 miliona zamieszkiwało ówczesną Polskę i Gdańsk. Te dane przyjęto za wielkość wyjściową do dalszych obliczeń. Dodawano i odejmowano, kierując się ówczesną średnią rozwoju demograficznego: liczbę narodzin oraz ilość poległych żołnierzy Wehrmachtu, liczbę ofiar bombardowań, 1,2 miliona poległych i zmarłych podczas ucieczki przed nadciągającą linią frontu, jak również liczbę przymusowo wysiedlonych do roku 1948 oraz liczbę przesiedleńców w ramach akcji łączenia rodzin. W wyniku tych obliczeń ustalono, że obecnie na terenach nad Odrą i Nysą mieszka około miliona Niemców, a około 100 tysięcy w innych regionach Polski, przede wszystkim we wschodniej części Górnego Śląs-

ka. Zdzisław Łempiński, pracownik naukowy Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, bardzo krytycznie oceniający niemiecką pozycję prawną, uważa, że wynik ten jest "stosunkowo zobiektywizowanym odbiciem liczbowym kryteriów określających pojęcie »Niemcy w Polsce«".

Traktowanie przez prawo Republiki Federalnej byłych obywateli niemieckich z terenów nad Odrą i Nysą oraz ich potomków niezmiennie jako obywateli niemieckich, spowodowało część polskich publicystów do przemyśleń, które nie każdemu Niemcowi i nie od razu przyszyłyby do głowy. Tak więc Łempiński imputował w 1984 roku socjaldemokratyczno-liberalnej koalicji w Bonn, że w okresie po podpisaniu Układu Warszawskiego w 1970 roku w sprawie jednolitej Niemiec próbowała działać niejako "dwutorowo". Z jednej strony – twierdzi – granice na Odrze i Nysie zostały w Układzie Warszawskim przez RFN uznane. Z drugiej strony jednak w "doktrynie polityczno-prawnej" RFN –

czy inaczej idących w kierunku przyłączenia terenów przez nich zasiedlonych do przyszłych zjednoczonych Niemiec. Partiom chadeckim (CDU/CSU) zarzucano "jednoznacznie rewizjonistyczne podejście" do zagadnień dotyczących "mniejszości niemieckiej" w Polsce.

Jak odległe echo stanowiska Łempińskiego zabrzmiała interwencja polskiego rządu przed spotkaniem na szczycie ministrów spraw zagranicznych krajów Europejskiej Wspólnoty w sprawie zjednoczenia Niemiec, w Dublinie w kwietniu 1990 roku. Według doniesień prasowych rząd polski zażądał, by Komisja EW w swoich zaleceniach dla ministrów spraw zagranicznych nie rekomendowała zjednoczenia państw niemieckich według art. 23 Konstytucji, a jeśli to możliwe, o artykule tym w ogóle nie wspominała. Za interwencją tą kryje się prawdopodobnie obawa, że w mniej lub bardziej odległej przyszłości mniejszość niemiecka w Polsce mogłaby również domagać się na podstawie artykułu 23 "przyłączenia" do obszaru działania



1990. Dwujęzyczna tablica informacyjna w jednej ze śląskich wiosek.

wywierającej przeciw wpływ na ustawodawstwo kraju – kurczowo trzymano się fikcji, że Rzesza Niemiecka istnieje nadal w granicach z 1937 roku. Jako szczególnie "chwyt" imputowano koalicji to, że rzekomo w strategii zjednoczeniowej przerzuciła punkt ciężkości z pojęcia "terytorium" na pojęcie "naród". Dla całego bowiem niemieckiego narodu, do którego prawo Republiki Federalnej zalicza również obywateli niemieckich w Polsce, żąda się prawa do samostanowienia. W tym kontekście starania o oficjalne uznanie "mniejszości niemieckiej" przez państwo polskie zostało ocenione jako próba uzyskania dodatkowego tytułu prawnego dla dążeń "Niemców w Polsce", tak

Konstytucji RFN.

Oceny rzeczywistej liczby "Niemców w Polsce" są bardzo rozbieżne. Z jednej strony oficjalne stanowisko Polski zaprzeczało od dziesięcioleci, że w Polsce istnieje niemiecka mniejszość narodowa. Z drugiej strony w latach 1960-1980, wg źródeł niemieckich, wyjechało z Polski do RFN i Berlina Zachodniego w ramach "łączenia rodzin" około 320.000 osób. Liberalizacja polityki paszportowej oraz prawdopodobnie rosnąca przepaść gospodarcza między Polską a RFN spowodowały w latach 80-tych coraz większy napływ obywateli polskich, którzy korzystając z odwiedzin w RFN składali wnioski o uznanie ich za

"Niemców w myśl Konstytucji" lub jako "Niemcy w Polsce" starali się (z powodzeniem) o niemieckie obywatelstwo. Na Górnym Śląsku doszło niemalże do masowej emigracji. Dla gospodarki polskiej oznaczała ona utratę siły roboczej, co w ten sposób ujmowano w prasie. W praktyce taki "nielegalny" — zgodnie z polskim stanowiskiem — wyjazd oznaczał, że w przybliżeniu 100.000 osób rozpoczęło życie z dala od rodzin, które niejednokrotnie dopiero po pięciu latach otrzymywały pozwolenie na wyjazd, a tym samym na połączenie się z bliskimi.

Ile więc osób, deklarujących się jako Niemcy, żyje obecnie w Polsce? Według Klaus Reiffa — do połowy lat 80-tych zachodniemieckiego dyplomaty w Warszawie — cytowany bez podawania nazwiska "wysoki rangą polski polityk" ocenił, że liczbę "120 tys. Niemców w Polsce można traktować serio". Prof. Dorothea Simonides stwierdziła natomiast ostatnio w telewizji niemieckiej, że liczba "Niemców w Polsce" może z dużym prawdopodobieństwem dochodzić do 250 tys. Ilu ich rzeczywiście jest, stwierdzić nie sposób. Po pierwsze — trudno precyzyjnie zaszeregować regiony, na których już od wieków przynależność etniczną dzieliła rodziny. Po drugie — badania na obszarach granicznych, etnicznie wymieszanych — również poza Europą — wykazały, że jednostki są w stanie kilkakrotnie zmieniać swoją subiektywną przynależność do grupy etnicznej. W wypadku Górnego Śląska tego typu zmiany — opcje na rzecz Niemiec czy też Polski — można wyjaśnić również przyczynami indywidualno-opportunistsycznymi.

Określenie więc dokładnej liczby osób uważających się — niezależnie od stanowiska Republiki Federalnej — za Niemców jest więc praktycznie niemożliwe. Liczba ta może, w zależności od sytuacji, rosnąć albo maleć. Warto w tym kontekście poruszyć jeszcze raz sprawę "łączenia rodzin". Praktyka — szczególnie od 1970 roku — pokazała, że im więcej rodzin "połączyło się", tym więcej (a nie mniej, jak oczekiwano) przybywało nowych chętnych do wyjazdu. Wynik wrywkowych badań na Górnym Śląsku jest pod tym względem jednoznaczny. Sto osób wyjeżdżających, aby dołączyć do krewnych w Niemczech, pozostawia znacznie więcej niż sto następnych, które można podciągnąć pod artykuł 116 Konstytucji. Każdy wyjeżdżający Ślązak nie tylko więc nie rozwiązuje problemu "łączenia rodzin", lecz wręcz rozszerza go na coraz to nowe kręgi osób. Stąd nie bez racji mówi się o "bezcze bez dna".

Pierwsza publiczna dyskusja o poli-



Przedsiębiorcy z Polski. W latach 1960-80 wyjechało z Polski w ramach "łączenia rodzin" ok. 320 tys. osób.

tyce wobec mniejszości miała miejsce w Polsce w latach 1980/81 i dotyczyła przede wszystkim problematyki okresu międzywojennego. Dopiero w połowie lat 80-tych zwrócono baczniejszą uwagę na obecnie istniejące mniejszości narodowe na terenie Polski. Również w badaniach naukowych pomijano ten temat przez dziesiątki lat. Doktryna polityczna lat 70-tych o "moralno-politycznej jedności narodu" zakładała — przeciwnie, że istnieje państwo narodowo niemalże homogeniczne. Różnice etniczne miały więc być raczej niwelowane niż utrwalane. Szczególnie boleśnie dotknięci czuli się tym Ślązacy, i to niezależnie od ich lojalności wobec tej czy innej grupy etnicznej. Długa jest lista skarg kierowanych dziś przez Ślązaków do Warszawy, gdzie nie okazywano przecież w ostatnich dziesięcioleciach ani odrobiny zrozumienia wobec odrębnej tożsamości Śląska. Pisarz Wilhelm Szewczyk, wieloletni poseł PZPR do Sejmu, podaje tutaj jako przykład reformę administracyjną w

1975 roku. Dwa "arcyśląskie" okręgi, oleski i lubliński, trafiły do województwa częstochowskiego, a Cieszyn do bielskiego. Szewczyk posuwa się aż do stwierdzenia: "Zapewne byłoby lepiej dla wielu polityków, gdybyśmy ów mimo wszystko bogaty Śląsk odzyskali bez Ślązaków, albo gdyby, nie przyznając się do polskości, mogli oni zostać wykorzystani przez pewien czas, a potem odesłani za Odrę". Wreszcie Szewczyk zwraca uwagę na "destruktywny" wpływ ludności napływowej na tradycyjnie śląskie podejście do pracy oraz na to, że niekontrolowana industrializacja zamienia Śląsk w "śmietnik". Nowsze badania wykazały, że masowe wyjazdy na stałe do RFN nie były ucieczką "do", lecz raczej "od".

Od połowy lat 80-tych wielokrotnie próbowano zakładać niemieckie stowarzyszenia. Wnioski o rejestrację, a tym samym legalizację, tych stowarzyszeń były stale oddalane. Wniosek Ślązaków z Górnego Śląska z czerwca 1984 roku o założenie — wzorem "Związku Polaków w Niemczech" — "Związku Niemców" został oddalony z uzasadnieniem, że zważywszy na wrogię Polsce tendencje rewizjonistycznych kręgów RFN powstanie takiego związku mogłoby spowodować "zakłócenie bezpieczeństwa, spokoju i porządku publicznego".

Z irytacją zareagowano w RFN na przemówienie prymasa Glempa z 15-go sierpnia 1984 r. w Częstochowie. Zaprzeczył w nim ostro, jakoby istniała w Polsce potrzeba duszpasterstwa w języku niemieckim. Jeśli ktoś po 40-tu latach życia w Polsce wciąż jeszcze uważa się za cudzoziemca, a nie znając nawet rodzimego języka chce się go "nauczyć w modlitwie" — twierdził prymas Glemp — to Kościół nie może z czystym sumieniem organizować dlań mszy w tym języku. Komentatorzy niemieccy zwracali uwagę na przyczynny owego braku języka (Sprachlosigkeit) wśród Niemców w Polsce: na różne formy przybierające dyskryminację języka niemieckiego przed

1956 rokiem i później. Pytanie retoryczne Johanna Georga Reissmüllera, które w tym kontekście postawił w komentarzu dziennika *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (FAZ), brzmiało: Czy "skutki przymusowej polonizacji, mogą rzeczywiście stanowić podstawę do ocen moralnych czy narodowo-politycznych"? Reissmüller podkreślił, że Prymas stawia znak równości między pojęciami "obywatel polski" oraz "członek polskiej społeczności językowej i kulturowej", i zgodnie z tym mniejszości narodowe lub językowe nie mogą dłań w ogóle istnieć.

Nowy początek polskiej polityce wobec mniejszości — między innymi mniejszości niemieckiej — a w szczególności wobec dwujęzycznego Górnego Śląska, dały wybory do Sejmu oraz utworzenie rządu premiera Mazowieckiego. Sejm powołał komisję do spraw mniejszości narodowych i etnicznych, której zadaniem jest opracowanie ustawy dotyczącej tego kompleksu problemów. Komisja wysłuchała już przedstawicieli wielu mniejszości, w tym mniejszości niemieckiej.

"Wspólne oświadczenie Republiki Federalnej Niemiec i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" z 14-go listopada 1989 roku oznacza dla tej mniejszości, choć — chyba z powodu wyżej przytoczonych obaw strony polskiej — nie została ona *expressis verbis* tak nazwana, zwrot w stronę zabezpieczenia jej praw kulturowych. W oświadczeniu zwrócono baczną uwagę na wzajemność przestrzegania przyznanych praw.

Art. 45 oświadczenia brzmi: "Obie strony umożliwiają osobom i grupom ludności niemieckiego lub polskiego pochodzenia bądź też osobom deklarującym swoją przynależność do języka, kultury i tradycji drugiej strony zachowanie i rozwijanie ich tożsamości kulturowej". Celem jest "umacnianie pokojowego współżycia i dobrosąsiedzkich stosunków między narodami oraz przyczynianie się do wzajemnego zrozumienia i pojednania". Obie strony są gotowe umożliwić "wszystkim zainteresowanym osobom szerszy dostęp do języka i kultury drugiej strony". Konkretnie ma się to objawiać m.in. w tym, że rząd polski będzie popierał nauczanie języka niemieckiego w całym kraju, a więc również na Górnym Śląsku, oraz zgodzi się na to, by "rząd RFN pomógł w kształceniu kadr nauczycielskich i udostępnił środki nauczania". W kontekście tych postanowień nie należy zapominać o tym, że strona polska była świadoma, iż owo "polsko-niemieckie oświadczenie" może posłużyć jako precedens i zostać uznane za wzór w rozmowach polsko-sowieckich o



Prymas Glemp zaprzeczył ostro, jakoby w Polsce istniała potrzeba duszpasterstwa w języku niemieckim.

analogicznych prawach kulturowych Polaków żyjących w Związku Sowieckim.

Pomimo podpisanego (w listopadzie 1989) polsko-niemieckiego oświadczenia, mającego niejako odprężyć utajoną lecz niezmiennie istniejącą "rywalizację" na Górnym Śląsku, sytuacja jest tam nadal bardzo napięta. Wybory uzupełniające do Senatu w województwie opolskim, w których najpoważniejszymi konkurentami byli kandydaci "Solidarności" — polska Ślązaczka, prof. Dorota Simonides, oraz weterynarz Henryk Król (Heinrich Kroll), który wyprzedził ją w pierwszej turze uzyskując 39% głosów — nie zostały od razu rozstrzygnięte. Warto nadmienić, że Henryk Król przeprowadził w zeszłym roku — po oddaleniu przez sąd wojewódzki w Opolu wniosku o zarejestrowanie "Społeczno-Kulturalnego Stowarzyszenia Mniejszości Niemieckiej na Śląsku" — akcje zbierania podpisów od osób pochodzenia

niemieckiego i uzyskał ich — wedle własnej relacji — 300 tysięcy. Wybory rozbuździły wiele emocji. Nabrały niemalże charakteru "plebiscytu". Drugą turę wyborów wygrała wprawdzie jednoznacznie prof. Simonides, która uzgodniła jednak z Henrykiem Królem konsultacje w wypadku ostrych konfliktów. Mimo to nastrój nadal jest nie najlepszy. Świadczyć o tym mogą napisy na murach: "Niemcy do Niemiec", "Polen raus".

W rozmowach z Polakami słyszy się skargi, że o Ślązaków troszczą się w RFN jedynie organizacje ziomkowskie. Rozprowadzają w znacznym nakładzie piśmiennictwo *Der Schlesier* ("Ślązak") i mapy z przedwojennymi granicami oraz krytykują niemieckich Ślązaków za to, że pozwalają określać się jako "mniejszość". Dla owej mniejszości zaś granica na Odrze i Nysie zdaje się być tabu. Najwyraźniej jest również przez wielu akceptowana. Rozmiar konfliktu, jaki tu być może narasta, ujął w programie telewizyjnym z okazji wizyty prezydenta von Weizsäckera w Polsce — znany zachodniemiecki dziennikarz telewizyjny Fritz Pleitgen stwierdzeniem: "Na Śląsku tyka bomba zegarowa".

Głęboką troskę z powodu napięć na Górnym Śląsku wyraził biskup opolski, Alfons Nossol, w tegorocznym wielkopostnym liście pasterskim. Jeszcze raz nawiązał pośrednio do wewnętrzspołecznych konfliktów istniejących z jednej strony między ludnością tubylczą i napływową, a z drugiej strony między polską i niemiecką ludnością tubylczą. Zaapelował nie tylko o większą wyrozumiałość lecz także o pozostanie do planujących wyjazd do RFN na stałe, gdyż utrata autochtonów grozi Śląskowi utratą tożsamości.



...niekontrolowana industrializacja zamieniła Śląsk w "śmietnik". Masowe wyjazdy na stałe do RFN nie były ucieczką "do", lecz raczej "od".

Obok tej pesymistycznej scenarii istnieją również przesłanki, że możliwy byłby zupełnie przeciwny rozwój. Śląsk jest historycznie punktem przecinania się wielu kultur. Stąd też można by go uznać za symbol przyszłej koegzystencji narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Jakże wewnątrzpolityczne kroki może poczynić Polska na drodze do urzeczywistnienia tej wizji, przedstawił ostatnio przewodniczący komisji sejmowej d.s. mniejszości narodowych – polski Ślązak – Jerzy Wuttke, w wywiadzie dla *Tygodnika Solidarność*. Wskazał na konieczność zmiany dotychczasowej "strategii" rozwoju kraju, z centralistycznej na policentryczną. Aby przywrócić Śląskowi jego specyfikę, z multikulturalnymi korzeniami, należy pozwolić na zbudowanie silnej samorządności terytorialnej. Według niego, Ślązak, aby mógł być Polakiem, musi mieć szanse bycia Ślązakiem.

Inny aspekt sprawy już od przynajmniej kilku tygodni wypełnia kolumny śląskich gazet: wydarzenia, jakie miały miejsce przy zakończeniu wojny i krótko po niej, a które dotychczas w dużej mierze były tabu. Chodzi o zbrodnie dokonane na polskich i niemieckich Ślązaczach podczas wkroczenia armii czerwonej, a także rozbój i upokorzenia doznane przez Ślązaków ze strony ludności napływowej. Rozładowanie napiętej sytuacji na Górnym Śląsku nie będzie na dłuższą metę możliwe bez bezwzględного wyjaśnienia tych spraw. Niemieckie "Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne" w Wodzisławiu Śląskim zażądało postawienia pomnika dla uczczenia pamięci polskich i niemieckich Ślązaków, którzy po zakończeniu wojny zostali deportowani do przymusowej pracy do najdalszych zakątków Związku Sowieckiego. Napis w języku polskim i niemieckim

miały brzmieć: "Pamięć ofiar tragedii 1945 roku, wszystkim Ślązaczom męczonym i zamordowanym przez stalinowskich oprawców – ich rodacy".

W tym samym kierunku zdążył Tilman Zöllch, przewodniczący zachodniopolskiego "Towarzystwa Zagrożonych Narodów", w Liście Otwartym z początku maja 1990, skierowanym do posłów Bundestagu, do Izby Ludowej NRD oraz do prezydenta RFN von Weizsäckera. Żąda w nim z jednej strony "nazwania po imieniu «ostatnich białych plam» europejskiej historii XX w. oraz «potępienia zbrodni», jaką było wygnanie 8,5 mln dotychczasowych mieszkańców niemieckich kresów wschodnich oraz niemieckiej mniejszości w Polsce, z których 1,5 miliona zmarło wskutek wygnania". Dotyczyć powinno to również obozów koncentracyjnych i obozów pracy na obszarze powojennego państwa polskiego, z których ostatnie funkcjonowały do 1950 roku.

Po trzecie: pojednaniu polsko-niemieckiemu wokół sprawy granicy na Odrze i Nysie powinno się nadać wymiar europejski, który "oddalby sprawiedliwość tak dawnym jak i nowym mieszkańcom terenów wschodnich". Niezależnie od uznania prawa pozostałej na tych terenach niemieckiej i górnośląskiej ludności do statusu mniejszości narodowych, pielegnować należy również ośmiusetletnią spuściznę kulturalną, i to również z udziałem ziemokostw. Analogiczne żądania mogłaby strona polska – i słusznie – wysunąć w odniesieniu do byłych polskich kresów wschodnich.

Dwa miesiące wcześniej Jan Józef Lipski podjął na łamach *Gazety Wyborczej* odważną próbę spojrzenia na polsko-niemiecką przeszłość w – skierowanym w przyszłość – duchu pojednania. Już wcześniej, w esejie z 1981 r. "Dwie ojczyzny", pisał o ludzkim cierpieniu, którego również niewinni Niemcy doświadczyli przy końcu i po zakończeniu wojny. Tym razem zwrócił szczególną uwagę na "ogromne dobro kulturalne", jakie państwo polskie po 1945 roku przejęło od Niemców. "W podobnych wypadkach mówić można jedynie o «depozycie» – pisze Lipski. "Nowy «zarządca» bierze na siebie za nie odpowiedzialność. Od tego, jak wypełnia owe zobowiązania, ocenia się jego kulturę. Europa ma tu prawo do kontroli, jako że dobro kulturalne wytworzone przez Niemców czy Polaków są wspólnym dobrem kultury europejskiej."

Dopuszczenie do powolnego niszczenia owych dóbr oraz brak poszanowania wobec nich – twierdzi dalej Lipski – nie świadczą dobrze o polskim patriotyzmie.



Legnica. Śląsk jest historycznie punktem przecinania się wielu kultur. Można go uznać za symbol przyszłej koegzystencji narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

tyzmie. Jednak finansowo Polska nie jest obecnie w stanie dopełnić obowiązku ich utrzymania. Stąd należałoby, choć dla wielu Polaków może być to nader trudne, zwrócić się o pomoc do Niemców. "Wspólne starania o uratowanie i ochronę (zabytków) mogą zbliżyć nas do siebie". Dwujęzyczne tablice informacyjne, prospekty itp. powinny uwypuklać przynależność tych obiektów do kultury niemieckiej. W ten sposób powstałby równocześnie model dla "przyszłej współpracy z Litwinami, Ukraińcami i Białorusinami... w kwestii polskich dóbr kulturalnych na ich terenach." Lipski kończy: "A co najważniejsze: już dziś realna zdaje się być możliwość wystąpienia z taką inicjatywą wobec Niemców. Przyczyniłaby się ona do polsko-niemieckiego pojednania i służyłaby stworzeniu wspólnego europejskiego domu".

Nietrudno wyobrazić sobie gwałtowne reakcje ze strony polskiej na propozycję Lipskiego. Krytycznych głosów nie brakowało w ostatnich miesiącach. Tem ich był częściowo lęk przed zjednoczonymi Niemcami: choć mniej przed potęgą militarną niż przed siłą gospodarczą. Lęk, że granica przepaści ekonomicznej, dzieląca wschód i zachód Europy, przesunie się wówczas aż po Odrę i Nysę, a Polska spadnie do roli niemieckiego zaplecza. Niemcy mogliby wówczas "wykupić" pół Polski, szczególnie tereny nad Odrą i Nysą. Lęk przed Niemcami również w Polsce: znacznie przyczyniły się do tego niekończące się dyskusje o granicy na Odrze i Nysie i nie zawsze zrozumiała postawa kanclerza Kohla.

Uważam, że obecnie najważniejszą sprawą jest to, aby nigdzie, a szczególnie na Górnym Śląsku, nie podsycać emocji, lecz je łagodzić. Najpilniejszym celem musi być powstrzymanie emigracji autochtonów. Dziesiątki, a nawet setki tysięcy Ślązaków siedzi już dosłownie na spakowanych walizkach, obserwując rozwój wydarzeń. Rychle wprowadzenie w czyn postanowień "wspólnego polsko-niemieckiego oświadczenia" pokazuje, na ile poważnie można traktować dotychczasowy argument przedstawicieli niemieckich Ślązaków, że fala wyjazdowa opadnie, jeśli Polska przyzna im status mniejszości. Polacy sugerowali od dawna, że głównym motywem masowej emigracji jest sytuacja gospodarcza. Decydującym momentem będzie tu dalszy rozwój gospodarczy Polski. W równej mierze zadecyduje o tym realizacja proklamowanej przez "Solidarność" "samorządnej Republiki", która umożliwiłaby Śląskowi pełny rozwój jego od-



Jan Józef Lipski: Polska bierze na siebie odpowiedzialność za "ogromne dobra kulturalne", jakie państwo polskie przejęło od Niemców po 1945 r. fot. K. Miller

rębności.

Propozycja Lipskiego, szczególnie po doświadczeniach ostatnich trzech generacji, może sprawić wrażenie utopii. Stanowi jednak, moim zdaniem, obiecujący i najbardziej realny punkt wyjścia. Zanikanie dotychczasowych granic systemów politycznych oraz oideologizowanie stosunków między państwami stawia narody przed nowymi szansami dialogu. Wiedza — po obu stronach — że zarówno Polacy jak i Niemcy, szczególnie zaś ci ze wschodu, z różnych powodów i w różnym stopniu doświadczyli w naszym stuleciu niewymownych cierpień, może poprzez re-

fleksję nad dorobkiem kulturalnym — niejednokrotnie wspólnym — przeszłości otworzyć oczy na jej pozytywne aspekty. Tu wylaniają się nowe perspektywy rozwoju, w których granice mogą utracić swój ciasny, narodowy charakter. Polsko-niemiecka współpraca oraz współżycie Polaków i Niemców, nacechowane — szczególnie na terenach etnicznie mieszanych — poszanowaniem wobec odrębności jednostek o innej tożsamości narodowej, są nieodzowną przesłanką stworzenia Europy sięgającej daleko na wschód poza granice na Odrze i Nysie.

Klaus Ziemer

tłum. Agnieszka Bednarska
i Stanisław Gałęziowski

(tłumaczenie autoryzowane)

Powyższy tekst jest autorskim skrótem referatu "O niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce" wygłoszonym w dn. 12 maja 1990 r. na sympozjum Akademii Ewangelickiej w Berlinie Zachodnim pt. "Narodowe i religijne mniejszości w Polsce". Niestety, tekst J.J. Lipskiego z *Gazety Wyborczej* nie jest cytowany w oryginale tylko w przekładzie z niemieckiego.



Racibórz czy Ratibor? Gliwice czy Gleiwitz? Koziele czy Kosel? — najważniejszą sprawą jest, aby nigdzie, szczególnie na Górnym Śląsku, nie podsycać emocji, lecz je łagodzić.

Maciej Radwan Rybiński

Prywatne rozmyślenia

1.

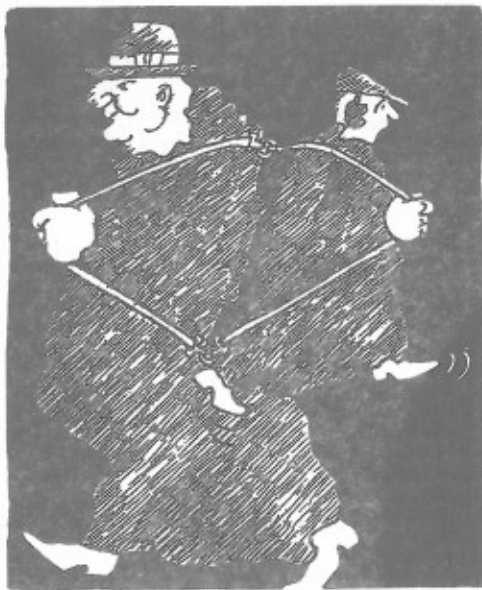
Ostatnimi czasami zżera mnie melancholia. Łażę po Bonn znudzony i zgorzkniały, nie mi się nie podoba, nie mnie nie cieszy i nic mi nie smakuje. Przeżuwam bez smaku tak samo deklaracje w sprawie jedności Niemiec jak i wołowinę po chińsku. Wszystko jest mdłe, bezbarwne, szare i monotonne. Nie można się spodziewać niczego nowego, niczego zaskakującego, bo wszystko już było. Polityką zajmują się buchalterzy, przyszłość Niemiec zależy od stanu kasy, polityka sowiecka zależy od tego, ile w kasie brakuje i kto zgodzi się wypełnić deficyt, reformy w Polsce też zależą od pieniędzy. W dodatku ja sam ośobiście, człowiek absolutnie bezinteresowny, czego dałem wielokrotnie dowody, też jako że ze swoim losem związany jestem z forszą. Cóż za przekleństwo. Czyżby Marks miał jednak rację, przynajmniej częściową, i światem rządzi rzeczywistość materializm, co prawda wulgarny a nie dialektyczny? Cholera wie. Ja w każdym razie z tym zrywam i ogłaszam częściowe désintéressement dla forsy. Mam zamiar w tym czasie odnowić się duchowo i wobec tego postanowiłem obejść jubileusz, dokładnie 1 czerwca, w piątek, w imieniny Konrada i Jakuba, w Międzynarodowym Dniu Dziecka. Jubileusz będę miał podwójny — tego dnia, zgodnie z planem wieloletnim, zatwierdzonym przez moją małżonkę wyprodukuję 5-tysięczną stronę maszynopisu dla *Poglądu*, po czym wyjdę na ganek, aby przyjąć hołdy od wzruszonych Czytelników. Redaktor Klimczak w otoczeniu dziewcząt w białych sukienkach, syjących do moich stóp kwiaty, wręczy mi wykaligrafowany na pergaminie adres dziękczynny. Orkiestra strażacka z sąsiedniej wioski odegra "Kiedy ranne wstają zorze" i "Rotę". Delegacja Bundestagu przekaże na moje ręce puszkę zupy szparagowej na fundusz ministra Kuronia, a przybyli z Polski specjalnie przedstawiciele wszystkich ugrupowań i partii politycznych od endecków do socjaldemokratów — obdarzą mnie honorowym członkostwem. Na zakończenie prezydium Związku Wypędzonych ze łzami w oczach zadeklaruje uznanie dla granicy na Odrze i Nysie. Wtedy otworzy się niebo, spłynię z niego stado skowronków i zataczając kręgi nad naszymi głowami wyśpiewa pieśń o braterstwie wszystkich ludzi,

a my goście i gospodarze jubileuszu weźmiemy się pod rękę i ze śpiewem na ustach pójdziemy do najbliższej knajpy. I znów świat będzie miał smak i barwę i zapach. I wbrew rzymskiemu przysłowiu śmierdzić będzie rozkosznie pieniędzmi. Czego i Wam życzę, jak sobie urządzić jubileusz.

Maciej Radwan Rybiński

2.

Thornton Wilder powiedział, że opinia publiczna to ulubiony wykręt ludzi, którzy nie mają własnego zdania. Może miał rację, a może nie. W każdym razie opinia publiczna istnieje, przynajmniej w Niemczech i sposób, w jaki ona istnieje jest bodaj najbardziej optymistycznym dla Polaków elementem w dzisiejszej Europie. Bo proszę tylko popatrzeć — mamy mieć zjednoczenie, ma powstać potęga ekonomiczno-polityczna, której boją się bliżsi i dalsi sąsiedzi, nawet Japończycy, Polacy lękają się jakiegoś rzekomego niemieckiego nacjonalizmu i szowinizmu, prób przesuwania granicy na Odrze i Nysie, Sowieci też mają swoje wątpliwości. A co robi niemiecka — wschodnia i zachodnia opinia publiczna? Boi się też. Ani śladu patriotyzmu, nie mówiąc już o nacjonalizmie. W dziesiątkach tysięcy knajp miliony Niemców siedzą dziś wieczorem przy piwie i zastanawiają się, czy zjednoczenie nie spowoduje przypadkiem tego, że to piwo będzie droższe. W tym samym czasie Niemcy na Wschodzie martwią się, że stracą pracę, że podróżują czynsze, zlikwiduje się żłobki i padną inne osiągnięcia realnego socjalizmu. A gdzie poczucie narodowej wspólnoty? Nigdzie — i to właśnie jest najbardziej optymistyczny element procesu zjednoczenia, jaki sobie w ogóle można wyobrazić. Niemcy dzisiejsi nie mają poczucia narodowej solidarności i nie bardzo są skłonni ulegać jakimkolwiek nacjonalnym hasłom. Gdyby społeczeństwo zachodnio-niemieckiemu, które wydało w zeszłym roku podczas urlopów za granicę 50 miliardów marek, zaproponować pozostanie w tym roku w domu, a urlopowe pieniądze złożyć



na ołtarzu jedności, mogłoby się ono zbudować. Nie mogę sobie wyobrazić Niemca, który dla zjednoczenia zrezygnowałby z kupienia nowego samochodu. Brak poczucia wspólnoty nie wyklucza tego, że Niemcy ze Wschodu i Zachodu są do siebie podobni — ale podobni nie jako Niemcy, tylko jako ludzie, przywiązani do rzeczy, przedmiotów, wygod i standardu życia. Oczywiście, różnego tu i tam, ale jednakowo stawianego na pierwszym miejscu wśród wartości godnych obrony. Antypolskie nastroje w NRD nie są związane z narodowym szowinizmem, nie są wyrazem ślepej ksenofobii — kierują się przeciw handlarzom i zwykłym turystom, wykupującym resztki relatywnego, wschodnioniemieckiego dobrobytu. Ciekawa sytuacja i muszę przyznać, że z nie miałym napięciem obserwuję polityczną walkę, jaką w sprawie unii walutowo-gospodarczo-socjalnej prowadzi w RFN koalicja rządowa CDU/FDP z jednej i opozycyjna SPD z drugiej strony. Obie grupy zdają sobie doskonale sprawę z nastrojów społecznych. Toteż rząd Kohla nie odwołuje się wcale do narodowych uczuć i historycznej szansy, ale stara się przekonać obywateli, że zjednoczenie nie tylko nie przyniesie im finansowych strat, ale przeciwnie — da nowy impuls rozwojowi gospodarki. SPD natomiast, jak przystało na opozycję, podtrzymuje najgorsze obawy, malując straszny obraz, w którym 60 milionów ludzi w RFN będzie musiało wziąć na utrzymanie 17 milionów rodaków w NRD. Trochę to tak, jakby po rozbiorach i I wojnie zabór pruski nie chciał brać na utrzymanie Królestwa Kongresowego, a Kon-

Mark Twain twierdził, że bajeczki dla dzieci nie są nigdy, ze względów pedagogicznych opowiadane do końca. Jako przykład przytaczał bajeczkę o psieku, który miał skaleczoną łapkę. Tę łapkę opatrzył mu lekarz, a następnego dnia pieszek przyszedł ponownie, przyprowadzając innego pieska z chorą łapką. Otóż jak twierdzi Twain, bajka ta w rzeczywistości ma ciąg dalszy. Dzień później te dwa pieski przyprowadziły dwa kolejne chore pieski, potem cztery pieski przyszły z czterema innymi pieskami i po miesiącu tysiąc piesków przyprowadziło dwa tysiące piesków, a ponieważ lekarz nie był w stanie wszystkich opatrzyć, więc rzuciły się na niego i rozdarły na strzępki. Moim zdaniem wszystko to bzdura. Bajeczki są po prostu przerabiane tak, żeby zabić w dzieciach wszystkie zdrowe instynkty i odruchy, nauczyć ich pokory i apatycznego przeżywania prawd podawanych do wierzania. Sam już opublikowałem kilka prawdziwych wersji bajeczek, między innymi o Czerwonym Kapturku i o Złotej Rybce. Dzisiaj przedstawię prawdziwą wersję bajeczki o Królownie Śnieżce, która ukrywana jest w tajnym archiwum KGB.

Za górami, za lasami, za wysokimi murami żyła, była zła królowa Gorbaczowa. Miała koronę, oczy zielone, a każde w inną stronę. Miała też lusterko na ścianie i gdy się zbliżało zebranie, stawała przed nim i pytała: Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najmądrzejszy w świecie? Taka była podejrzliwa.



gresówka wzdragała się przed galicyjską nędzą. Tak więc jest wspaniale, bo skoro Niemcy nie chcą ryzykować dobrobytu dla Niemców, to nie zaryzykują go w żadnej innej sprawie. Ale aż tak wspaniale też nie jest. Jeszcze na razie egzystują dwie kategorie Niemców — Wessis i Ossis. Jedni są bogaci, a drudzy biedni i ci pierwsi wcale się nie wahają przed wskazywaniem na różnice. Ale nastąpi unia, nastąpi zjednoczenie, różnice zaczną się zacierać, Ossis pomieszą się z Wessis, będą podróżować bez wiz po Europie, będą się bogacić i obrastać w piórka. Granica biedy i niedostatku przesuśnie się z Łaby na Odrę i Nysę, która w ten sposób stać się może w o wiele większym stopniu granicą trwałą, niż moglibyśmy sobie tego życzyć. Każdy, kto dziś straszy Polaków Niemcami, umacnia te granice i fortyfikuje. Największym bowiem niebezpieczeństwem dla Polski nie jest to, że paru ekscentryków, o których głośno ponad miarę, przebąkuje o odebraniu Śląska. Największe niebezpieczeństwo tkwi w tym, że Niemcy będą nas mieć razem ze Śląskiem w nosie, albo jeszcze niżej.

Lustreczko drgało, mgłą się powlekało, tuman się rozchodził i pokazywał się mąż stanu poważnego — a to Michnik, a to znów Drawicz, lub dla odmiany Ehmke albo Vogel i mówić:

Ach, królowo Gorbaczowo
jak to byczo, jak to zdrowo
zórz twych ocz znów ujrzeć blask
i polecieć się do łask
żeś jest najmądrzejsza w świecie
wie dziś o tym każde dziecię
w Polsce, w Niemczech, w USA
pa, czarowna, pa, pa, pa!

Aż tu raz pewnego, zwierciadło pokryło się ciemnym dymem, którego zapach zupełnie nie przypominał zwykłego

dokończenie na str. 60

Łotwa przeciw Moskwie

Witold Pronobis

Walka o wolność od zarania dziejów

Po Litwie i Estonii w otwarty konflikt z Moskwą weszła republika łotewska, której nowo wybrana Rada Najwyższa uchwaliła w dn. 4 maja deklarację niepodległości.

Od 1940 roku Łotwa pozostaje republiką sowiecką, z przerwą spowodowaną okupacją hitlerowską w latach 1941-44. Obszarem rosyjskiej ekspansji była już jednak za czasów moskiewskiego cara Iwana Groźnego, czyli od XVI wieku. Niepodległe państwo łotewskie istniało zaledwie 22 lata: od 1918 do 1940 roku.

Sredniowieczne dzieje Łotwy dotyczą dwóch historycznych krain – Kurlandii i Liwonii, przedzielonej rzeką Dźwina, u ujścia której położone jest największe miasto i port – Ryga, stolica Łotwy, zaś w górnym jej biegu, na południowo-wschodnich obrzeżach tej krainy – miasto Dyneburg czyli Dźwińsk. Zamieszkujące Kurlandię i Liwonię plemiona Letgałów (Lattgalów), Zemgałów (Semigallów) i Zelonów (Selenów) – będące podstawą etniczną narodu łotewskiego – w końcu XII wieku zostały skolonizowane pod hasłami chrystianizacji przez Zakon

Kawalerów Mieczowych. Mimo formalnej zależności od biskupa ryskiego Zakon dążył do stworzenia odrębnego państwa. Jego terytorialne ambicje powstrzymała dopiero klęska zadana mu przez Litwinów pod Szawłami w 1236 r. Kawalerowie Mieczowi połączyli się wówczas z Krzyżakami, budując w Inflantach państwo zakonne, administracyjnie wyodrębnione od Zakonu Krzyżackiego, stopniowo zasiedlane osadnikami z Dolnej Saksonii i Westfalii, narzucające miejscowej ludności niemiecki język i kulturę. Ryga weszła do słynnego związku miast – Hanzy. W okresie reformacji przeniknął na te ziemie luteranizm, doprowadzając z czasem do przyjęcia przez mieszkającą tu ludność protestantyzmu. Reformacja spowodowała poważne osłabienie państwa zakonnego, zagrożonego dodatkowo zakusami Iwana Groźnego, który przez Inflanty pragnął dotrzeć do Baltyki i otworzyć drogę Rosji do kontak-



tów z zachodnią Europą. W 1558 r. wojska rosyjskie, nie napotykać większego oporu, zajęły wschodnie obszary dzisiejszej Łotwy, dokonując niestetychanych zniszczeń. Przerażony Wielki Mistrz Zakonu Inflanckiego Gotthard Kettler w 1561 r. pośpiesznie złożył na ręce polskiego króla Zygmunta II Augusta hołd lenny, oddając się opiece Rzeczypospolitej. Doprowadziło to do wojny z Moskwą, do której włączyła się oprócz Polski także Szwecja i Dania. W rezultacie Kurlandia stała się wspólnym lennem Polski i Litwy, pozostała część w 1566 r. włączona została bezpośrednio w granice Rzeczypospolitej. Jednak w wyniku wojen polsko-szwedzkich, północno-zachodnią część kraju musiała Polska w 1660 r. na mocy pokoju oliwskiego, oddać Szwecji. Kolejne zmiany i kolejne udręczenia dla miejscowej ludności, przyniosła tzw. wojna północna w początkach XVIII w., w wyniku której ziemie, będące dotąd pod panowaniem Szwedów, przeszły w ręce rosyjskie. Rosyjskiemu najazdowi towarzyszyła taktyka "spalonej ziemi", co najbardziej tragicznie odczuła zamieszkująca te obszary ludność chłopska. W wyniku III rozbioru Polski w 1795 r. także Kurlandia została przyłączona do Rosji. Mimo rosyjskiego panowania niemieccy feudałowie zatrzymali swoje



majątki i władzę. Aż do 1885 r. język niemiecki pozostawał na tych ziemiach językiem urzędowym.

W XIX wieku nastąpiło wyraźnie przebudzenie narodowe Łotyszów, podkreślających swoją odrębność zarówno od niemieckiego ziemiaństwa jak i od rosyjskich urzędników. Działacze łotewscy walczyli o rozwój rodzimej kultury, języka i oświaty. Jednak dopiero po rewolucji 1905 r. Rosja zezwoliła na działalność szkół ludowych z łotewskim językiem nauczania.

W czasie I wojny światowej, w 1915 r. obszary dzisiejszej Łotwy zajęte zostały przez wojska niemieckie. Klęska Niemców w tej wojnie była szansą dla Łotwy. 18 listopada 1919 r. zwołano parlament łotewski, który ogłosił deklarację niepodległości. Bolszewicka Rosja nie zamierzała jednak zrezygnować z utrzymania w swych rękach tak Łotwy jak i pozostałych państw bałtyckich. Wojna z Polską zmusiła jednak Lenina do uznania niepodległej Republiki Łotewskiej traktatem w Rydze, podpisanym 11 sierpnia 1920 r. Po zatwierdzeniu przez parlament w 1922 r. konstytucji, niepodległa Łotwa rozwijała się w oparciu o demokratyczne rządy. Wielonarodowa Łotwa borykała się jednak z różnymi problemami, m.in. etnicznymi, jako że 25% ludności było niełotewskiego pochodzenia. Najsilniejszą mniejszość narodową stanowiła ludność niemiecka. Stało się to w końcu przyczyną zaprowadzenia przez ówczesnego premiera, Ulmanisa, nacjonalistyczno-autorytarnych rządów.

Niepodległa Republika Łotewska zakończyła swój żywot 17 czerwca 1940 r. w wyniku najazdu Armii Czerwonej. Preludium tej aneksji było zmuszenie Łotwy w październiku 1939 r. do podpisania z ZSSR tzw. "traktatu bezpieczeństwa", który gwarantował stacjonowanie na terytorium Łotwy wojsk sowieckich, prawie dwukrotnie przewyższających liczebnością stan narodowej armii łotewskiej. Hitler znając sowieckie plany aneksji Łotwy wezwał tamtejszą mniejszość niemiecką do przesiedlenia się do Rzeszy. Na przełomie 1939/40 r. Łotwę opuściło blisko 60 tys. osób pochodzenia niemieckiego.

W okupowanej Łotwie Sowieci zainstalowali prokomunistyczny rząd na czele z Augustem Kirchensteinem. W pseudowyborach wyłoniono nowy parlament, który natychmiast zwrócił się do Najwyższego Sowietu z prośbą o przyłączenie Łotwy jako kolejnej republiki do ZSSR.

NKWD rozpoczęło terror na ogromną skalę. Podczas pierwszej oku-



pacji sowieckiej, trwającej zaledwie rok, w wyniku deportacji i egzekucji Łotwa straciła 35 tys. swoich obywateli. Przystąpiono też do sowietyzacji ekonomii i życia społecznego. O komunikacji kultury łotewskiej niech świadczy to, iż specjalna komisja sporządziła wykaz ok. 4 tys. tytułów książek, głównie z historii, filozofii i socjologii, które jako reakcyjne – zostały zakazane.

Atak Hitlera na ZSSR w czerwcu



Statua Wolności w Rydze.

1941 roku przyniósł nadzieję na odbudowę państwa łotewskiego. Niemal natychmiast zawiązał się Główny Komitet Organizacyjny Wolnej Łotwy i Tymczasowa Rada Państwa. Niemcy zignorowali jednak te inicjatywy zaprowadzając własny okupacyjny aparat administracyjny. Nie powiodły się też próby stworzenia łotewskiego rządu przez kolaborującego z Niemcami Alfreda Valdmansa. Inne ugrupowanie, tzw. Łotewska Centralna Rada, przygotowywała się do odbudowy państwa po wzajemnym wykrwawieniu się Niemiec i ZSSR, jednak jej przywódca Konstantis Čakste dostał się w ręce gestapo. W przededniu kapitulacji dywizji niemieckich otoczonych w Kurlandii przez wojska sowieckie, ujawniło się łotewskie Zgromadzenie Narodowe, które powołało Rząd Tymczasowy pod przewodnictwem płk. Roberta Osisa. Przetwał on jednak zaledwie kilka dni, aresztowany przez wkraczające oddziały Armii Czerwonej.

Ponowna okupacja sowiecka zaczęła się, tak jak poprzednia – egzekucjami i masowymi wywózkami w głąb Rosji i do obozów pracy. Beznadziejną walkę z oddziałami NKWD podjęli partyzanci.

Mimo braku sprzyjających warunków terenowych łotewska partyzantka liczyła ok. 15 tys. żołnierzy. Wiadomo o trzech regionalnych ugrupowaniach partyzanckich z własnymi sztabami dowodzenia. Istniał ponadto, z centrum w Rydze, Łotewski Partyzancki Sztab Porozumiewawczy. Już pod koniec 1946 r. oddziałom NKWD udało się zadać dotkliwie straty partyzantom, którzy od tego czasu przeszli do działań obronnych. Jeszcze w 1950 r. miały miejsce poważne potyczki zbrojne, a niekiedy prawdziwe bitwy, jak np. pod Okte, w Kurlandii, w lutym 1950 r.

Okres stalinowski oznaczał dla Łotyszów gehennę nowych wywózek, procesów i deportacji, w wyniku których życie straciło prawie 150 tys. ludzi.

Odwilż chruszczowowska nie trwała długo, choć przyniosła ożywienie łotewskiego ruchu narodowego, także za sprawą aktualnych przywódców Komunistycznej Partii Łotwy: Berkłavs i Pinksisa, których wkrótce usunięto z partii. Przystąpiono też do intensywnej rusyfikacji łotewskiej kultury i oświaty. Równocześnie na Łotwę przybywali masowo Rosjanie, których liczba w latach osiemdziesiątych wynosiła ponad 40% ludności republiki.

Opozycja łotewska nie miała większych szans rozwoju, a wszelkie próby samodzielności udaremniała sowiecka

policyja polityczna – KGB. Do szczególnie głośnych należała sprawa z 1962 r. tzw. "Federacji Bałtyckiej", organizacji, która sprzeciwiała się rusyfikacji i ekonomicznej eksploatacji wszystkich republik bałtyckich. Jej rozbięcie przez KGB i aresztowanie przywódców, 8 młodych Łotyszów, nie położyło kresu działalności opozycyjnej, mimo wysokich wyroków, na jakie sowieckie sądy skazywały opozycjonistów. Oskarżony w tym procesie, znany później działacz narodowy, Gunnars Astra, skazany został na 15 lat więzienia. Istnienie podziemnego odgałęzienia, działającej na terenie Szwecji Łotewskiej Partii Socjaldemokratycznej, ujawnił proces inżyniera Jurisa Bumeistera, skazanego w 1981 r. na 15 lat łagru.

W niedawnych, marcowych wyborach do Rady Najwyższej Republiki wyraźne zwycięstwo odniósł Front Narodowy, który dąży do przy-



Antysemickie demonstracje w Rydze w 1989 roku.

wrócenia pełnej niepodległości Łotwy. Jak twierdzi jego przywódca, Dainis Ivans, początek maja bieżącego roku

był zwrotnym momentem w historii Łotwy.

Witold Pronobis

»Dzień Katolików« w Berlinie

Premier Litwy p. Prunskienė:

Litwa nie ma tradycji agresywnego nacjonalizmu

Berlińska prasa nie zwróciła uwagi na wystąpienia gości z Polski na 90-tym "Dniu Katolików", zjeździe tym razem ponad 130 tys. wierzących, który odbył się w Berlinie w dn. 23-27 maja br. Polskę "reprezentowali" pisarz Andrzej Szczępiński, katolicki publicysta wykładający na uniwersytecie w Monachium, prof. Władysław Bartoszewski (zastąpił on premiera Tadeusza Mazowieckiego) oraz publicyści Józefa Hennelowa (*Tygodnik Powszechny*) i Janusz Reiter (*Gazeta Wyborcza*). Również wystąpienie premiera Litwy p. Kazimieri Danuty Prunskienė w dn. 26 maja, choć przyciągnęło uwagę kilku tysięcy osób stając się głównym wydarzeniem Zjazdu, nie znalazło prawie żadnego echa w niemieckich mass mediach, jak się zdaje nie zainteresowanych promowaniem sprawy Litwy. W swoim dwudziestominutowym przemówieniu przerywanym brawami p. Prunskienė mówiła o powrocie Litwy do chrześcijańskiej Europy i o tym, że suwerenność każdego narodu jest jego "naturalnym prawem" danym od Boga i żaden człowiek nie może go negocjować. Równie ciekawe

były jej odpowiedzi na formułowane pisemnie pytania publiczności, z których dwa przedstawiamy poniżej wg własnego zapisu magnetofonowego. Kontrowersyjne jest stwierdzenie o rzekomym równouprawnieniu mniejszości narodowych na Litwie, czego nie potwierdzają mieszkający tam Polacy. Wystarczy wspomnieć, że rejon solecznikowski, zamieszkały w 80% przez Polaków, chce – uchwałą rady regionalnej z dn. 15 maja br. – nadal pozostać w obszarze działania konstytucji ZSSR.

Pytanie: Czy zbyt szybko tempo procesów politycznych na Litwie nie zagraża "pierestrojce" Gorbaczowa? Czy nie obawia się Pani, że przez to może zostać obalony nie tylko Gorbaczow, ale w niebezpieczeństwie może znaleźć się i zjednoczenie Niemiec? Dlaczego Litwa nie czekała z ogłoszeniem niepodległości do ustanowienia przez Gorbaczowa ustawy o wystąpieniu republik ze Związku Sowieckiego? (p. Prunskienė śmieje się)

K. Prunskienė: Odpowiadam pytaniem: Kto jest źródłem niebezpieczeństwa dla Gorbaczowa lub Związ-



Premier Litwy p. Prunskienė fot. Pogląd

ku Sowieckiego? Kto obserwuje rozwój sytuacji w Związku Sowieckim, zauważy, że ruch na rzecz demokratyzacji krzepnie i że Gorbaczow balansuje między dwoma obozami – reakcyjnym i demokratycznym. Jeśli połączy się z siłami demokratycznymi, wówczas wzmocni swoją pozycję i będzie w stanie konsekwentnie kontynuować "pierestrojkę" i w przyszłości uczynić ze

dokończenie na str. 60

Antysemicka profanacja

Francuzi uważają się za naród cywilizowany i bezsprzecznie mają do tego prawo, są dobrze wychowani – niezależnie od warstwy czy grupy, do której należą. Wymiana grzeczności w urzędzie, metrze czy na ulicy, to ich stały obyczaj. Elegancja wystąpienia francuskich polityków ciągle budzi mój najszerszy podziw. Elegancja krytyki na łamach gazet świadczy o dużej kulturze tego społeczeństwa. Murzynów, którzy uciekają ze swoich biednych krajów, nie wita się na lotnisku z pałkami (jak stało się niedawno w Polsce w przypadku Somalijszczyków). Lista podobnych poch-

skim zdarzają się tutaj co roku.

Jak dotąd jednak Francuzi byli pewni jednego – że nie są antysemitami. Wprawdzie kilka lat temu pewien profesor z Lyonu twierdził, że komory gazowe są czystym wymysłem, potraktowano to jednak jako odosobniony wybryk. Po niezręcznym wystąpieniu prymasa Giempa w sprawie oświęcimskiego karmelu francuska prasa zareagowała bardzo ostro. Nie było gazety, która nie poświęciłaby tej sprawie artykułu, podkreślającego polski antysemityzm. Na przykład *L'Express* wydał na ten temat cały numer, w którym – się-

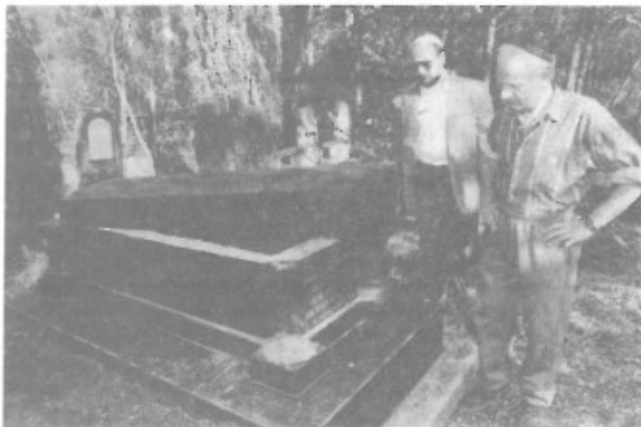
uwaga odnosi się do Francuzów. Możliwe, że po pewnym wydarzeniu, które sparaliżowało całą Francję, przyjdzie czas na takie refleksje.

11 maja z twarzy spikera, prowadzącego główne wydanie dziennika telewizyjnego, wyczytała bezradność. Tego dnia upadł jeszcze jeden mit o francuskiej tolerancji. W małym miasteczku Carpentras koło Awinionu zbeszczeszczono zostały 34 groby na cmentarzu żydowskim. Sprawcy porozbijali płyty nagrobne, z jednej z mogił wyciągnęli zwłoki. Dzień wcześniej na głównej ulicy handlowej uroczego Awinionu pojawiły się napisy "Jude" i gwiazdy Dawida. Zbulwersowanym mieszkańcom wydawało się, że czas cofnął się o pół wieku. A przynajmniej tym, którzy pamiętali ostatnią wojnę.

Rzadko francuski dziennik telewizyjny poświęca jednemu wydarzeniu cały program, ale tak się stało w tym przypadku. Udział ministra spraw wewnętrznych Pierre'a Joxa, komentarze znanych osobistości i polityków złożyły się na ten dziennik i mogło się wydawać, że Francuzi chcą słowami, jak największą ilością słów, zagłuszyć straszny wewnętrzny niepokój, wywołany nie tylko bestialskim aktem, ale także i tym, że obraz cywilizowanej Francji bez antysemityzmu zawałił się w gruzy. Francuzi nie mogli po prostu uwierzyć, że przydarzyło się to właśnie im. Szkoda, że tak zawodzi ich pamięć.

"Jako stary działacz katolicki pozwalałam sobie poinformować Pana o działalności i intrygach Żydów, które mają miejsce w naszym zespole adwokackim. Otóż na około 30 osób mamy tutaj 3 adwokatów z jednej i tej samej żydowskiej rodziny. Jest to Roger Valabregue, jego syn Charles, postać moralnie wątpliwa i rozwodnik oraz jego córka Odette, paniąka o moralności również wątpliwej, co jej brat."

List ten został wysłany akurat z Awinionu przez niejakiego mecenasa Georgesa Grasa, a ponieważ nosił datę 3 lipca 1941 roku, trafił na biurko wysokiego komisarza do spraw Żydów w rządzie Vichy. List ten, a właściwie donos równał się być może wyrokowi



Zdawastowane groby na żydowskim cmentarzu w Carpentras.

wał mogłaby być doprawdy bardzo długa. Jednak to, o czym wyżej, to tylko opis formy zachowań społecznych. Nie zmienia to tego, że w tym społeczeństwie też kłębią się konflikty, narastają animozje. Każdy Francuz prywatnie przyzna, że nie znosi Arabów i najchętniej wysłałby ich wszyskich do diabła, publicznie natomiast będzie twierdził, że nie jest rasistą, a Francja to "ziemia azylu". Ten sam uprzejmy pan z metra może następnego dnia wziąć strzelbę i ustrzelić jedno z dzieci na podwórku, bo zachowało się zbyt jęzgotliwie (taki przypadek miał miejsce dwa lata temu). Morderstwa i pobicia na tle rasistow-

gając do czasów ostatniej wojny – przedstawiał Polaków jako antysemitów. Wreszcie, znacznie wcześniej "Shoah" Lanzmana wystawił nam dość wątpliwe świadectwo miłości bliźniego i to do tego stopnia, że część Francuzów skłonna była sądzić, że to faktycznie Polacy eksterminowali Żydów. Akurat w tym przypadku nie jest moim celem dokonywanie oceny polskich postaw w stosunku do Żydów. Powiedziano na ten temat i napisano w samej Polsce dostatecznie dużo. Wydaje mi się natomiast, że nim przystąpi się do krytyki innych, warto czasem uczciwie popatrzeć na samego siebie. I ta właśnie

śmierci dla kolegów pana mecenas. Andre Halimi w książce pt. "Donosicielstwo w czasie okupacji" twierdzi, że w latach 1941-1944 Francuzi napisali 3 do 5 milionów donosów na swoich bliźnich, często Żydów, skazując ich na przesłuchania, tortury, śmierć w obozach koncentracyjnych. Tak właśnie trafiła do Oświęcimia z matką i siostrą kilkunastoletnia wówczas Simone Veil (aktualnie znana francuska postać życia politycznego). Nie bez powodu proces kata Lyonu, Barbiego, odbywał się kilka lat temu przy drzwiach zamkniętych. Barbie miał zbyt wiele do powiedzenia na temat postaw Francuzów w czasie ostatniej wojny. Twierdził m.in., że donosiciele stali do niego w długich kolejkach. A wielu z nich jeszcze żyje.

Mało kto wie i pamięta, że teoria nadludzi, lepszej rasy zrodziła się właśnie we Francji. Jej autorem jest fizjolog i chirurg, laureat nagrody Nobla w 1912 roku, Alexis Carrel. Carrel w pracy "Człowiek istota niezna" twierdzi na przykład, że utrzymywanie przy życiu ludzi o słabszej kondycji fizycznej, jak również walka o ograniczenie śmiertelności niemowląt osłabia ludzką rasę i hamuje działanie selekcji naturalnej. Carrel ubolewa m.in., że damy z wyższych rodów, najbardziej powołane, aby rodzić dzieci o "wysokich walorach", są tak mało płodne. Hitlerowska propaganda bardzo chętnie wykorzystywała przemyslenia francuskiego noblisty. Carrel nie przewidział tylko jednego — że Niemcy zechcą tworzyć rasę nadludzi bez udziału Francuzów. Przejść jakiś czas pozwolili im jednak robić porządkę z rodzimą "żydokomuną". Francuzi, rzec by można, spalisz się w tym przypadku na medal. Skuteczność działania francuskiej policji chwalił sam Hitler. Ambasador III Rzeszy, Otto Abetz, główny twórca francusko-niemieckiej kolaboracji, pisał do Berlina: "Klimat antysemityzmu w łonie narodu francuskiego jest tak silny, że nie trzeba z naszej strony czynić dosłownie niczego, aby go wzmocnić."

Mało kto też pamięta o hańbiącym zachowaniu się francuskiego duchowieństwa w czasie okupacji. Tuż po wojnie minister spraw zagranicznych Francji Georges Bidault zażądał od papieża Piusa XII dymisji 24 biskupów, w tym 3 kardynałów, których postawa w czasie okupacji wydawała się co najmniej dwuznaczna. Była to prawie jedna trzecia francuskiego episkopatu. A oto inny list do wysokiego komisarza do spraw Żydów, napisany przez kochającego sprawiedliwość duszpasterza (cytuje znów z książki Halimiego):

"Uważam za swój obowiązek zasignalizować Panu postępowanie Żydów w mojej dzielnicy. Nie znając wcześniej tej rasy, nie zdawałem sobie sprawy, do czego jest ona zdolna. Ale od jakiegoś czasu, po zgromadzeniu pewnych doświadczeń, zrozumiałem celowość środków, jakie przeciwko nim podjęto. Bo gdy nam przychodzi marznąć w czasie tych szczególnie srogich styczniowych dni, oni palą w piecach na całego i nie przestają zaopatrywać się w węgiel. Podobnie jest z żywnością. Nocą otrzymują oni wszelkie produkty i gromadzą je w garażach (...). Oczywiście proszę nie traktować tego jako donos. Będąc księdzem nie śmiałbym zrobić czegoś podobnego. Ale sądzę, że zbyt wielu prawdziwych Francuzów cierpi i jest rzeczą niesprawiedliwą, aby Żydzi byli panami sytuacji."

Wychodzący z czasie okupacji dziennik *Au Pilon* (Pod Pręgierzem) miał na celu obronę narodowych interesów Francuzów i walkę z żydomasonerią. Jego hasło brzmiało: "Śmierć Żydom". Oto jeden z cytatów z tego pisma: "Śmierć Żydom! Śmierć niegodziwości, dwulicowości i żydowskiej postępczości! Wszystko co fałszywe, brzydkie, brudne, wstrętne, niegodziwe, negroidalne, rasowo wymieszane — to Żyd!"

Wiosną 1941 roku powstaje we Francji organizacja pod nazwą SOL (Serwice d'Ordre Legionnaire), licząca 1,7 miliona członków. Jedną ze zwrotek hymnu tej organizacji brzmi:

"Izraelu, podła zgnilizno, frankomasonerio, bolszewizmie, Francja wami rzyga."

To tylko drobne wyjątki z francu-



Barberzyński akt w Carpentras.

skiej historii okupacyjnej. Napisano na ten temat niejedną książkę, rzadko jednak (albo wcale) prowadzi o francuskim antysemityzmie głoszona jest w tutajszych środkach masowego przekazu. Prasa lubi natomiast spełniać rolę mentora, specjalizującego się w pouczaniu innych, jak stało się to chociażby w przypadku Polaków.

Gdy piszę ten artykuł, nie znani są jeszcze sprawcy profanacji żydowskich grobów. Podejrzani padają m.in. na bojówkarzy nacjonalistycznego Frontu Narodowego Le Pena. Le Pen twierdzi, że winnych należy raczej szukać po stronie „komunistów”. A tymczasem, gdy na cmentarzu w Carpentras w ciszy i milczeniu odbywa się manifestacja przeciwko bestialskiemu aktowi, to w Lille konserwatywni katolicy organizują pochód ku czci Joanny Darc (ostatnio patronki ugrupowań nacjonalistycznych, nie wiem, czy Święta się z tego cieszy), a wśród nich maszerują faszystujące grupy młodych ludzi w czarnych bluzach.

Historia Carpentras będzie miała z pewnością ciąg dalszy,

Ewa Darmas



1941. Obóz koncentracyjny dla francuskich Żydów k. Orléanu.

Elżbieta Stasik

Gigantyczne zabawki Husajna

W cieniu coraz to nowych, napływających zewsząd inicjatyw rozwojowych, spokojnie rozwijają swą militarną siłę (przy wydatnej pomocy tak zaabsorbowanej rozbrojeniem Europy) kraje Bliskiego Wschodu.

Szaleniec z Bagdadu, obłąkany na punkcie zbrojeń Sadam Husajn, niepostrzeżenie prowadzi Irak do pozycji czołowej potęgi militarnej regionu. Już w czasie rozpętanej przez siebie w 1980 roku osmioletniej "wojny golfowej" wyposażył swe wojska w broń chemiczną, przy pomocy której bez skrępowania zagazował 50 tysięcy irańskich żołnierzy i tysiące żyjących w jego własnym kraju Kurdów. Na szczęście nie ma jeszcze w swych rękach broni atomowej, którą jako jedyny w regionie posiada Izrael, śmiertelny wróg Iraku, bez ogródek grożący Husajnowi zagładą jego kraju.

Husajn broni atomowej nie ma, ale zamierza ją mieć. Pod koniec marca Irakczycy przyłapani zostali w Londynie na próbie przeszmuglowania do swej ojczyzny 40 zapalników do broni atomowej. Szmugiel się nie powiódł. Być może powiodą się następne próby, jak pokazały bowiem przykłady libijskiego przywódcy Kadafigo i Ceausescu, żadnemu z dyktatorów nie jest trudno zdobyć w świecie partnerów do "zabawy" z bombą atomową. Tymczasem iracki dyktator zaczął montować coś innego. W kwietniu wysłał na jaw kolejną aferę wszczętą przez Husajna, realizującego tym razem koncepcję Kanadyjczyka dr. Geralda Vincenta Bulla, mającą wyposażać Irak w broń prostszą, tańszą i bardziej celną od wszystkiego, co wymyślono do tej pory w technice artyleryjskiej — superdziała Bulla.

Po zakończeniu wojny golfowej Husajn rozpoczął budowę rozrzuconych po całym kraju gigantycznych fabryk broni. W ich budowie i wyposażeniu aktywny udział wzięli oczywiście Zachód. Ponieważ na mocy decyzji Organizacji Narodów Zjednoczonych eksport jakiegokolwiek sprzętu wojakowego do Iraku jest zabroniony, udział ten musiał przybie-



Sadam Husajn al-Takriti

rać pozory współpracy na każdym innym polu, byle nie wojskowym. I tak brukselska firma założona przez G. Bulla — Space Research Corporation (SRC — nie istnieje od kilku tygodni) złożyła w Wielkiej Brytanii osobliwe zamówienie: dwie partie, każda po 26 sztuk, stalowych rur o średnicy jednego metra i potężne amortyzatory hydrauliczne.

30-centymetrowej grubości rury o minimalnym stopniu tolerancji, niezwykłym w przemyśle petrochemicznym, dla którego ponoć były zamówione, precyzyjnie połączone w ściśle wyznaczonej kolejności, tworzyć miały dwie,

156-metrowe rury.

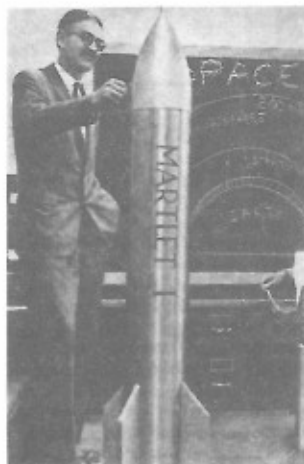
Ostatnie osiem z 52 zamówionych przez Bulla rur brytyjscy celnicy zabezpieczyli przed Wielkanocą, podczas załadowywania ich na statek odchodzący do Iraku. Kilka dni później, w greckim porcie Patras, skonfiskowano transport ciężarówek z kilkudziesięcioma segmentami rur. Jak stwierdził rząd brytyjski, tuż przed osiągnięciem przez ładunek celu, stało się jasne, że były to części gigantycznych łuf armatnich przystosowanych do wystrzelenia w przestrzeń kosmiczną satelit, a także dalekosiężnych pocisków o głowicach chemicznych i atomowych.

Twórcą tych monstrów był Gerald Vincent Bull, urodzony w Kanadzie doktor fizyki (stopień doktorski uzyskał w wieku 22 lat), ekspert d/s balistyki, od ponad trzech dziesięcioleci manipulujący przy gigantycznych armatach, w ciągu ostatnich lat coraz głębiej tkwiący w nielegalnych interesach związanych z handlem bronią. "Największy geniusz artylerii naszej generacji", "Wernher von Braun superrakietowych technologii" — jak nazwał go amerykański ekspert do spraw zbrojeń John E. Pike, pozyskał w latach sześćdziesiątych dla swej idei wystrzelenia w przestrzeń kosmiczną satelit wyposażonych w ogromne działa, rządy amerykański i kanadyjski. W ramach projektu High Altitude Research Project (Harp), który pochłonął miliony dolarów, Bullowi udało się zmontować trzy próbne działa. Największe z nich liczyło ponad 50 m długości. Podczas prób, wystrzelone z tych prymitywnych dział pociski osiągały wysokość do 180 km, przed eksperymentami Bulla wysokość niedostępną dla artylerii. Te trzy giganty leżą do dzisiaj w ówczesnych centrach testowych — na Barbados, w Arizonie i Kanadzie.

Szybki rozwój techniki rakietowej osłabił zainteresowanie Pentagonu pomysłami Bulla. Sfrustrowany Bull, "fanatyczny naukowiec bez politycznych skrępowań, zainteresowany wyłącznie urzeczywistnianiem



Zabunkowana fabryka zbrojeniowa koło Bagdadu.



Gerald Bull

swych idei", jak określił go jego przyjaciel, musieli szukać nowego sponsora. Znalazł go na południu Afryki, w kraju Burów odizolowanym przez ONZ od światowego handlu bronią. Burowie (potomkowie kolonistów holenderskich posługujący się językiem afrikaans, tzw. Afrykanerzy stanowiący 60% białej ludności RPA) zainteresowani technologią najwyższej jakości zainwestowali w ideę Bulla. Powstały wysocze nowoczesne 155-milimetrowe działa G-5 i G-6, znajdujące odbiorców na całym świecie.

Przy pomocy austriackiego koncernu Voest dostarczającego okazję do zbicia majątku, setki tych dział znalazło się w rękach uczestników wojny golfowej (odpowiedzialni za handel tymi działami menadżerowie koncernu stają właśnie przed sądem w południowoaustriackim mieście Linz).

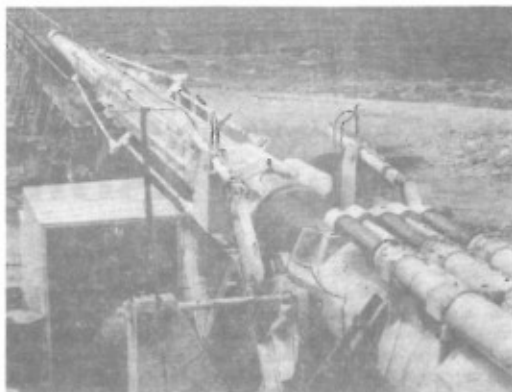
Bull, skazany w 1980 r. na pół roku więzienia za naruszenie embargo ONZ na dostawy broni do krajów Bliskiego Wschodu odsiedział dwie trzecie kary. Po wyjściu z więzienia reaktywował swą brukselską firmę SRC. W 1981 r. udało mu się zainteresować swoim pomysłem Chiny. Współpraca trwała kilka lat. Bull pomagał modernizować chińską technikę militarną. Na mongolskiej pustyni testowane były prototypy dział marki Bull. Nie mógł znaleźć tylko nikogo, kto zapaliłby się do największej jego idei — dział kosmicznych. Wreszcie, prawdopodobnie w 1986 r. odkrył holdującego tej samej co i on gigantomanii Husajna. Iracki dyktator szybko zrozumiał, że oferowane mu działa, daleko prostsze od każdej rakiety, stać się mogą w jego ręku potęgą przeciw Iranowi a także i Izraelo-

wi. Już "Harp Gun" działo o średnicy 40 cm, którego prototyp do dziś znajduje się na Barbados, strzela pociskami na odległość 400 km. Trzystopniowe rakiety wystrzelone z superdziała "Martlet 4", zapalające się dopiero po osiągnięciu dużej wysokości trafić mogą w cel oddalony o kilka tysięcy kilometrów.

Latem 1988 r. części superdział zamówione zostały w Wielkiej Brytanii. W "przedsięwzięcie Babilon" zaangażowana została inna firma Bulla z siedzibą w Atenach, belgijska fabryka amunicji, jak również zachodniemiecka spółka z Bielefeld. W północnym Iraku powstało centrum badawcze. Złożone już prototypy sprawowały się znakomicie. Mimo przestarzałej technologii sprzęt tego typu posiada wiele niepodważalnych zalet. Jest tani, w przeciwieństwie do kosztownej high-technologii rakiet. Pocisk wystrzelony z działa z dużą prędkością w małym stopniu uzależniony jest od warunków atmosferycznych niż wolno startująca rakietka. Jest zatem celniejszy.

Od dwóch lat Pentagon ponownie zainteresował się ideą Bulla, widząc w "Harpie" nośniki broni dla systemu SDI. Szef działu projektów Pentagonu z lat sześćdziesiątych gen. Arthur Trudeau uważa działa typu Harp za świetną "dalekosiędną konwencjonalną broń odstraszania", z powodzeniem zastępującą broń atomową średniego zasięgu.

Gdy wieść o kontaktach Bulla z Bagdadem dotarła do zachodnich wywiadów, tajne służby postawione zostały w stan najwyższego alarmu. Pewne brytyjskie przedsiębiorstwo niejednokrotnie już świadczące usługi wywiadowi Jej Wysokości "nasłało" na Bulla dziennikarza, Irańczyka Farzada Bazofa. W 1989 r. spotkał on w Niemczech Zach. Bulla i jego współpracownika, amerykańskiego technika raketowego Stevena Adamsa. We wrześniu tego samego roku pojechał do Bagdadu i tam



Superdziało Harp: zasięg do 400 km.

został aresztowany. Uznany przez Husajna za szpiega, mimo międzynarodowych protestów Bazof został skazany na śmierć i powieszony.

Od tej pory Iracyjczy obawiali się zamachu na Bulla. Przydzielono mu dwóch "goryli". Daremnie. 22 marca wieczorem 62-letni Gerald Vincent Bull ginie od kuli, przed drzwiami swego apartamentu w "Résidence Minerve", w luksusowej dzielnicy Brukseli. Adams uchodził z życiem przez przypadek. Z powodu rendez-vous umówionego na ten wieczór nie stawia się na ważne spotkanie z szefem.

Syn Bulla, Michael, jak i brytyjski poseł z ramienia partii labourystów George Galloway przekonani są, że zamachu dokonał izraelski wywiad Mossad. Deputowany Galloway oświadczył to nawet publicznie przed obliczem brytyjskiego parlamentu. Policja wie tylko tyle, że zabójcą był zawodowiec, o czym świadczy perfekcyjność morderstwa. Najbardziej zmartwiony śmiercią Bulla jest Saddam Husajn, który stracił tym samym partnera do gigantycznej zabawy.

oprac. na podstawie "Der Spiegel"



Skonfiskowane w Londynie segmenty dział.

Jacek Korczak-Mleczeko

Igrzyska »Solidarności«

Nigdy dość igrzysk. Co cztery lata olimpijskie, co cztery lata nowość: "Good Will Games" – "Igrzyska Dobrej Woli" organizowane przez rzućkiego biznesmana z USA, Teda Turnera. Ów Turner cztery lata temu zrobił taką imprezę w Moskwie, a miała ona służyć sowiecko-amerykańskiemu porozumieniu, którego moment zadzierzgnięcia (na przykład na bokser-skim ringu) transmitowała na żywo telewizyjna stacja tegoż Turnera. W roku 1990 sportowcy Dobrej Woli – a przynajmniej, że nie znam zawodów złej woli

"Solidarity Games" – "Igrzyska Solidarności" – to "dziecko" człowieka młodego i rzućkiego – Piotra Ziemanina. Gdy Wałęsa pertraktował z Jaruzelskim, miał on lat dwadzieścia. Usłyszałem o nim po raz pierwszy jesienią ubiegłego roku, gdy w redakcji tygodnika "Sportowiec" (było takie pismo, zanim nie zgilotynowała go Komisja Likwidacyjna RSW) zaterkotał telefon. Iskrowka przyszła z Gdańska i informowała, iż powstał tam Krajowy Komitet Olimpizmu przy "Solidarności", że zapraszają na spotkanie, a za

jak działał, a jego szef, Aleksander Kwaśniewski, nawet nie wiedział jeszcze wówczas, że jest socjaldemokratą.

Harce Perskiego i Ziemanina rozpoczęły się od ataków na resort sportu i Polski Komitet Olimpijski połączony z ministerstwem tą samą osobą prezesa. Atakowano zajadłe sam termin "kultura fizyczna" jako wymysł sowiecki, zastępując go nowym "kultura zdrowotna". Atakowano dysproporcje pomiędzy nakładami na sport masowy (niskimi) i finansową pójawką wyczynu. Żądano głów, odpolitycznienia PKOl, odsunięcia ludzi skompromitowanych i niekompetentnych – a lista była długa.

Rzutkim teoretykiem "olimpizmu", który wkrótce wspomógł gdańszczan, okazał się wierny zawsze ideałom Coubertina, docent Wojciech Lipoński. Aktywnym uczestnikiem prac organizacyjnych był pan profesor Horbulewicz, specjalista od relaksologii. Ta czwórka miała wkrótce swoje pięć minut u przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, Juana Antonio Samarancha, który przybył w listopadzie do Warszawy na jubileusz PKOl. Wreszcie parcie do sportowych zmian zaowocowało najpierw ideą sportowego Okrągłego Stołu, przemienionego w rezultacie na obrady typu "forum", na którym, po trzymiesięcznym słowotoku, góra urodziła myśl. W KMiKF i PKOl nie drgnęło nic, a polskie związki sportowe straszone finansowym harakiri i weryfikacją zarządów przetrwały czas niepewności. Być może stan zagrożenia wywołał mechanizmy obronne, ale w miesiącu maju tego roku polski sport znowu zanotował wspaniałe sukcesy (judoka Waldemar Legień, koszykarki, medale sztangistów). Trenerzy, działacze i zawodnicy przestali już nawet uczestniczyć w giełdach informacji, na których układano rankingowe listy kandydatów na stolec ministra sportu i szefa PKOl. Szczególnie ta druga posada wzbudza dużo emocji, tym bardziej, że firma z ulicy Frascati miałaby w przyszłości rządzić sportowym wyczynem.

Tymczasem pojawiały się "Solidarity Games". Dwa tygodnie sportowych



Juan Antonio Samaranch (z lewej) z olekawaścią słuca Piotra Ziemanina, szefa sportowej "Solidarności". Sylwester Morawski

– zjadą w lipcu do północnoamerykańskiego Seattle. W tym także zaproszeni Polacy.

Ale my już miesiąc później będziemy mieli własne igrzyska: "Solidarity Games". Na razie mamy "wideo-clip" o odkrywczym tytule "Czekając na wschód słońca", oficjalny hymn gdańskich Igrzysk, który to utwór miał premierę w czerwcu. Skomponował go pan Caba, nasz Sergio Morodera, czyli muzyk od sportowych hitów, jak przeboje z Calgary, Seulu i włoskiego Mondialu.

wszystko odpowiada pan Grzegorz Perski. Wkrótce potem powstała także Krajowa Komisja Sportu, a jej przewodniczącym został właśnie pan Ziemanin. Sportowcy, wydawało się, tym razem zostali jednak nieco w dołkach startowych. Oto ludzie namaszczeni w Gdańsku na wyborczej fali z czerwca 1989 obsadzili już co ważniejsze ministerstwa i urzędy, ale sport odporny był na przemiany niczym ulubieniec mojej młodości, pięściarz Tadeusz Walesek, na ciosy Popieńczyki. Komitet Młodzieży i Kultury Fizycznej działał

SOLIDARITY GAMES

12-22 August 1990
Gdańsk, Poland

emocji, jakich dotąd nie było. Wszystko na Dziesięciolecie z długodystansowym biegiem od Pomnika Poległych Stoczniovców po gdyński monument. Oprócz tego turniej gwiazd ping-ponga pod egidą Andrzeja Grubby i Jacquesa Secretina, Wojtek Fibak w tenisie ziemnym razem z Nastasem i Connorssem, koszykarze z Harlem Wizzards, mecz futbolowy Polska-Reszta Świata. Reżyseria Jerzego Gruzy, Trójmiasto, światło i dźwięk, sierpień 1990. Telewizja i technika, cel szczytny: pomoc dzieciom specjalnej troski.

Gigantyczna impreza szybko zyskała sponsorów ze strony rodzimego i obcego biznesu. Od "Mity" i "Sony" po firmę "Olech Elektronics", którą znam jedynie z sopockich festiwali i zawodów o tytuł "Miss Polonia". LOT dał już plik biletów na trasy europejskie, KLM na rejsy zaoceaniczne, goście już prawie jadą. Machina poszła w ruch.

Duszą "Igrzysk Solidarności" jest oczywiście Piotr Ziemann, któremu funkcja w Krajowej Komisji Sportu i osoba Szefa otwierały wszystkie drzwi. Procentowało również jesienne spotkanie z Samaranchem, gdyż gniewni z Gdańska odwiedzili przed Wielkanocą zamek Vidy, gdzie znajduje się siedziba imperium MKOl. Szczegóły tego spotkania otoczone są tajemnicą, ale można domniemywać, iż Samaranch doskonale rozumie, że wali się dotychczasowy system międzynarodowej rywalizacji. Oto NRD chciała być zawsze lepsza od RFN, gimnastycki Ceausescu lepsze od całego świata, Amerykanie od Rosjan i odwrotnie, blok na blok, wyższość sportu to wyższość systemu. Teraz na placu pozostanie chyba tylko Fidel Castro, jego bokserzy, siatkarze i lekkoatleci, którzy na każdym kroku podkreślają, że ich wyniki to wyjątknie zasługa ideałów rewolucji i jej przywódcy.

W tydzień po wizycie delegacji sportowej "Solidarno-

ści" Samaranch przyjął przedstawicieli narodowych komitetów olimpijskich eks-demoludów. Iwana Sławkowa, prezesa Komitetu bułgarskiego dostarczono tam prosto z więzienia, gdzie na sienniku prowadził głodówkę, a jego główną winą było ponoć to, iż był zięciem towarzysza Żiwkova. Cieszył się zaś sympatią i na zamku Vidy, i wśród bułgarskich sportowców. Przewodniczący MKOl uspokoił nieco sportowy establishment z za rozbitego muru. Rozważa on finansową pomoc dla tych krajów, wskaże drogi wejścia we wspólny biznes. Bo zbyt groźnie zabrzmiały słowa prezydenta Havla o tym, że nie interesuje go wyczyn na garnuszku państwa.

Ale w Polsce kolejna ciekawostka. Okazało się, że Perski i Ziemann mają konkurentów. W stolicy zwołał konferencję prasową pan Janik, wybrany właśnie na prezesa Komisji Kultury Fi-

zycznej Regionu "Mazowsze". Za nim ponoć poszły inne regiony, starając się wykazać, iż ciało utworzone w Gdańsku nie zostało przez nikogo wybrane i praktycznie reprezentuje samo siebie. Fakt ten nie zdziwił mnie, ponieważ jako mieszkaniec warszawskiej ongii dzielnicy, a dziś, wstyd powiedzieć, gminy Ochota i jako wyborca miałem ostatnio do czynienia z dwoma Komitetami Obywatelskimi z tejże Ochoty, z których każdy dowodził, iż jest tym właściwym i demokratycznie wybranym.

28 kwietnia w Bydgoszczy odbyło się posiedzenie Krajowej Komisji Sportu i komisji regionalnych. Do skandalu nie doszło, chociaż w kuluarach kolportowano informacje, kto bardziej i jak występował się starej władzy. Zebrani postanowili także, iż kolejny ogromny miting, Kongres Sportu Polskiego (miejsca dla stron według rozdzienika) odbędzie się nie u progu lata, ale pod koniec sierpnia. Bo przecież najważniejsze są "Solidarity Games", bieg między pomnikami i chwila, gdy Lech Wałęsa pojawi się na stadionie swojej ukochanej Lechii, a Reszta Świata zagra z nami w piłkę. Wtedy też "doczekamy się wschodu słońca", a potem już wszędzie nowy centralny urząd polskiego sportu.

Pewno znajdą się też niegodziwcy zagląający w faktury spływające po wielkiej gali. Niby gratis, dla idei, ale niezupełnie. W "Gazecie Wyborczej" wyczytałem, że sowiecki tyczkarz Gataulin życzy sobie za poskakanie 15 tysięcy dolarów plus kosza. Skoczy i w ten sposób uczci dziesiątą rocznicę Sierpnia. To pięknie z jego strony.

Chciałbym akredytować się na "Solidarity Games". Nigdy jeszcze nie byłem na igrzyskach.



Andrzej Grubba — jedna z gwiazd nadchodzących Igrzysk "Solidarności" fot. Zbigniew Staszyszyn

Jacek Korczak-Mleczeko

Andrzej Zwaniecki

Polowanie na »Czerwony Październik«

Film *The Hunt for Red October* – "Polowanie na Czerwony Październik" w reżyserii Johna McTiernana stanowi interesującą pozycję dla amatorów nowinek technicznych oraz miłośników podwodnych krajobrazów i przemysłu ciężkiego. Opowiada on historię kapitana sowieckiego okrętu podwodnego, który chce wybrać wolność w Ameryce. Okręt "Czerwony Październik", który wyrusza właśnie w dziewiczy rejs jest najnowszym osiągnięciem sowieckiej myśli technicznej. Proszę się nie śmiać! Wyposażony w specjalny układ napędowy jest niewykrywalny przez amerykańskie urządzenia nasłuchowe. Może przeszliznąć się w pobliże głównych miast amerykańskich i ulokować w nich sporą liczbę rakiet z głowicami jądrowymi. "Ustalenie tego trwa w filmie około 20 minut – pisze Hal Hinson w *Washington Post* – a może nawet dłużej."

"Czerwonym Październikiem" dowodzi kapitan Marko Ramius, grany przez Seana Connery'ego. Ramius w zmoiwie z oficerami chce oddać okręt w ręce Amerykanów i poprosić o azyl polityczny, o czym zresztą – jak przystało prawdziwemu dysydentowi – powiadał KC. Kreml wysłał w pościg za nim niemal całą flotę sowiecką. Amerykanom ambasador sowiecki wyjaśnia, że Ramius jest szaleńcem, który chce rozpocząć wojnę światową i we wspólnym interesie obu krajów jest zniszczenie go.

Ale Amerykańcy nie w ciemną biał. W każdym razie nie wszyscy. Bystry pracownik placówki badawczej CIA Jack Ryan, grany przez Aleca Baldwina, wrócić z fusów i daty śmierci żony Ramiusa właściwie odczytuje intencje kapitana. Musi jednak przekonać o tym polityków i dowódcę amerykańskiego okrętu podwodnego U.S. "Dallas", który jest na tropie "Czerwonego Października".

Problem polega na tym, że pomimo pokrętej intrygi na ekranie nic się właściwie nie dzieje. W kadrze migają kolorowe światła sterowni okrętu, komputer drukuje dane o lokalizacji, na ekranie sonaru pojawiają się symbole i wykresy. Jest to film, w którym akcję się relacjonuje (20 sekund do uderzenia torpedy, ...15 sekund do uderzenia torpedy) lub



W poszukiwaniu "Czerwonego Października"...

przedstawia ją za pomocą świetlnych punkcików na ekranie sonaru. "Za pośrednictwem dialogów i muzyki mówi się publiczności, kiedy ma się obawiać najgorszego – pisze Vincent Canby w *New York Times* – ale to co widać na ekranie – nie wzbudza grozy."

Operator Jan de Bont czyni heroiczne próby pokazania podwodnej walki okrętów amerykańskich i sowieckich jako kulminacyjnego odpowiednika pościgu samochodowego. Ale wszystko, co udaje mu się osiągnąć, przypomina raczej film o tarle rekinów wyświetlany na szkolnym projektorze.

Na dodatek mętny obraz sekwencji podwodnych sprawia, że nie bardzo wiadomo, kto кого goni. We wcześniejszych filmach amerykańskich kagebiści tak wyraźnie odróżniali się od otoczenia, jakby mieli sierp i młot wytatuowany na czole. Z okrętami podwodnymi w zanieczyszczonym Atlantyku sprawa nie jest jednak taka prosta. Trudno się dziwić, że matrosy wiwatują, gdy trafiony zostaje sowiecki okręt, skoro widownia, która ma obraz tego, co dzieje się pod wodą jest również zdezorientowana. Sprawę ułatwia nieco to, że powieść Toma Clancy'ego, na której film jest oparty przeczytał niemal każdy Amerykanin, który nie jest analfabetą.

Za to pod względem realizmu "Polowanie na Czerwony Październik" stanowi krok do przodu w stosunku do filmów w stylu "300 Spartan", w którym Leonidas wołał do Greków: "Come on, boys!" Na pokładzie sowieckiego okrętu

podwodnego mówi się po rosyjsku. Nie przeszkadza nawet lekki akcent czeski, chorwacki i polski aktorów grających Rosjan, ponieważ jak łatwo się domyśleć, "Czerwony Październik" symbolizuje Rosję – uwięzienie narodów. Tę subtelną wymowę podkreśla gorsze oświetlenie okrętu sowieckiego.

Natomiast wątpliwe są pewne sprostowania dotyczące stylu życia Rosjan i narodów zaprzężonych. Ostatecznie można uwierzyć, że śpiewają oni lub nadają przy każdej okazji hymn państwowy. Ale gdyby ulubioną rozrywką żołnierzy i oficerów było picie herbaty – jak wynika z filmu – a nie czegoś mocniejszego, to Mathias Rust zostałby zestrzelony zanim doleciałby na Plac Czerwony i w konsekwencji nie byłoby czystki w sowieckim wojsku.

Można się zgodzić z Richardem Schicklem z tygodnika *Time*, że "ładnie zrównoważony udział obu bohaterów w grze o wysoką stawkę stwarza w »Polowaniu na Czerwony Październik« dramatyczne napięcie". Ale głównym problemem w tym filmie jest nie konfrontacja Ramius-Ryan, lecz pozbycie się z okrętu sowieckiego załogi, która nie została wtajemniczona w plany ucieczki do Ameryki. Nie tylko sama historia rozgrywająca się w okresie schyłkowego Czernienki jest więc "zimnowojennym anachronizmem", ale i przesłanie brzmi dziś fałszywie. Bo kto uwierzy, że to dowództwo chce na Zachód, a załoga stawia opór.

Andrzej Zwaniecki

Szanse zamieszczenia w tej rubryce mają nadesłane od organizacji polskich czy też osób prywatnych informacje o znaczących dla środowisk polskich wydarzeniach, imprezach polonijnych lub też dokonaniach Polaków na całym świecie.

»ZYD« — TO POLSKIE PRZEZWISKO

stwierdził ceniony w Niemczech warszawski historyk Jerzy Holzer, autor książki "Solidarność", w swoim referacie pt. "Rola Żydów w dzisiejszej Polsce", wygłoszonym w Berlinie w dn. 12.05.1990 na trzydniowym sympozjum zachodniobermberskiej Akademii Ewangelickiej — "Religijne i etniczne mniejszości w dzisiejszej Polsce". Dla niektórych Polaków nie mających szczególnej sympatii do rządu — stwierdził Holzer — nawet Mazowiecki jest "Żydem", choć jego rodzina jest od trzystu lat katolicka. Antysemityzm Polaków, a w tym niektórych liderów ugrupowań politycznych, jest "werbalny i ma charakter demagogiczny". "Zyd" jest przezwiskiem, którym zniesławia się politycznych przeciwników, tak np. "Żydem" został m.in. min. Kuroń, o którym ogólnie wiadomo, że nie jest pochodzenia żydowskiego. Prawdziwe sympatie Polaków kształtują się jednak nie w oparciu o rasową czy też religijną przynależność, co — jak podkreślił Holzer — wykazała ostatnia ankieta CBOS (popularności polityków), w której prof. Bronisław Geremek, szef frakcji parlamentarnej OKP, uplasował się na drugim miejscu za Mazowieckim, a przed Jaruzelskim i Wałęsą. A przecież ogólnie znane jest to, że prof. Geremek jest żydowskiego pochodzenia. W konkluzji Holzer stwierdził, że antysemityzmu w Polsce "nie należy przeceniać". St. Gał.



Jerzy Holzer

foto. Pogład

»WEISER DAWIDEK« — POWRÓT DO ROMANTYZMU

O powieści "Weiser Dawidek" gdańskiego literaturoznawcy i naukowca Pawła Huellego określonej przez krytyków w kraju i zagranicą jako najbardziej znaczący debiut prozatorski ostatnich lat pisze w "Neue Zürcher Zeitung" (5.04) Jeannine Luczak-Wild.

"Powieść jest przede wszystkim manifestem wybuchu romantyzmu, który cechuje polską literaturę lat osiemdziesiątych i który nieprzypadkowo wywodzi się z Wybrzeża, miejsca narodzin »Solidarności«" — konstatuje w obszernej recenzji J. Luczak-Wild. "Powrót do »Dziadów« Adama Mickiewicza, »Króla-Ducha« Juliusza Słowackiego (w tym kontekście jest to także pokłon przed Grasssem w sięgnięciu do wspólnych źródeł — mesjanizmu, historiozoficznej metempsychozy), zwrot również ku wielbicielowi Mickiewicza — Czesławowi Miłoszowi, którego obecność — od »Doliny Isy« po »Ziemie Urlo« wyznaczalna jest w powieści Huellego, zwrot ku romantyzmowi oznacza

też zwrot ku tamtej »Europie Środkowej«, która jest ojczyzną Mickiewicza i Słowackiego, ale także i Miłosza; poszukiwanie wolnej »środkoeuropejskiej« tożsamości z »tamtej strony« polskiego nacjonalizmu, którym rząd usprawiedliwiał granice wytyczone po II wojnie światowej przez Związek Sowiecki.

Nie jest dziełem przypadku, że »Weiser Dawidek« przybył do Gdańska z Brody — podolsko-galicyskiej ojczyzny Józefa Wittlina i Leopolda Buczkowskiego, ale i Josepha Rotha (J. Roth — pisarz austriacki, urodzony we wsi Brody w okręgu lwowskim — przyp. red.). Nie przypadkiem też zniknięcie mistycznego bohatera powieści następuje w roku urodzin autora (1957). Zwrot ku romantyzmowi oznacza też przełamanie perspektywy czasu w kierunku przeszłości i przyszłości: powrót do źródeł, szukanie korzeni i historii, która nie ma końca, która chce być dalej czytana, pisana, przeżywana."

Paweł Huelle, "Weiser Dawidek", tłum. z j. polskiego Renaty Schmidgall, Luchterhand-Literaturverlag, Frankfurt nad Menem, 1990.

Bawarski dziennik "Süddeutsche Zeitung" od kilku tygodni drukuje w odcinkach powieść Pawła Huellego.

»KSIĄŻKA NIE ZNA GRANIC« DOKUMENTACJA NIEMIECKO-POLSKIEGO DIALOGU LITERACKIEGO

Niemiecko-polskim stosunkom kulturalnym, zwłaszcza recepcji literatury polskiej w krajach niemieckojęzycznych poświęcona jest czynna od maja do lipca br. w warszawskim Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza wystawa "Książka nie zna granic". Wystawę zorganizował Niemiecki Instytut Kultury Polskiej z Darmstadtu, Fundacja Roberta Boscha ze Stuttgartu oraz Związek Księgarzy i Wydawców Niemieckich/Spółkę Wystaw i Targów z Frankfurtu n/Menem.

SZWAJCARIA: »DU« — EKSKLUZYWNE O POLSCIE

Wychodzący od 50 lat w Szwajcarii miesięcznik ilustrowany "DU" (niemieckojęzyczny, 100-stronicowy, monotematyczny) tym razem poświęcił swój lutowy numer Warszawie, polskiemu centrum kultury i sztuki, próbując udzielić odpowiedzi na pytanie, "jaką rolę odgrywa kultura we wszystkich tych przemianach", jakie zaszyły w ostatnich miesiącach w Polsce. Jak stwierdza w "Editorialu" redaktor Dieter Bachmann, przemiany w Polsce są "początkiem (jakiejś) historii" (der Anfang einer Geschichte), co już "na wstępie zmusza do rozważań o tym, co było". Rozważaniom tym oddają się autorzy zachodni i nieliczni polacy: m.in. krytyk literacki z Bazylei, Jeannine Luczak-Wild, pisząc o literaturze polskiej lat 80-ych czy znany eseslista, tłumacz i wydawca polskiej poezji Peter Lachmann z Konstancji, w eseju o Warszawie podsumowującym wypadek luksusowego "DU" nad

Wisłę (Warszawa — "najbrzydsze miasto Europy. Albo nawet świata?"). Z polskich autorów warszawski krytyk literacki Leszek Szaruga przedstawia atmosferę — dzisiaj już należącego do historii — okresu legalnego działania "Solidarności" przed 13.12.1981, zaś konserwator łódzkiego Muzeum Sztuki Jaromir Jedliński pisze jako jedyny nie o warszawskich artystach czy pisarzach, lecz o kolekcji własnego muzeum. O problemach wydawniczych informuje Karol Sauerland — "Pluralizm i brak papieru", a interesujące fotosyntezy warszawskich motywów Krzysztofa Pruszkowskiego ilustrujące to wydanie (brzydkie też może być piękne — przyp. St. Gał.) omawia członek redakcji "DU" Barbara Basting. "DU" informuje wybiórczo nie tylko o życiu kulturalnym Warszawy — o reżyserach filmowych (Kieślowski, Wajda), malarzach i rzeźbiarzach, muzykach i jazzie, wystawach i galeriach, ale również i życiu codziennym — bazarze na stadionie "Siry" ("czarny rynek") i handlu ulicznym. Wszystko to ilustrowane jest kilkudziesięcioma zdjęciami, w tym wieloma kolorowymi, oraz rysunkami warszawskiego grafika Zygmunta Januszewskiego. Nie zapomniano o najtragiczniejszym okresie dziejów Warszawy — "DU" publikuje wyjątki z "Dziennika powstania warszawskiego" (Warszawa, 1970) zmarłego w 1983 r. Mirona Białoszewskiego. Drukiem wierszy w tłumaczeniu słynnego Karla Dedeciusa wyróżniono Bronisława Maja, Marka Konrada Wasilewskiego, Julię Hartwig, Annę Janko oraz Ryszarda Krynickiego. W sumie lektura "DU", choć interesująca, nie pozwała niemieckojęzycznemu czytelnikowi na poczucie rytmu życia kulturalnego Warszawy, a przede wszystkim jego rangi w życiu Polaków i we wszystkich tych "przemianach", co w końcu było celem redakcji "DU". St. Gał.

WYSTAWA WITKACEGO W BERLINIE

W dn. 27 maja odbył się w zachodniobermberskim Domu Sztuki Bethanien wernisaz największej w dziejach Niemiec wystawy obrazów, rysunków i fotografii Stanisława Ignacego Witkiewicza. Jego twórczość literacka została tu pominięta. Na dwóch wystawowych



piętrach zgromadzono 17 obrazów olejnych, 73 pastele, 21 rysunków oraz prawie 200 zdjęć, w tym 50 oryginalnych, spośród których kilka autorstwa samego Witkacego. Gros eksponatów wypożyczono na wystawę — trwającą do 1 lipca br. — z Muzeów Narodowych i Krakowie oraz z Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Organizator wystawy Neue Gesellschaft für Bildende Künste zainwestował w to

znaczące dla polskiej sztuki wydarzenie kulturalne ponad 100 tys. DM, które umiejętnie spoczykowała kierująca przygotowaniem wystawy p. Elżbieta Manthey-Bikoti-Skambara, Polka mieszkająca od siedmiu lat w Berlinie. Na wystawę przygotowała także imponującą katalog z ponad 40 kolorowymi reprodukcjami dzieł Witkacego. Jej zain-



Otwarcie wystawy — Wiltkacy na dwóch piętrach

fos. Pogląd

teresowanie tym wielkim twórcą — jak stwierdziła wobec "Poglądu" — datuje się od czasu studiów teatrologicznych i pracy w Zakładzie Kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Na otwarciu wystawy sfinansowanej m.in. przez Senat Berlina Zach. i bońskie MSZ przedstawiciel Senatu podkreślił, że Niemcy ponoszą wynikającą z historii szczególną odpowiedzialność wobec Polaków, a w tym i wobec spuścizny Witkacego, jako że przyczyną jego samobójczej śmierci we wrześniu 1939 r. był niemiecki najazd na Polskę. Rektor zachodniobermberskiej Akademii Sztuk Pięknych prof. Rolf-Morin ostrzegł przed wzrostem nienawiści wobec obcych kultur wyrażającym się w szybko rosnącej nienadziei Niemców w obu częściach miasta wobec obco krajowców, a w szczególności wobec Polaków i Rumunów. St. Gał.

»EXODUS« — NOWE PISMO POLSKIE W MONACHIUM

Za sprawą ks. dr. Czesława Nowaka, który od roku kieruje drugą polską parafią w Monachium, w maju br. wyszedł już piąty numer miesięcznika "Exodus", określanego się jako "katolickie pismo polskiej emigracji". Na 16 stronach formatu A4 miesięcznik podejmuje przede wszystkim tematy religijne tak, jak np. niezależna moralność chrześcijańska, prawda o krzyżu, Kościół katolicki na Węgrzech czy w Czechosłowacji, informuje o dokonaniach pontyfikatu Jana Pawła II czy polskich parafii katolickich poza granicami kraju. "Exodus" wypowiada się także w sprawach ekologii czy "białych plam" w historii, jak np. Katyń.

Jak poinformował "Pogląd" redaktor pisma, ks. Czesław Nowak, "Exodus" ma obecnie nakład 7.000 egzemplarzy (cena DM 1,-) i rozprowadzany jest przez polskie parafie katolickie i chce zostać "europejskim pismem dla Polaków w Europie", zapraszając "zainteresowanych do współpracy". Adres redakcji: Am Birlich 11, D-8000 Monachium 82. St. Gał.



LISTY DO REDAKCJI

"Pogład", nr 3(159): "Jednym zdaniem"

Szanowna Redakcjo!

W Waszym pasjonującym jak zwykle przeglądzie prasy "Jednym zdaniem" ("Pogład", nr 3) wkraść się błąd, a właściwie piramidalny lapsus: "W Związku Sowieckim odżytki dziecięce zawierają do 25% antybiotyków." Złe tłumaczenie! Powinno być: 25% odżywek zawiera antybiotyki.

Dr med. Andre Korsak
Hamburg, kwiecień 1990

Por.: "Pogład" nr 4(160): Rozmowa z Janem Rulewskim
"Pogład" nr 5(161): "Koniec etosu"

Szanowny Panie Edwardzie,
Wielką furorę zrobił numer "Pogładu" (nr 4(160) na zjeżdżi "Solidarności". Był bardzo potrzebny do otrząśnięcia się z psychozy.

Wysyłam krótki artykuł z prośbą o druk.
Z szacunkiem
Stefan Pastuszewski,
Bydgoszcz, maj 1990

Tożsamość NSZZ "Solidarność"

Problem tożsamości NSZZ "Solidarność" nie jest problemem urojonym. Bywały różne okresy w życiu NSZZ "Solidarność"; czasami był to związek zawodowy tylko z nazwy. Narodził się jako spontaniczna wizja dobrego ładu społecznego, w opozycji do paradoksalnego systemu komunistycznego, i zaczęła skupiać wokół siebie różnych ludzi i zajmować się różnymi problemami. Założyciele "Solidarności", zwykli ludzie pracy, konsekwentnie przystąpili jako pierwsi do rekonstrukcji obalonego w 1944 roku normalnego porządku rzeczy. Stało się tak dlatego, że właśnie praca — a nie posiadanie dla posiadania, rządzenie dla rządzenia, konsumpcja dla konsumpcji — są najbliższe owemu naturalnemu porządkowi. Człowiek realizuje się i kreuje siebie przede wszystkim w pracy, co wcale nie znaczy, że tylko ona jest wyłączeniem treści jego życia. Używając przerośni można stwierdzić, że praca jest kręgosłupem ludzkiej egzystencji.

NSZZ "Solidarność", jako inicjator przemian i jako jedyna zorganizowana siła przemiany te realizująca, musiał "robić" i w polityce, i w oświacie, i w kulturze. Dopiero teraz niektóre komisje zakładowe zaczynają także zajmować się ekonomią, tj. praktyczną stroną gospodarki. Obecnie, w dobie pluralizacji życia, które nie tylko polega na wolności ludzkich inicjatyw i działań, ale i na krystalizowaniu się specjalności (niech każdy robi to, do czego został powołany), wszystkożm NSZZ "Solidarność" zdaje się już zbędny.

Trzeba, aby Związek zaczął się specjalizować. Wielu działaczy musi na nowo przejść lekcję związkowego myślenia, aby, niekoniecznie rezygnując z innych działań, Związek — związkowić, tj. zająć się problemami pracy i płacy.

W zasadzie o najważniejszych kierunkach działań Związku zaczęliśmy już mówić na Zjeździe. Jest nią praca. Związek zawodowy zajmuje się przede wszystkim problemami stosunków w zakładzie pracy, w tym głównie (§1 statutu NSZZ "Solidarność") obroną interesów pracowników, realizacją ich po-

trzeb materialnych, społecznych i kulturalnych. A więc myślenie nasze — jako działaczy związkowych — winno być głównie w kategoriach służenia innym pracownikom, a nie w kategoriach politycznych czy gospodarczych. Jest to bez wątpienia myślenie jakby jednostronne, ale w pluralistycznym, jeśli idzie o rozdział zadań, społeczeństwie, powinno być dominujące w związku zadanym. Dopiero twórczy spór między różnymi sposobami myślenia, a co za tym idzie i różnymi interesami, da — jako wypadkowa — określone rozwiązanie społeczne.

Taka była mniej więcej treść programu "nurtu związkowego", który pojawił się na II ZKZD NSZZ "Solidarność", a "przygłuszony" został przez lewicę solidarnościowej omnipotencji.

Już raz rządzący byli związkowcami (związek zawodowy jako pas transmisyjny rozkazów partii), już raz właściciele PRL byli działaczami związków zawodowych.

Obecnie, gdy tak bezkrytycznie popieramy poczynania rządu, który wcale od nas tego nie wymaga, a wręcz przeciwnie — prosi o patrzywanie na ręce, grzeszymy przeciwko czystości związkowego myślenia. Bądźmy sobą!

Stefan Pastuszewski,
delegat na II Zjazd NSZZ "Solidarność"
Region Bydgoszcz

Szanowny Panie Redaktorze!

Atak Wałęsy na rząd i intelektualistów bulwersuje również Polaków za granicą, np. w hamburskim "Klubie Polskim", gdzie spotykają się ludzie żyjący nie tylko "chlebem powszednim". W dyskusjach padają dosadne wypowiedzi, np. w związku z zdjęciem, które załączam:



— Oto dwaj politycy: prezydent von Weizsäcker z 40-letnim stażem politycznym i Wałęsa — przyszły prezydent (?) — noblista, doktor honoris causa, elektromonter okrętowy.

— Opozycja stale żądała,

aby usunąć ciemniaków od władzy, a co teraz?

— Wałęsa nie jest ciemniakiem!

— Ale nie jest fachowcem od rozmów politycznych, ekonomicznych, wojskowych, ekologicznych...

— On posiada niewątpliwą charyzmą przywódcy robotniczego.

— Ale to za mało, aby zostać prezydentem! Nieudany wyjazd Lecha do USA, aby zachęcić milionerów do spółek akcyjnych był tego dowodem. Oni nie mieli z kim gadać! Jego błyskotliwe riposty ("Jako gwarancję, daję swój własny majątek!", "Co powie Gorbaczowowi? "Dobry wieczór panie Gorbaczow!"...), to są genialne, wiecowe "pstryczki w nos"...

— Ale żeby został prezydentem, to musiałby mieć tak wyważone wypowiedzi jak np. Mitterrand!

— Co byłoby, żeby von Weizsäcker przypiął sobie do marynarki fotografię Lutra? Pomyślano by, że zwiariował, gdyż jest prezydentem wszystkich Niemców różnych wyznań!

— Nawet papież nie przypina sobie świętych fotografii...

— Ciekawe, że Kościół katolicki, który jest dla Lecha najwyższym autorytetem nie przyhamował jego działalności (*The Guardian*: Wałęsa eksplodował)

— A więc toleruje lub inspiruje.

— Nie, Wałęsa ma najlepsze chęci. On widzi uratowanie narodu jedynie przez unię z Watykanem, gdzie Następca Chrystusa, dzięki swojemu autorytetowi i niebiańskiej łasce zrobi cud dobrobytu. (Jedno z pierwszych uchwał związkowych II Zjazdu było zwalczanie antykoncepcji) Ładne związki!

— Teraz natomiast twierdzą, że tylko Syryjczyk w rządzie jest aryjczykiem! Okropność!

Oczekujemy od Pana rzeczy arcytrudnej: ocenienie obecnej sytuacji, złagodzenie antagonizmów, określenie stanowiska "Poglądu".

Łącząc szczerze wyrazy przyjaźni

Andre Korsak

Hamburg, 7 maja 1990

"Pogląd", nr 4(160): "List otwarty"

Szanowna Redakcjo!

Proszę przyjąć wyrazy szczerzej wdzięczności za opublikowanie części listu p. Kolatorskiego ze Szwajcarii. Mieszkałem w tym samym kraju, w którym "operuje" krytykowany przez p. Kolatorskiego reporter BBC (i niestety też RWE) Krzysztof Rogala. Czytałem kilka listów w jego sprawie — łącznie z błaganem kilkudziesięciu osób pod adresem byłego dyrektora RWE p. Łatyńskiego, aby przestał nadawać Rogalę — i jestem przekonany, że obojętność, która nakazała p. Łatyńskiemu zignorować te błagania, jest świadectwem lodowatego cynizmu. Przypuszczam, że p. Smolar — dyrektor polskiej sekcji BBC — też był dość dobrze zorientowany w sprawie, kiedy zdecydował się nadal emitować półprawdziwe enuncjacje p. Rogali. Jako były korespondent RWE przestałem słuchać tego radia, aby nie wpadać na te fałszywe i topornie podawane "informacje" z terenu Szwajcarii. Piszę z prawdziwym smutkiem ale i nadzieją, że może ci odpowiedzialni panowie, nie licząc się z poglądami poszczególnych osób, zastanowią się nad poruszoną sprawą, tutaj już publicznie.

Z wyrazami szczerzego szacunku

Aleksander Łuczak

Bazylica, 7 maja 1990

dokończenie ze str. 46

Prywatne rozmyślenia

kadzidła, a tylko siarką śmierdział i otchłanią piekielną. I nie zwykła twarz miła, uśmiechnięta i spolegliwa się pojawiła, tylko morda ohydna, która obnażając zepsute zęby wybelkotała:

W świecie najmądrzejsza jest nasza jedyna

Królowa Śnieżka, czarowna Jecyna.

Królowa postanowiła więc otruć królowę Śnieżkę podając jej zatrute jabłko. Okazało się jednak, że od czasu, gdy Miczurin skrzyżował jabłko z ananasem, otrzymując całkowicie niejadalny owoc odporny na mrozy, jabłek w całej krainie już nie ma. A i ostatek trucizny zużył jeszcze książę Jusupow na pozbycie się Giegorija Rasputina. Królowa się ziryto-

wała i stukła lusterko, którego resztki oddano do Muzeum Ruchu Rewolucyjnego. A jeśli ich nie ukradli, to leżą tam do dzisiaj.

4.

Żurnaliści zachodni Niemiec nadal i z wielkim, godnym lepszej sprawy uporem rozwijają wszystkich mieszkańców Związku Sowieckiego, obojętnie czy chodzi tu o Kazachę, Gruzina czy Estończyka, straszny nowotwór politycznej nowomowy — Sowjetrusse, co znaczy po prostu sowiecki Rosjanin. Jedyny wyjątek robią dla Niemców nadwołżańskich, zatem prezydent Litwy Vytautas Landsbergis też jest Sowjetrusse i premier Litwy, pani Prunskiene tudzież. Być może tym głębokim zakorzenieniem się imperializmu sowiecko-rosyjskiego w języku niemieckim należy tłumaczyć radę, jakiej udzielił kanclerz Kohl premier Prunskiene — żeby Litwa wycofała się z deklaracji niepodległości. Istotnie — po co rosyjskim Sowietaom na Litwie niepodległość.

Maciej Radwan Rybiński

dokończenie ze str. 49

Premier Litwy K. Prunskienė

Związku Sowieckiego partnera Europy Zachodniej. Jeżeli zdecyduje się iść w kierunku przychylnym, wtedy zahamuje procesy wolnościowe we wschodniej Europie, narazi się również na utratę autorytetu nie tylko wewnątrz Związku Sowieckiego ale i na całym świecie.

Z ogłoszeniem niepodległości Litwy czekaliśmy już bardzo długo, gdyż Litwa nie jest wolna w sumie od 50 lat. Z pewnością się nie spieszyliśmy, a wręcz przeciwnie — jesteśmy spóźnieni (brawa). Rozumiemy, że po tak długich latach aneksji i wspólnego życia w Związku Sowieckim mamy wiele wspólnych interesów, zaś Związek Sowiecki ma własne interesy w regionie nadbałtyckim. Dlatego zgadzamy się te interesy bilateralnie negocjować i przez podpisanie układu uprawomocnić. Mamy nadzieję, że jeśli Związek Sowiecki przystąpi do rokowań, to osiągniemy takie rezultaty (brawa).

— *Wiele osób obawia się, że na Litwie pojawia się nowy nacjonalizm, rezultatem którego jest dyskryminacja Rosjan i Polaków. Jakich praw pozbawieni są nie-Litwini na Litwie, np. prawa do własnych szkół, itp.?*

— Litwa nie ma tradycji agresywnego nacjonalizmu. Na Litwie żyły od wieków różne narodowości, które dzisiaj są też całkowicie wolne. Ludność Litwy składa się w 8% z Polaków, mają oni swoje szkoły i swobodę działań kulturalnych. Rosjanie stanowią 9-10% ludności, wielu z nich reprezentuje od lat polityczne interesy Związku Sowieckiego, co przysparza problemów, mimo to nasze prawo zawiera konkretne ustawy gwarantujące wszystkim mniejszościom narodowym te same prawa społeczne, jak dla Litwinów. Nie widzimy żadnej różnicy — przy przechodzeniu do pluralizmu, systemu wielopartyjnego i gospodarki rynkowej — między obywatelami poszczególnych narodowości. I to zostało wpisane już do naszej Konstytucji. (Brawa) St. Gał.

ARKADY: KSIĘGARNIA POLSKA

Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 10

tel. 0-40/346047

Pracowni w polonistycznych bibliotekach i bibliotekach szkolnych

**NIECENZUROWANY
NIEZALEŻNY**

Pogląd

**KRYTYCZNY
POZAPARTYJNY**

MIESIĘCZNY MAGAZYN POLITYCZNY

IMPRESSUM

»Pogląd« – niezależny, ponadpartyjny, niecenzurowany miesięczny magazyn polityczny – wydawany jest przez wydawnictwo »Pogląd«. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenia wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy. Niezamówionych materiałów nie zwracamy, a w przypadku ich publikacji zastrzegamy sobie prawo do skrótnów. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Ceny ogłoszeń ustalamy każdorazowo ze zleceniodawcą.

»Pogląd« ukazywał się od stycznia 1982 roku w Berlinie Zachodnim jako niezależne pismo zrzeszenia »Gesellschaft Solidarność« e.V. Od numeru 153 (wrzesień 1989) ukazuje się w Warszawie.

Kolportaż i prenumerata za granicą wyłącznie poprzez »Gesellschaft Solidarność« e.V., Geßlerstr. 10, D-1000 Berlin 62 (West) oraz jego wymienionych niżej przedstawicieli.

Prenumerata krajowa: przez kolportaż, cenę ustalają oficyny wydawnicze.
Prenumerata zagraniczna: cena pojedynczego egz. na Zachodzie DM 5,-.

RFN:
półroczna: DM 35,-
roczna: DM 65,-

Kraje zamorskie (poczta lotnicza):
półroczna: DM 57,-
roczna: DM 105,-

Europa i kraje zamorskie (poczta zwykła):
półroczna: DM 40,-
roczna: DM 75,-

Australia:
półroczna: DM 67,-
roczna: DM 130,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto – z dopiskiem »prenumerata«:

»Gesellschaft Solidarność«
Sparkasse Berlin West
Konto-Nr. 1220012382
BLZ 10050000

»Gesellschaft Solidarność«
Post giro Berlin West
Konto-Nr. 586 90-102
BLZ 10010010

Adres redakcji:

»Pogląd«
Kierownik biura: Masza Kmicik-Lejman
ul. Hoża 37 m. 31
00-681 WARSZAWA
tel. 22/218881

»Pogląd« (»Gesellschaft Solidarność« e.V.)
Kierownik biura: Leszek Kaleta
Geßlerstr. 10, Postfach 620224
D-1000 BERLIN 62 (WEST)
tel. 0048/30/7829384, 7829515

Editor: Edward Klimczak
Redakcja: Stanisław Gałęziowski – zagranica
Adam Kowalski – aktualności
Zbigniew Żbikowski – reportaż
Fotoskład: Leszek Kaleta

Korespondenci zagraniczni:

Ewa Darmas, María de Hernandez-Paluch – Paryż, Wiktor Grotowicz – Monachium, Aureliusz M. Pędziwoł – Wiedeń, Maciej Radwan Rybicki – Bonn, Cezary Stolarczyk – Chicago, Roman Śmigiełski – Kopenhaga, Andrzej Zwaniński – Waszyngton

Przedstawiciele i kolporterzy:

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 8 View Street, 6008 Subiaco, tel. 09/3821662; AUSTRIA – Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien; DANIA – Roman Śmigiełski, Worsaaesvej 7, 4th, 1972 Frederiksberg C, tel. 01/31393330; Marek Przykorski, 5050 Roslyn, Apt. 32, H3W2L2 Montreal, PQ; RFN – Robert i Stanisław Brodnicki, Zum Luftschicht 17, 4600 Dortmund 15, tel. 0231/374673; Anna i Zbigniew Dominik, Freiherr-vom-Stein-Str. 46, 5800 Hagen; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, tel. 089/6371213; Tadeusz Leń, Wiener Str. 307a, 7000 Stuttgart 30, tel. 0711/8567415; Z. J. Pilarski, Im Hirschfeld 19, 5190 Stolberg, tel. 02402/84348; Marek Poliński, Jülicher Str. 22, 5000 Köln 1, tel. 0221/219480; Christoph Pyrek, Wängenerstr. 27, 7000 Stuttgart 1, tel. 0711/463038; Stanisław Rejman, Buocherstr. 12, 7057 Winnenden, tel. 07195/74356; Waldemar Tymoszek, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36, tel. 040/346047; SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, tel. 08/7421457; USA – Tamara Sochacka, 5026 Cadiff, Detroit, MI 48212, tel. 311/8715317; WIELKA BRYTANIA – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, tel. 01/6734456;

Zostań naszym kolporterem!

